

PuTapka

Mauri

Sariola



Mauri Sariola

PULAPKA

Tytuł oryginalny: Lavean tlen laki

Przyszedłem do biura w niezłym nastroju. Ranek kwietniowy był słoneczny, miejsce do parkowania samochodu znalazłem po wyjątkowo krótkich poszukiwaniach. Już przy drzwiach wejściowych usłyszałem terkot maszyny do pisania. Przesadą może byłoby stwierdzenie, że praca w biurze wrzała, ponieważ jest nas tylko dwoje - moja sekretarka i ja. Stukot maszyny do pisania brzmiał obiecująco. Przypuszczalnie sekretarka, panna Lehmus, przypomniała sobie, że nie wysłała klientowi - rachunku za załatwioną sprawę.

Minąłem hol i otworzyłem drzwi.

- Na koncie nie ma pieniędzy.

Dobry nastrój przysł. Panna Lehmus miała nieprzyjemny sposób witania szefa. Zatrzymałem się przed nią i zacząłem ściągać rękawiczkę.

- Dzień dobry - powiedziałem krótko. - Wydaje mi się, że pani ostatnio znowu trochę przytyła.

Sekretarka nagle wstała. Podeszła do okna i zaczęła gładzić palcami ramę okienną. W rzeczywistości jednak chodziło jej o to, by odwrócić się do mnie plecami. Gest ten był na tyle demonstracyjny, że nieco mnie zdziwił. Panna Lehmus miała raczej łagodny charakter, ale nie znała się na żartach. Zresztą możliwe, że mój żart był niezbyt udany.

Doszedłem do tego, przyjrzawszy się jej dokładnie. Nie przytyła w ostatnim czasie. Niestety, miała już dawniej zaokrągloną figurę. Nie lubiła, kiedy jej o tym przypominano. Ku jej zmartwieniu nadmiar ów usadowił się na policzkach i na rozłożystych biodrach. Talię miała natomiast uderzająco cienką, a łydki zgrabne.

Przypomniał mi się dawniejszy, także nieudany dowcip. Zeszłego lata zaskoczyła mnie niespodziewanie na plaży Pihlajasaari. W kostiumie kąpielowym wyglądała nieco komicznie, choć zarazem dziwnie pociągająco. To ostatnie stwierdzenie wynika może z faktu, że lubię kobiety dojrzałe. W każdym razie zaskoczony jej nagłym pojawieniem się strzeliłem na przywitanie coś w

stylu „co słyhać u mojej osy w tak piękną niedzielę”. Rozzłościło ją to. Byłem chyba nietaktowny, ponieważ nigdy nie byliśmy na ty, a ja tak beztrosko pozwoliłem sobie na wypowiedź o budowie jej ciała. Później przeklinając siebie w duchu, pomyślałem, że mogłem przecież użyć słowa „pszczołka”, ponieważ panna Lehmus bez wątpliwości zbierała miód dla biura, pozyskując swoją uprzejmością klientów.

W tym momencie odwróciła się od okna i musiałem przerwać wspomnienia na jej temat. Jak na kobietę pulchną poruszała się nawet lekko. Drgnąłem, ujrzawszy w jej oczach błysk gniewu.

- Czy pan mecenas zdążył mnie już zważyć? Głos miała raczej niski, odrobinę nawet zalotny, a słysząc go w słuchawce, starsi panowie pędem przybywali do mojego biura. Teraz, przeciwnie, słowa rzucone były ostro.

- Ależ... Kto się gniewa za żarty, to znaczy, że... nie ma poczucia humoru.

Mina jej nie złagodniała ani odrobinę. Zauważyłem, że panna Lehmus była naprawdę wzburzona. Do tego stopnia, że nie rozumiała intencji moich wyjaśnień. Poza tym wydawało się, że potraktowała moją uwagę jako przytyk do jej zdolności umysłowych. Teraz z kolei ja się zdenerwowałem. Nie nadawałem się do kłótni z kapryśnymi kobietami. Chłodno skierowałem rozmowę na sprawy służbowe i spytałem:

- Były jakieś telefony?

Panna Lehmus pokręciła głową. Miała gęste, kasztanowe włosy i to nie farbowane.

- Nie - odrzekła. Wydawało mi się, że powiedziała to tym razem jakoś życzliwiej. Adwokat nie lubi sytuacji, kiedy konto jest puste, a klienci nie dzwonią.

Wzruszyłem ramionami. Już skierowałem się do swojego pokoju, gdy panna Lehmus powiedziała:

- Przepraszam... zapomniałam. Przed chwilą telefonował jakiś mężczyzna. Ale myślę... że to był chyba żartowniś.

Zmarszczyłem czoło.

- Żartowniś?

- Tak mi się zdawało.

- A to dlaczego?

- Powiedział, że jest dyrektorem rolnym...

- Nie ma tu jeszcze nic dziwnego. Dyrektor rolny, to powszechnie używany tytuł.

- On przedstawił się jako dyrektor rolny Pata-maa.

Teraz ja się z kolei zdziwiłem. A może jakiemuś koledze po fachu w trakcie porannego kaca przyszło do głowy zrobić mi kawał. Dyrektor rolny Patamaa? Brzmiało to niepoważnie. Nie wywoływało skojarzenia z klientem wypłacalnym, z krwi i kości, raczej z postacią z przypowieści czy głównego bohatera taniej farsy. Mimo to powiedziałem oschle:

- Klient odwiedzający moje biuro może się nazywać jak chce. I może być nawet tylko radcą tytularnym.

Chciałem jeszcze dodać, że sedno rzeczy tkwi w czym innym. Ważne, by klient przedstawił sprawę krótko i jasno, po czym może sobie pójść swoją drogą. A najważniejsze, żeby zapłacił rachunek w terminie i bez wahania, zaraz po załatwieniu sprawy. Nie potrzebowałem tego jednak tłumaczyć. Panna Lehmus bowiem wiedziała o tym dobrze, ale teraz nie była w odpowiednim nastroju. Przeciwnie, zauważyła, że naumyślnie użyłem zwrotu „moje biuro”. Częściej mówiłem do panny Lehmus „nasze biuro”, przez grzeczność, a pewnie i dlatego, że nie mogłem się jej pozbyć.

Skinęła tak, że ani jeden włos na jej głowie nie drgnął i odparła:

- Tak jest, mecenasie Viima.

Teraz wiedziałem, że dzień rozpoczął się zdecydowanie źle. Panna Lehmus używała tytułu i nazwiska tylko wtedy, kiedy usiłowała być szczególnie uszczypliwa i ironiczna. Z trudem powstrzymywałem przekleństwo.

- Czy może mi pani zdradzić, w jakiej sprawie dzwonił dyrektor Patamaa?

- Wpadł w jakieś tarapaty. f - Jakiego rodzaju?

- Tego nie mówił. Pytał tylko, czy pan prowadzi sprawy kryminalne. Powiedziałam, że mecenas Viima jest powszechnie znany jako specjalista od spraw kryminalnych.

- Wielkie dzięki - powiedziałem zjadliwie. Miałem teraz ochotę kłąć na głos. - Co jeszcze? i - Zapytał, o której mecenas przychodzi do biura. Powiedziałam, że jest pan bardzo punktualny i zjawia się pan zawsze punkt dziesiąta.

Lekko zdrzałem. Poprzedniego dnia zjawiłem się o wpół do dwunastej, a moja zmęczona twarz na pewno świadczyła o tym, że nocna „narada” była dość długa i bogata w wydarzenia. Zmierzyłem sekretarkę od stóp do głów.

- I co pani jeszcze nakłamała? Uniosła w zdziwieniu brwi.

- Przepraszam, ale nie lubię, kiedy mi się zarzuca kłamstwo i to wtedy, gdy postąpiłam słusznie.

Poczułem się dotknięty. Sekretarka miała niezaprzeczalną rację. Powinienem być jej wdzięczny, ale zwyczajem męskim rozdrażniło mnie to. Właśnie zastanawiałem się, czy rozpogodziłaby się, gdybym zaznaczył, że ani trochę nie przytyła - nawet wręcz przeciwnie, schudła tak, że powinienem zatroskać się o stan jej zdrowia - gdy usłyszałem słowa:

- Dyrektor Patamaa będzie o jedenastej.

- Tutaj?

- Tak.

Odruchowo spojrzałem na zegarek. Pozostało nie-: całe piętnaście minut.

- Ach tak. Tego...

- Słucham? - zapytała sekretarka.

Nie miałem pewności, kto w tym kraju miał prawo używać tak niezręcznie brzmiącego tytułu dyrektora rolnego. Myślę, że właściciel dosłużył się tego tytułu na szczeblu gminnym. Wypytywałem dalej:

- Czy on mieszka w Helsinkach?

- Nazwisko nie figuruje w książce telefonicznej. Nie znalazłam ani jednego Patamaa.

- Nie dziwi mnie to. Czy robił wrażenie człowieka z prowincji?

- Może.

- Starszawy? - zapytałam. Zauważyłam już, że panna Lehmus potrafiła coś niecoś zgadywać z głosu klienta i rzadko się myliła.

- Robił wrażenie starszego. W dodatku ma astmę czy może jest za gruby. Poza tym był bardzo zaniepokojony i zdenerwowany.

- Aha.

Nie wiedziałam, o co jeszcze zapytać. Częściowo odzyskałam dobry nastrój. Opis sekretarki wywołał obraz człowieka, który - jak handlarze na targu - ma wielki wór, z wierzchu nędzny, a w środku cenny. Nie powiedziałam jednak o tym sekretarce. Pomyślałaby, że jestem zachłanny.

Jedną rękawiczkę miałam jeszcze na ręce. Zdjąłem ją, skinąłem głową i ruszyłem z miejsca. Otwierając drzwi do swojego pokoju, rzuciłem przez ramię:
- Proszę mnie zawiadomić, kiedy się zjawi.

Postarałem się wydać polecenie tonem możliwie nieurzędowym oraz nadać twarzy uprzejmy wyraz. Mimo to wynik był nieszczególny, ponieważ zanim drzwi zamknęły się za mną, usłyszałem lakoniczną odpowiedź panny Lehmus: - Tak jest, panie mecenasie.

Zatrzasnąłem drzwi i wzruszyłem ramionami. Czemu, do diabła, kobiety tak się przejmują byle czym? Gdyby mi ktoś powiedział, że jestem niemłody, średniego wzrostu i wyglądam tak przeciętnie, że aż pospolicie, zniósłbym to. Co prawda, nie cieszyłbym się zbyt, ale trudno. Wiedziałem za to, że przeciwstawą mojej nic nie mówiącej, krótkonosej i zbyt szerokiej twarzy jest gęsta czupryna i ładne zęby. Tego, a przede wszystkim młodości, mogłaby mi pozazdrościć niejedna sapiąca na schodach przeceniona gwiazda palestry sądowej.

A i w głowie coś tam miałem. Co prawda jeszcze i teraz często się

zdarzało, że kiedy w kuluarach sądu starałem się wtrącić słowo, gdy mówiono o jakimś trudnym procesie sądowym, zamiast odpowiedzi obdarzano mnie tylko zdziwionymi spojrzeniami i znaczącym wzruszeniem ramion. Nie mogłem tego nie zauważyć. A był to dopiero początek mojej kariery. W ten nieżyczliwy sposób traktowano wszędzie ludzi, u których pod niepozorną po-wierzchnością kryje się szczypta powodzenia. Zdjąłem płaszcz i usiadłem przy biurku. Początku nie było. Za to panna Lehmus z samego rana przepisała jakieś długie pismo o podziale majątku i położyła mi je do podpisu. Rzuciłem okiem na nagłówek. Ogarnęło mnie trochę nierealne uczucie, które miewałem już i dawniej. Na ułamek sekundy coś zaświtało mi w mózgu. Zamrugalem.

Mecenas Matti Viima Kancelaria Adwokacka

Tekst był umieszczony na blankiecie z lewej strony u góry. Właśnie te kontrastujące z białym tłem czarne litery i treść którą tworzyły, wprawiały mnie w prawdziwe zdumienie. Czuło się coś obcego, niewiarygodnego. Nie wątpiłem w imię i nazwisko, lecz to, że byłem adwokatem i że biuro należało do mnie, jeszcze i teraz wydawało mi się mirażem. Prawdopodobnie uczucie to pojawiło się jeszcze w dzieciństwie.

Dawno temu zjawilo się w naszym domu dwóch mężczyzn, inżynier mierniczy oraz sędzia. Sprawa dotyczyła sprzedaży parceli czy też urzędowego podziału. Mój świętej pamięci ojciec był wielkim amatorem wódki, dlatego prowadząc wyrąb lasu, rozpoczął rozdrabnianie naszej posiadłości na działki letniskowe, sprzedając w niektórych miejscach nawet pojedyncze drzewa. Zakończyło się to przymusową wyprzedazą na licytacji już po śmierci rodziców. Jako sierota musiałem wywędrować w świat, trzeba jednak przyznać, że nie jako żebrak, bo zdążyłem nawet zdać wszystkie egzaminy.

W każdym razie sędzia, którego widziałem w dzieciństwie, stał się w moich pragnieniach nieosiągalnym symbolem. Był mężczyzną w kwiecie wieku, nosił okulary, ruchy miał nerwowe, w przeciwieństwie do starannego sposobu wyrażania się. Myśl, że kiedyś mogę osiągnąć tak wysokie stanowisko,

wydawała mi się sięganiem po gwiazdy. To poczucie własnej niższości nie opuściło mnie nawet w czasie nauki. Przeciwnie, wkuwając prawo rzymskie i nieśmiertelne mądrości encyklopedyczne, coraz bardziej utwierdziłem się w przekonaniu, że zupełnie brakuje mi duszy prawnika i jego sposobu myślenia. Kiedy ku mojemu zdziwieniu, przy odrobinie szczęścia, zaliczałem z trudem egzamin za egzaminem, zacząłem wierzyć, że tylko dzięki roztargnieniu profesora udaje mi się prześlizgiwać i że nastąpi taki dzień, kiedy moi nauczyciele gorzko pożałują swojej nieuwagi.

Kiedy po ukończeniu studiów mogłem przesiadywać na sesjach sądu, nie obawiając się, że jakieś oskarżenie o popełnienie wykroczenia służbowego udekoruje moje akta o przebiegu służby, zacząłem podejrzewać, że mam jakieś dziwne szczęście. Pamiętam ten pot, który lał się ze mnie za stołem sędziowskim, lecz pozostał w pamięci zaskakujący błysk, który jakby spadając z nieba, rozjaśniał moją myśl zawsze w decydującym momencie. Moje ręce, niby przy pomocy czarodziejskiej różdżki wyszukiwały właściwe miejsce w kodeksie, po czym formułowanie wyroku było już tylko fraszką. Przypuszczalnie ławnicy uważali mnie nawet za przyzwoitego prezesa sądu powiatowego. Ja zaś nie czułem żadnej potrzeby wyjaśniania im, prawdziwego stanu rzeczy.

Był to z pewnością kompleks niższości. Mógł być wynikiem klapsa otrzymanego w dzieciństwie za niegrzeczny żart. Tak przynajmniej twierdziła kiedyś moja sekretarka, gdy rozmawialiśmy o tym poważnie. Zacząłem znowu rozmyślać o pannie Lehmus. Coś bardzo dziwnego kryło się za tym, że ciągle była moją sekretarką. Przecież nigdy nie byłem w stanie płacić jej pensji odpowiadającej jej kwalifikacjom. Prócz tego często ganiłem ją bez powodu. W głębi duszy wiedziałem, skąd się to bierze. Chciałem podkreślić swoją pozycję, kierowała mną chęć pokazania, kto tu jest szefem. Chyba najgorsze ze wszystkiego było to, że panna Lehmus przejrzała mnie na wylot. Raz po raz łapałem ją na tym, że uśmiechała się jakoś dziwnie.

Kancelarię kupiłem parę lat temu od pewnego prawnika, który wyjechał z Helsinek. Pomijając to, że przy kupnie zadłużyłem się po uszy, dostałem w spadku także pannę Lehmus. W mojej sytuacji nie miałem żadnego wyboru. Była stenografką i maszynistką oraz na dodatek dobrą księgową. Ta ostatnia umiejętność okazała się w biurze szczególnie potrzebna, ponieważ sam, śpiąc na seminarium prawa handlowego, w pracy ledwo nauczyłem się odróżniać konta bankowe od weksła. To podkreśliła panna Lehmus przed chwilą złośliwą aluzją o dobrym prawniku od spraw karnych. Bez wątplenia dała mi do zrozumienia, że i w sprawach cywilnych niezbyt pewnie się czuję.

Sytuacja zaczęła mi działać na nerwy. Podpisałem pismo bez przeczytania i zacząłem bawić się ołówkiem. Jednocześnie rozmyślałem dalej, marszcząc od czasu do czasu czoło.

Panna Lehmus otrzymałaby bez żadnych trudności lepiej płatne zajęcie gdzie indziej. Dlaczego nie odchodzi? Przeraziłem się, że ona naprawdę może mnie zostawić. Niespokojnie poruszyłem się na krześle.

Patrząc prawdzie w oczy, rzeczy tak się miały, że moje obecne powodzenie było silnie związane z sekretarką. Miała dobre stosunki z klientami jeszcze z czasów poprzedniego właściciela. Na dodatek umiała postarać się o nowych. Niedawno analizowałem jej głos w telefonie. Był zdumiewająco niski, odrobinę zalotny i w dziwny sposób zachęcający. Działał szczególnie na starszych, wypłacalnych klientów. Kiedy przybywali do biura, sytuacja wyjaśniała się. Jeśli za wzorzec weźmiemy szczupłe modelki o wąskich biodrach i płaskich piersiach, sekretarka miała kilkadziesiąt kilogramów nadwagi. Młodzi mężczyźni po raz drugi nawet na nią nie spoglądali, lecz gust starszych zdawał się być odmienny. Na widok panny Lehmus zaczynali szybciej oddychać. Często zapominali nawet o swojej sprawie, lub odwrotnie, na oczekaniu wymyślali taką sprawę, w prowadzeniu której obecność sekretarki była niezbędna. Rzucając na nią ukradkowe spojrzenia, stawali się zamyśleni i roztargnieni.

„Tak, tak... przecież pan mecenas wie lepiej...”, słuchałem roztargnionych słów niejednego podeszłego wiekiem, a przecież spokojnie zachowującego się na początku naszej rozmowy klienta, kiedy panna Lehmus wchodziła do pokoju. Rozkojarzeni dodawali, przez cały czas ukradkiem obserwując sekretarkę, coś w tym stylu „Tak... tak... właśnie, ależ pan mecenas wie... Ten dokument jest w porządku... Tak... hm...”

Pewien klient, który przyszedł sporządzić testament, w ogóle zapomniał o głównym spadkobiercy i dużo czasu straciłem, aby przywrócić mu przytomność umysłu.

Wspomnienie to zdenerwowało mnie. Rzuciłem ołówkiem. Jakaś beczelna myśl nurtowała mnie, siejąc wątpliwości, czy nie zdobyłem powodzenia dzięki spódnicy sekretarki. Prócz tego nigdy nie miałem specjalnych szans. Zauważyłem brud na tapecie i przypomniałem sobie, jak to niedawno trzeba było przestawić biurko, aby wytarte miejsce nie wpadło w oczy klientom.

Zirytowany zakląłem półgłosem. Widocznie byłem niezaradny.

Moje spojrzenie jakby naumyślnie właśnie teraz padło na kalendarz podatkowy leżący na biurku. Wziąłem go do ręki i zacząłem kartkować. Wzrok padł na nazwisko prawnika, wartego kilka milionów. Mecenas Tirkkila... pięć i pół miliona. Jak on do diabła zdobył te dochody, których, będąc człowiekiem przebiegłym, nigdzie indziej nie ujawniał. Kandydat nauk prawniczych Oksakoski... cztery miliony. Dziwne. Moim zdaniem Oksakoski był najbardziej znanym gangsterem prawniczym, nie mającym pojęcia o etyce zawodu. Już jego wygląd, zgarbione plecy i długa końska twarz, był podejrzany. I jeszcze błyszczało tam nazwisko Juliusa Itkonena. Dobrze sobie! Prawnik na papierze. Obiło mi się o uszy, że wyrzucono go z uniwersytetu i przeniesiono na jakieś kursy prawnicze dla początkujących. Ale podając się za sędziego, ten łotr pojawiał się w różnych knajpach i wtykał nisko kłaniającym się portierom sute napiwki. Ależ świat był niesprawiedliwy!

Złość osiągnęła apogeum, kiedy zorientowałem się, że moje nazwisko w ogóle nie figuruje w tym kalendarzu. Moje dochody nie przekraczały nawet dolnej granicy. Z drugiej strony to nawet i dobrze. Nazwisko w kalendarzu podatkowym było czystą reklamą, dość kosztowną, i wypełniając kwestionariusz podatkowy umyślnie popełniłem wiele sprytnych uników. Ale jednak... Zirytowany do ostatnich granic przypomniałem sobie, jak odniósł się do mnie urząd podatkowy. Otrzymałem od nich uprzejme pismo, w którym wzywano mnie niezwłocznie, żebym wyjaśnił, jak mogę żyć na takiej stopie, skoro moje roczne dochody są raczej skromne.

„Na to pytanie jest łatwo odpowiedzieć”, poradził mi pewien kolega po fachu, kiedy narzekałem na ciężkie życie i nietakt urzędu podatkowego. „Włóż na siebie najgorsze ubranie i zostaw brodę nieogoloną. Wypij dwa koniaki... nie, raczej kieliszek taniego wina stołowego. Znajdź urzędnika, który do ciebie wysłał to pismo i usiądź przed nim na krześle z oczyma w słup. Myślę, że jak cię raz zobaczy, nie będzie już więcej rozpytywał, dlaczego zarabianie pieniędzy pozostaje w tyle za uprawianiem innych hobby”.

Nie skorzystałem co prawda z nieprzyzwoitej rady kolegi, ale na myśl o tym aż zgrzytałem zębami. Rzuciłem kalendarz podatkowy na biurko i zapaliłem papierosa.

W tym momencie przypomniałem sobie o dyrektorze Patamaa i natychmiast się uspokoilem.

Dzień rozpoczął się od złych znaków, ale wieczór może być bardziej obiecujący.

Usłyszałem pukanie. Spojrzałem na drzwi. Na progu pojawiła się panna Lehmus. Stała prosto, zgrabne nogi miała równo zsunięte i zawiadomiła bezbarwnym tonem:

- Panie mecenasie, przyszedł dyrektor rolny Pa-tamaa. Czy pan może go przyjąć?

Pan Patamaa wyglądał zupełnie inaczej niż go sobie wyobrażałem. Chociaż, prawdę mówiąc, nie potrafiłbym dokładnie opisać postaci człowieka, na którego czekałem. Myślałem o starszym, majątnym mężczyźnie. Czarny płaszcz, starannie zawiązany krawat, melonik, getry, wyglansowane buty. Tak mniej więcej wyobrażałem sobie ubranie klienta. Szczupły, postawny, twarz nieco pomarszczona, srebro na skroniach...

Kiedy Patamaa w odpowiedzi na mój zapraszający gest usiadł w fotelu stojącym naprzeciw biurka, zauważyłem, że mam przed sobą mężczyznę zupełnie innego typu. Od razu wyczułem, że jest bezpośredni i nie opuszcza go pogoda ducha. Postawę miał potężną, dobrze to zapamiętałem. Wzrost około stu dziewięćdziesięciu centymetrów, ważył ponad sto kilo. Wiek natomiast trudno było określić, ponieważ cerę miał dość gładką i czerstwą. Mógł mieć pięćdziesiątkę, ale mógł być i bliżej sześćdziesiątki. Miał gęste brwi i zadarty nos, schowany nieco pomiędzy wystającymi policzkami. Oczy jak niebieskie porcelanowe guziki, na pewno zwykle patrzyły prosto i uczciwie, teraz były odrobinę zmęczone. Byłem prawie pewien, że gdyby interesant przyszedł w innym nastroju, oczy patrzyłyby żartobliwie.

Patamaa robił wrażenie człowieka jowialnego, gospodarza wiejskiego, który ma czas chodzić polnymi miedzami, mówić o koniach i patrzeć, jak rośnie żyto. Nawet ubranie harmonizowało z powierzchownością, porządne i proste, bez przesadnej elegancji.

- W czym mogę panu pomóc? - zapytałem uprzejmie, jednocześnie mocno dziwiąc się w duchu, co spowodowało siedzącego przede mną mężczyznę do mojego biura. Trudno było sobie wyobrazić, że ten człowiek ma kłopoty.

Patamaa przyglądał mi się przez chwilę nieruchomym wzrokiem, po czym zapytał tonem tak spokojnym, że nie miałem najmniejszego powodu, by się obrazić: - Czy pan mecenas należy do tych, którym można zaufać? - Głos miał niski, trochę ochryply, nazywa się go zwykle basem pijackim. Wywołało to pewne skojarzenie i spojrzałem na jego nos; naczynia krwionośne utworzyły na

nim gęstą, czerwoną sieć. Moim zdaniem wyciągnąłem prawidłowy wniosek, myśląc, że na pewno nie wylewał za kołnierz zawartości kieliszka, gdy miał go już w zasięgu ręki.. I

Chrzążnąwszy odezwałem się: - Zdobyć zaufanie klienta to dewiza mojego zawodu.

- Tak - odpowiedział Patamaa. W dalszym ciągu wpatrywał się we mnie. - Tak to się mówi. Ale i i prawnicy bywają różni. Dlatego właśnie zapytałem, czy panu można zaufać?

- Ufano mi dotąd - mruknąłem.

- I nie zawiódł pan tego zaufania? - zapytał Patamaa.

- Jak dotąd, nikt nie narzekał.

Głowa Patamaa pochyliła się ciężko na krótkiej i mocnej szyi. - To samo mówił Sistonen... Myślę, że pan, panie mecenasie, jest solidny w pracy... Chociaż niczym nie umiał zagwarantować pańskiego zaufania. Dlatego poruszyłem ten temat... chyba... hm... w zbyt ostrym tonie. Ale to jest sedno sprawy. To, że mogę panu zaufać.

- Rozumiem - przytaknąłem. - Kim jest ten Sistonen? Człowiek, o którym pan wspomniał i który, jak słyszę... hm... chwalił moją pracę?

- To mój przyjaciel. Czy też dokładniej mówiąc, mój zarządca, ale łączą nas stare nierozzerwalne więzy.

Uniosłem lekko brwi. Patamaa przedstawił sprawę tak, jakbym musiał wiedzieć, o kim mowa. Nie mogłem zaprzeczyć, że nazwisko Sistonen było mi obce. W żaden jednak sposób nie potrafiłem przypomnieć sobie sprawy, w której mogłem się z nim zetknąć.

- Przykro mi, ale naprawdę nie mogę sobie przypomnieć...

- Sistonena? Parę miesięcy temu wystąpił w charakterze świadka w jakiejś sprawie o wypadek drogowy. Mówił mi, że pan mecenas bronił poszkodowanej kobiety. Sistonen, będąc w tym mieście, akurat zatrzymał się na przejściu i wszystko widział. Tak mi mówił. I wezwano go na świadka...

Dopiero teraz przypomniałem sobie tę sprawę. Prawie odetchnąłem z ulgą. Patamaa zaczął mi się przyglądać z uwagą, jakby dziwić się, że mam tak słabą pamięć. Przestraszyłem się, że może wyciągnąć z tego złe wnioski i poszuka adwokata bardziej spostrzegawczego i błyskotliwego. Jakby prawnik musiał pamiętać wszystkie stare drobne sprawy.

- Słusznie, panie dyrektorze. - Ratowałem szybko sytuację. - Oczywiście, pamiętam pana zarządcę, tylko że jego zeznania w tej sprawie nie miały wielkiego znaczenia. Sprawa i tak była jasna...

- Wygrał ją pan? - zapytał obserwując mnie.

- Naturalnie - odpowiedziałem pewnym głosem. Nie dodałem, że nie znalazłby się w Helsinkach tak tępy prawnik, który by tę sprawę przegrał. Kierowca potrącił na przejściu jakąś kobietę. Ale myślałem, że ten Sistonen widział powodzenie mojego wystąpienia na sali rozpraw i zachwalał mnie swojemu zwierzchnikowi, nie mogła mi nie pochwalić. Dając przykład swojej spostrzegawczości, dodałem jeszcze: - Sistonen jest koło czterdziestki i ma kasztanowate włosy?

Zamyślony, trochę niedowierzający wyraz zniknął powoli z twarzy mojego klienta.

- Tak, właśnie. Jednak zapamiętał go pan.

- Mam niezłą pamięć - powiedziałem skromnie, nie, - To znaczy, że Sistonen poradził panu zwrócić się do mnie?

- Tak. Przyjechaliśmy razem z samego rana do miasta. Tego... moje zdrowie trochę szwankuje i biorę ze sobą Sistonena jako kierowcę. Jak zaznaczyłem, nie jest on zwykłym zarządcą, to mój stary przyjaciel. Dlatego też zna tę... hm... bardzo delikatną sprawę. A ponieważ potrzebny mi jest adwokat... dobry adwokat...

- Tak? - podchwyciłem życzliwie, instynktownie wyczuwając jego niezdecydowanie.

- Sistonen opowiadał, że jego zdaniem prowadził pan sprytnie sprawę

tego wypadku. Dlatego zadzwoniłem tutaj. A kiedy pana sekretarka również zrobiła bardzo sympatyczne wrażenie, przyjechałem...

- No tak. Rozumiem.:

Patamaa klepnął się dłońmi w kolana. Pochylił się trochę do przodu i ciągnął dalej:

- Nie dlatego, żebym nie znał innych prawników... Jest ich dość i u nas. Ale... tego... kiedy sprawa jest tego rodzaju, że nie nadaje się do rozpowszechniania w moich stronach...

Przytaknąłem ze zrozumieniem.

- Pana sekretarka przez telefon wydawała mi się bardzo serdeczna - dodał jeszcze Patamaa. - I dlatego tutaj jestem. Ale może przystąpmy do rzeczy.

Skinąłem głową i pomyślałem, że czas już najwyższy. Albo Patamaa był zbyt gadatliwy, albo sprawa była tej natury, że niełatwo ją było wyłuszczyć. Jakby chcąc odsunąć jeszcze przykry dla siebie moment, tyle czasu rozwodził się nad wstępem. W pokoju zapanowała głęboka cisza, musiałem więc wygrzeb*ać z szuflady biurka paczkę papierosów numer jeden. Były właśnie na poziomie tego klienta. Numer dwa i trzy nie pasowały tym razem. Patamaa wyciągnął pulchną rękę po grubego privilegio-na i z wprawą świadcząca o znawstwie zapalił.

Sam też zapalałem.

- Taak - cedził powoli słowa. - Wyjawiłem już telefonicznie sekretarce, że znalazłem się w tarapatach...

Zgodziłem się ze zrozumieniem: - Każdemu może się to zdarzyć.

- Tak, tak. Na początek należą się panu pewne wyjaśnienia. Mam na wsi nieduży majątek. Dużo pracuję społecznie. Zostałem mianowany dyrektorem rolnym, choć niewiele mnie to obchodzi...

Spokojna, raczej zadowolona mina mówiła mi o jego szczerzej skromności. r~ Aha... - bąknąłem, aby coś powiedzieć.

Uśmiech powoli zniknął z jego twarzy, a w porcelanowych oczach pojawił się niepokój, kiedy mówił dalej:

- Pan mecenas może zapytać... gdy wyjaśnię sprawę, dlaczego nie zwróciłem się do policji. Nie wypadało tego robić. Siedziało się z nimi w różnych komisjach. Policjanci to znajomi z polowań na sarny, wyścigów konnych... nieraz wypiliśmy razem, nie powiem. Wysłuchaliby wszystkiego z poważną miną, a w duchu śmieliby się ze mnie, niech ich cholera weźmie...

- Rozumiem - powiedziałem. Przekleństwo nie zabrzmiało wulgarnie w jego ustach. Właściwie wzmocniło wypowiedź.

Patamaa zaciągał się dymem z papierosa. Zdawało mi się, że dojrzałem na jego twarzy zakłopotanie. Ciągnął dalej:

- Taka to już prowincja... Uważają mnie za pewnego rodzaju ostoję społeczeństwa... do tego jeszcze... hm... że tak powiem... za człowieka o nienagannych manierach i zaletach moralnych. Ale przecież każdy ma za tą fasadą swoje życie prywatne...

- Bywa i tak - zgodziłem się.

- Jestem starym kawalerem - mówił dalej. - Ale nie mam powodu, żeby unikać bab, no i od czasu do czasu... hm... wyjeżdżałem do miasta. No i między innymi... Tego owego...

Czekałem milcząc.

- Obecnie sprawa wygląda tak - wyjaśniał lekko zakłopotany - że mam tutaj w mieście, że tak powiem, kociaka... Chyba pan mecenas rozumie?

- Domyślam się.

- Najgorsze jest, że mówiąc prawdę, mam w Helsinkach dwa kociaki...

Nawet się nie uśmiechnąłem. Dziwiłem się tylko, czy pozbywszy się skrupowania, wyjawi, że ma ściślej mówiąc, tych kociaków jeszcze kilka.

- Kociakiem numer jeden - powiedział Patamaa pokaszlując - jest pewna kobieta. Wdowa. Znamy się już długo. Lata całe. Jakoś nie zwiąaliśmy się małżeństwem...

- Ach tak?

- Jest taka kobieca, zrównoważona i bardzo interesująca. Nawet zamożna. Bardzo ciekawy człowiek, jak już chyba mówiłem...

Skinąłem głową.

W jego głosie zadźwięczała jednak nuta rozdrażnienia, kiedy kontynuował:

- Mądryemu mężczyźnie, wiadomo, wystarczy jedna towarzyszka. Jeżeli zastanowić się głębiej nad tym, to mądry mężczyzna nigdy nie żartuje z kobietami. A w ogóle wygląda na to, że mimo moich dobrych chęci, każda z nich jest żmiją i do tego fałszywą.

Zachowałem kamienny spokój. Nie śmiałem odezwać się nawet słowem, bo a nuż wyrwałoby mi się coś niewłaściwego. Skrupuły moralne mego klienta brzmiały tak szczerze.

- Taak - powiedział Patamaa. - No i ta druga, jak to się teraz mówi... przyjaciółka. To jest młoda panna. Wysoka, blondynka, i do tego ma wesołe usposobienie.

- No tak.

- Lubi poskakać i pośmiać się - dodał. Marszcząc brwi, wyjrzał przez okno. Kapryśna kwietniowa pogoda, jeszcze rano świeciło słońce, a teraz już zbierało się na deszcz.

- Tego... ale na czym to ja stanąłem...

- Mówił pan coś o skakaniu - powiedziałem ostrożnie.

I

- Właśnie, tak. Chyba wystarczy, jak na początek, o tych kobietach. Pan mecenas usłyszysz o nichj szczegółowo, jak sprawa ruszy z miejsca. Przykro mi, ale nic więcej nie mam do powiedzenia.

Patamaa mówił o pchnięciu sprawy naprzód, ale jego wyjaśnienia były nieporadnym stękaniem. Usi-1 łowałem coś jeszcze z niego wyciągnąć.

- Pan dyrektor zaznaczył na początku, że na horyzoncie pojawiły się

kłopoty?

- Tak sprawa wygląda. - Przygryzał grube wargi i mówił jakby ze złością dalej: - Człowiek czasem do reszty zgłupieje. Nie wystarczy, że mówi i pracuje, i uwija się, to jeszcze musi bazgrać czarno na białym...

Uniosłem brwi. Patamaa ciągnął dalej:

- Nieczęsto ze wsi jeździ się do miasta... A kiedy nadejdzie taki kwietniowy pogodny i jasny wieczór, gdy powietrze jest przezroczyste, a cienie stają się błękitne, tak, mówi się chyba na to tęsknota, czy jak inaczej to głupie uczucie można nazwać...

- Właśnie tak.

- Tak, tak... - przytaknął. - Ta ręka, która lepiej pasuje do lejców, chwytą wtedy za pióro. A gdy do tego jeszcze, do pioruna, okaże się, że włada piórem, no, niezupełnie jak poeta... - Jego głos stał się bardziej przytłumiony. Mogłem sobie tylko wyobrazić, co się kłębiło w jego duszy. - Mówiąc konkretnie, pisałem listy. Do obu kobiet. A jaki to człowiek jest głupi... Treść tych listów jest taka, że gdyby dowiedziały się o tym baby z naszych stron, pękłyby ze śmiechu... Pozwoli pan, że nie powtórzę treści...

- Mogę się domyślić - powiedziałem. - Ale czy ma pan podstawy przypuszczać, że prywatne miłos... pana listy są rozpowszechniane?

- Dlatego tu jestem.

- Co się więc naprawdę stało?

- Nazywają to szantażem.

W skrytości ducha przypuszczałem, że coś takiego się święci. Ze współczującym wyrazem twarzy zapytałem:

- Czy już do tego doszło?

- Tak.

- Proszę dokładniej o tym opowiedzieć. Dyrektor Patamaa zerknął na mnie, jakby chciał się jeszcze raz upewnić o mojej niezawodności, po czym

zaczął powoli wyjaśniać. Najpierw dobierał słowa, potem mówił coraz płynniej, poirytowanym głosem.

- Dostałem przedwczoraj list. Wysłany został z Helsinek, sądząc ze stempla, i napisany na maszynie. Miał trochę niezwykłą treść. No, nie tak bardzo, ale trochę. Jestem porządnym człowiekiem, muszę jednak powiedzieć, że list był naprawdę cholernie niezwykły. Podano w nim krótko i lakonicznie do wiadomości, że jeżeli nie zapłacę do piętnastego tego miesiąca dwóch milionów marek, to szlag mnie trafi.

Spojrzałem szybko na kalendarz. Był już jedenasty dzień miesiąca. Patamaa zauważył moje spojrzenie i kontynuował:

- Mamy tylko cztery dni czasu, zakładając, że ja się zgadzam na idiotyczne żądanie szantażysty. Ale, mówiąc między nami, nie zrobię tego, dopóki nazywam się Jussi Patamaa...

Skinąłem głową, znaczyło to, że byłem po stronie tego gburowatego mężczyzny. Patamaa mówił powoli dalej:

- W liście szantażysta pisze w dodatku, że nie czeka ani minuty dłużej, w przeciwnym razie będzie źle, bo poczta z Helsinek przyniesie listy nie tylko dla mnie. Szantażysta wyjaśnia grzecznie i jasno, że wkrótce w Uusimaa uciechę będą mieli: przewodniczący władz miejskich, ksiądz, aptekarz, policjant i inne wpływowe osobistości. A każdy z nich dostanie jeden list miłosny napisany przez Jus-siego Patamaa... W ten to sposób szantażysta mi grozi... I dodaje, ja też jestem tego pewien, że wtedy wszyscy pokładać się będą ze śmiechu...

Zapytałem ostro: - Czyli, że szantażysta ma w ręku... tego... pańskie listy miłosne? Nie obrażę pana, używając tego wyrazu?

- O co tu się obrażać? Przecież to prawda. I powiem jeszcze, że jest to tak cikliwa pisanina, że pan mecens nie uwierzy, patrząc na mnie...

Powiedziałem dyplomatycznie: - Każdy z nas posiada swoje słabostki. Może jednak wyjaśnimy bliżej tę sprawę. Chciałbym zadać panu parę pytań.

- Dobra - burknął! Patamaa.

- Pan pisał listy miłosne do dwóch pań?
- Taki z człowieka idiota - przytaknął Patamaa.
- Jedne listy były zaadresowane do tej wdowy?
- W rzeczy samej.
- Przepraszam, a ona jest w jakim wieku?
- No, około czterdziestki. Ale jeszcze bez zmarszczek.
- Ile listów pan do niej wysłał?
- Kto tam wie. Przecież mówiłem, że przyjaźnimy się od lat.
- Dobrze. Hm... tego nie znaczy, że jest dobrze, ale do tego momentu sprawa jest jasna. A ta druga, nniiana przez pana kobieta, ta wysoka, wesoła blondynka, jest młodsza od poprzedniej?
- Ma chyba około dwudziestki. Czy może trochę szła. Nie pytałem jej o wiek.
- W każdym razie poniżej trzydziestki? - zapytałem.
- Na pewno.
- Jak długo pan ją zna?
- Z półtora roku.
- Gdzie pan ją spotkał?
- To chyba nie ma nie do rzeczy - dyrektor I'jlamaa unikał mojego wzroku.
- Oczywiście, że nie - powiedziałem uspokajająco. - Jest mowa o listach. He listów pan napisał Ig tej panny?
- Przynajmniej dziesięć.
- Niedobrae.
- Tego nie musi mi pan mecenas tłumaczyć.
- Przepraszam. Zapytam jednak o rzecz następującą: czy z listu szantażysty wynika, że chce ujawnić listy otrzymane właśnie przez nią?
- Patamaa potrząsnął potężną głową: Nie, tego nie pisze.
- Szantażysta nie sprecyzował bliżej sprawy?

- Nie.

- Mówi tylko o listach w ogóle?

- Tak.

Zakaszlałem, starając się dobrać możliwie odpowiednie słowa i spytałem:

- Czy istnieje możliwość, że pisał pan i do innych kobiet?

Jego twarz przybrała wyraz jeszcze bardziej przygnębiony. i - I tak się zdarzało. Czasami, dawniej.

- To poważnie komplikuje sprawę.

- Nie wydaje mi się jednak, że chodzi o inne listy niż te, które pisałem do tych dwóch kobiet.

- Niech więc będzie to podstawą, na której się oprzemy - zaproponowałem. - Inaczej wszystko zbyt się skomplikuje. Jeszcze o liście szantażysty! czy ma go pan przy sobie?

- Nie mam., Popatrzyłem na niego lekko zdziwiony.

- Miałem zamiar najpierw przyjechać do miasta i znaleźć jakiegoś prawnika. Chciałem trochę mu się przyjrzeć, zanim wyjawię mu całą sprawę - tłumaczył się.

Uśmiechnąłem się: - Czy pan już dostatecznie mi się przyjrzał?

- Tak - odrzekł poważnie, - Liczę na pana. Pełne zaufania słowa dyrektora wywarły na mnie dziwne wrażenie. Właściwie nie pochlebiły mojemu samopoczuciu, jak by się tego można było spodziewać, mając do czynienia z człowiekiem mojego pokroju. W tym szczerym stwierdzeniu było coś pociągającego, a nawet wzruszającego. Kilka razy zakaszlałem i powiedziałem otwarcie:

- Nie mam zamiaru zawieść pana zaufania.

- To widać po panu. Mężczyzna, który osiągnął mój wiek, poznaje ludzi po twarzach. Dlatego też proponuję, aby pojechał pan ze mną na wieś. Na dole czeka samochód i kierowca. Na miejscu chętnie pokażę panu list.

Zawahałem się przez moment. Patamaa źle to zrozumiał i dodał

uszczypliwie: - Mam z czego zapła-' cić.

- Nie wątpię w to - odparłem z podziwu god-i nym refleksem. - Poza tym mała wyprawa na wieś dobrze mi robi. Ale przedtem jeszcze parę pytań. Tak więc list szantażysty pisany był na maszynie i wysłany z Helsinek. Jaki był podpis? I gdzie kazał dostarczyć pieniądze?

- Wszystkiego się, pan dowie z listu - powiedział Patamaa tajemniczo.

- Dobrze. I jeszcze coś. Czy skontaktował się pan I obydwoma przyjaciółkami?

- Oczywiście - odparł Patamaa. Usłyszałem w Jego głosie groźbę. - Przyjechałem do miasta już o szóstej rano. Odwiedziłem obydwie kobiety.

- Postawił je pan na nogi?

- Tak zrobiłem.

- I pewnie żadna z nich nic nie wie o listach Szantażysty?

- Właśnie - zdenerwował się.

- Ale...

- Tak? - patrzył na mnie nieruchomym wzrokiem. *

- Z tego wynika, że sprawa nie jest specjalnie i komplikowana - stwierdziłem. - Istnieją tylko dwie możliwości.

- Jakie?

- Albo któraś z tych kobiet szantażuje. No i wy-Błala panu ten anonim...

- Albo?

- ...znajdujące się w posiadaniu którejś z nich listy miłosne dostały się w obce ręce. To chyba łatwo sprawdzić?

Patamaa pokręcił głową. Zgasił papierosa o dno popielniczki i podniósł wzrok.

- To nie jest takie proste - powiedział oschle. - Narobiłem, rzecz jasna, potwornego zamieszania rano u obydwu. Przede wszystkim zażądałem, żeby pokazały mi wszystkie moje listy. Alę ze łzami w oczach twierdziły, że je zniszczyły.

Cicho gwizdnąłem.

- No właśnie - powiedział Patamaa. - I bądź tu mądry, która kłamie. - Pomyślał chwilę, po czym zaproponował: - Czy nie będzie najlepiej, jak pan mecenas zaraz pojedzie ze mną? Zapozna się pan przede wszystkim z tym listem szantażysty. A potem zobaczymy. Jeszcze raz zwracani uwagę, że pieniądze nie odgrywają roli. Pokryję pańskie wy-1 datki.

Ponieważ w dalszym ciągu wyglądało na to, że nie powiedział jeszcze wszystkiego, znowu kiwnąłem potakująco. Tyle razy czyniłem to w czasie tej rozmowy, że mnie rozbolała szyja. Patamaa pa-1 trzył w bok. Odchrząknął i powiedział:

- A, jeszcze coś... Co by było, gdyby pan mecenas zabrał ze sobą swoją sekretarkę...

Żaden mięsień twarzy mi nie drgnął, ale uśmie-1 chnąłem się w duchu. Patamaa dodał szybko: -1 Pomyślałem, że ponieważ ma pan sekretarkę, która robi wrażenie znającej się na rzeczy, to... tego...B ucieszy się z tej podróży. Jest kobietą i zna się za-1 pewne na kobiecych sztuczkach. Byłaby naszym ekspertem. Pan mnie rozumie?

- Rozumiem - odparłem oschle. - Proszę poczekać, zapytam ją.

Zostawiłem go w moim pokoju i udałem się do i panny Lehmus. Spojrzałem na bluzkę sekretarki. Miała niewielki dekolt. Pod cienkim materiałem mocno rysowały się kształty wypukłych piersi.

- Dyrektor Patamaa prosi panią na eksperta w i pewnej sprawie - powiedziałem. - Posiada duże gospodarstwo rolne, samochód z kierowcą, no i jest kawalerem.

Panna Lehmus popatrzyła mi w oczy.

- Panie mecenasie - rzekła miękko. - Nie do twarzy panu z tą ironią. A w ogóle nie rozumiem, dlaczego jest pan wobec mnie złośliwy?

Tego sam nie rozumiałem. Czuję się dziwnie.

- Pojedzie pani? - zapytałem.

- Jeżeli pan sobie tego życzy.

Spojrzałem na zamknięte drzwi do gabinetu i zniżyłem głos:

- Tak, życzę sobie. Dla dobra biura. Chodzi o poważną sprawę. A klient nawet nie mrugnie okiem, jak otrzyma rachunek.

- Rozumiem.

Panna Lehmus jeszcze raz spojrzała na mnie. Ogarnęło mnie niejasne uczucie zawstydzenia. „Dla dobra biura”. Podejrzywałem, iż właśnie ta moja oficjalność i zapobiegliwość była przyczyną, że podwójnie głupio wyglądałem w oczach sekretarki.

3

Samochód dyrektora Patamaa był zaparkowany naprzeciwko biura. Kiedy rano przyjechałem do pracy, nie zauważyłem wolnego miejsca nawet dla najmniejszego wozu, a teraz, owszem, było. Już dawniej podejrzewałem, że luksusowe samochody zawsze znajdowały miejsca do parkowania, a nawet zdawało się, iż ich zbliżanie się dziwnym sposobem wypłasza te skromniejsze. Ja sam miałem wysłużonego, ale jeszcze porządnego i wyjątkowo dobrze prezentującego się volkswagena. Nie wstydziłem się go nigdy przedtem, ale widząc samochód Patamaa, byłem zadowolony, że mój stoi schowany za rogiem ulicy.

Adwokat jest na ogół sceptyczny, zanim nie zobaczy pieniędzy. I jeżeli żywiłem najmniejsze podejrzenia co do możliwości płatniczych mojego klienta, to troski pierzchły wraz z ujrzeniem jego samochodu.

Był to buick super, najnowszy model, z mnóstwem i błyszczących chromów na czarnym tyle. Mimo wszystko nie byłem w swoim żywiole. Rozmyślając o czekającej mnie robocie, nie mogłem oprzeć się wraże - I niu, że jest w niej coś niejasnego, jakby niegodnego prawnika. Powinna się w tym grzebać policja, ale zrozumiałem też, że teraz to nie wchodziło w rachubę. Prócz tego moje własne wątpliwości były tylko intuicyjne, i jeszcze, przynajmniej w tym sta - i dium ani intelekt, ani zdolności syntezy nie pozwoliły uchylić nawet

rąbka tajemnicy. Wiedziałem, że mądrzej będzie nie rozmyślać o tym na razie, i Okaże się.na miejscu...

Powietrze było orzeźwiające i wiosenne. Woda szemrała w rynsztokach, a promienie słońca przedzierające się przez zasłonę obłoków wydawały się cieplejsze i błyszcząły w oknach kamienic, ciesząc oczy.

- Proszę... Panowie chyba się znają. Nie ma potrzeby przedstawiać? - usłyszałem głos Patamaa obok siebie. Odpowiedziałem prędko: - Raczej nie...

Dobrych klientów nie spotyka się na każdym ro-i gu, dlatego skinąłem kierowcy szczególnie życzliwie i po przyjacielsku. Nadejdzie czas, kiedy wystawię Patamaa sześciocyfrowy rachunek i tylko dzięki Si-stonenowi pieniądze ogrzeją moje ręce. Przecież to właśnie on powiedział swojemu panu dobre słowo o mnie i o moich wspaniałych zdolnościach adwo - i kackich. Przyglądając się kierowcy, przypomniałem i sobie również, że i on wywarł na mnie wrażenie rzeczowego i godnego zaufania. Zeznania - składał ipokojnie i obiektywnie, a jednocześnie jasno i stanowczo.

- Cieszę się z ponownego spotkania - powiedziałem z uśmiechem. Wyciągnąłem rękę do Sisto-nona.

- Ja również - odpowiedział. Uścisk jego ręki był krótki i mocny.

Patarnaa dokonywał dalszej prezentacji, mówiąc do Sistonena:

- To jest sekretarka mecenasa Viima... panna, lim, tego, jak się pani nazywa?

- Lehmus - odpowiedziała moja sekretarka.

- Bardzo dźwięczne nazwisko - powiedział Patarnaa z entuzjazmem. Miał w głosie ten przymilny ton, którym mówili zawsze starsi panowie, kiedy chodziło o pannę Lehmus. Wyczytałem z miny Sistonena, że i on zauważył entuzjazm w słowach swego chlebodawcy. Zdradził się bowiem lekkim drgnieniem dolnej wargi.

Sistonen nie nosił służbowego uniformu kierowcy. Był z gołą głową, miał na sobie popelinową koszulę bez krawata, spodnie wojskowe oraz

wyczyszczone buty oficerskie. Zauważyłem, że jego orzechowe oczy patrzyły spokojnie, a jednocześnie taksująco i chłodno.

Mógł mieć około czterdziestki lub nieco poniżej, lecz w jego postawie nie wyczuwało się lat. Trzymał się prosto, był muskularny i barczysty, biorąc pod uwagę, że nie należał do szczególnie wysokich. Uwagę przyciągały również jego rudawe włosy, całe w drobnych loczkach, podobnych do owczej wełny. Zmarszczone brwi nadawały twarzy wyraz surowości, a zarys brody mówił o zdecydowaniu.

Podając mi rękę, Sistonen zerknął w stronę sekretarki, z początku przelotnie i obojętnie, później dokładniej. Zauważyłem w jego oczach koloru kawy błysk zaciekawienia, i ja również zacząłem przyglądać się panie Lehmus.

Sekretarka nie była żadną pięknoscią, ale miała dość jasną cerę i wspaniałe, śnieżnobiałe, błyszczą-! ce zęby. Uśmiechnięta sprawiała bardzo miłe wra-j żenię. Nie czuło się w niej nic małostkowego. Miała nieregularne rysy twarzy, ale nie starała się ukryć makijażem wad swojej urody. Mogły się podobać; jej trochę zbyt szerokie policzki i dość krótki nos, bo umiała, używając niewielu kosmetyków, przykuci uwagę swoimi wielkimi wyrazistymi oczami i delikatnie zarysowanymi ustami. Również jej gęste i zawsze starannie wyszczotkowane włosy przyciągały wzrok.

Przyglądając się jej na słonecznej ulicy, musiałem stwierdzić, że była na swój sposób ponętna. Nawet zbyt pełne kształty udało się jej schować pod luźnym płaszczem wiosennym.

Zauważyłem, że i Sistonen doszedł do tej konkluzji. Jak na mój gust za długo przytrzymał rękę sekretarki. Ton głosu miał bez zarzutu, kiedy zdawkowo bąknął:

- Miło mi panią poznać.

Patamaa gorzej ukrywał swe uczucia, zauważyłem to od razu. Nie mógł oderwać wzroku od sekretarki. Zaczęło mnie to denerwować. Spojrzenie dyrektora było po prostu pełne pożądania i tak przenikliwe, że moim zdaniem,

głaskało wspaniałe kształty panny Lehmus, nie zważając na to, iż są schowane pod luźnym płaszczem.

- Może ruszamy - zaproponowałem krótko. Patamaa drgnął i z zakłopotaniem mówił:

- Oczywiście, oczywiście. Wszyscy do samochodu, bądźcie łaskawi. I naprzód w rodzinne strony...

Mój niepokój wzrósł, kiedy zauważyłem, z jakim zwycięskim uśmiechem Sistonen otworzył przednie drzwi samochodu. Powinien był chyba najpierw In pytać, gdzie usiądziemy. Panna Lehmus z uśmiechem usiadła z przodu, a Patamaa i ja z tyłu. Kiedy Sistonen usiadł za kierownicą i zapuścił silnik, dziwiło mnie, że jestem w złym nastroju. Sądząc *te* spojrzenia Patamaa nie przeznaczył miejsca obok Hebie dla panny Lehmus, ale nie odpowiadało mu, fta usiadła z Sistonenem. W samochodzie nie było Jtdnak innych możliwości wyboru.

Wielki buick jechał płynnie. Gdy minęliśmy parlament, ocknąłem się:

- Pan dyrektor mówił, że jesteście panowie stałymi znajomymi...

Sistonen kiwnął głową. Widziałem tylko jego opalony kark, starannie ostrzyżone włosy oraz zarys policzków. Kierowca uśmiechnął się życzliwie i odpowiedział:

- Pracowałem sporo lat jako parobek.

- Nie wygłupiaj się - wtrącił Patamaa i uśmiechnął się szeroko, po przyjacielsku. - Skromność uszlachetnia, ale już mówiłem mecenasowi Viima, że nie jesteś parobkiem. Rzecz wygląda zgoła... - Odwrócił się do mnie i ciągnął dalej: - Szacunek wzmocniony krwią, to gwarancja rzetelności... To jest z jakiegoś wiersza, oj, zapomniałem z czego...

- Wspomnienia z jarmarku tego chorążego z opowiadania Runeberga - rzuciłem. - A następna zwrotka brzmi: Niewzruszona wierność wspólną cechą...

- Właśnie - przytaknął żywo Patamaa. - Tak to jest u nas z Sistonenem.

Prawda, Valteri?

Sistonen wzruszył ramionami.

- Coś w tym rodzaju. Ale to nie wygląda tali uroczyście...

- Panowie są kolegami z wojska? - zaciekawi! łem się.

- Tak - odpowiedział Patamaa. - Tam się wła-J śnie poznaliśmy, choć niewiele było ze mnie pożytku w czasie wojny. i - Nie gadaj - burknął Sistonen.

- Jeżeli chodzi o mnie, tak właśnie było. Ciąg-j nęli ze sobą takiego fajtlapę, ochotnika, na początku wojny w 1941. Potrzebni byli wtedy mężczyźni, a wiekiem od biedy pasowałem. Co prawda, dość szybko odesłali mnie do domu, ale zdążyłem w tej podróży poznać Sistonena. I muszę jeszcze dodać, że gdyby nie on, nie siedzielibyśmy tutaj...

Sistonen coraz bardziej naburmuszony wzruszył ramionami, kiedy Patamaa ciągnął dalej:

- Dostał krzyż zasługi czwartej klasy z dębowymi liśćmi. Nie otrzymał go przecież za nic, do diabła. Jestem mu wdzięczny z całej duszy. Ratował mnie, takiego grubego kaprała, gdy byłem w najgorszych opałach, a o sobie nawet nie myślał...

- Wiesz co... - zaczął Sistonen. Kark mu poczerwieniał.

- Nie odejmuj sobie zasług - powiedział Patamaa. - Tak, role się czasem zmieniają... Byłem wtedy kapralem, ochotnikiem, a Sistonen miał już, pomimo swej młodości, gwiazdki na kołnierzu...

- Wiele ich nie było - mruknął kierowca. i - Przynajmniej po jednej po obu stronach. Ale role się zmieniają... jak już powiedziałem. Nie, żeby się chwalić, chociaż ja siedzę teraz z tyłu, a Sistonen za kierownicą. Zdarzyło się, że on odpowiedział na moje ogłoszenie w gazecie, w którym poszukiwałem zarządcy... kilka lat temu. Ma duże doświadczenie także w rolnictwie... Jest agronomem...

- Agrologiem - poprawił Sistonen. - Mówiąc 'dokładniej, technik rolnik. i

- Nie przerywaj mi co chwilę - powiedział Pa-t.unaa. - Co to była za radość, kiedy okazało się, jesteśmy starymi znajomymi z tamtych czasów, kiedy... co było, to było... - Patamaa nagle zanucił: „Na lodzie jeziora...”

Jak na starego człowieka śpiewał niezłe. Sądząc z zarysu brody panny Lehmus, powstrzymywała się od śmiechu. Mnie także rozweseliło rozrzewnienie pana dyrektora.

- Z miejsca go zatrudniłem - ciągnął dalej Patamaa. - Nie za żadną głodową pensyjką, o nie..?

- Zgadza się - przytaknął nieco sucho kierowca. *

- Nie gniewaj się, że cię trochę chwale - powiedział Patamaa. - Dobrze nam leci, prawda?

- Nie mam powodów do narzekania - zgodził Bie Sistonen z uśmiechem.

Zauważyłem, że stosunki między mężczyznami były naprawdę bardzo rodzinne i dyrektor odnosił Bie do podwładnego, no, jeżeli nie zupełnie jak do równego sobie, to jednak bardzo życzliwie.

Kiedy usłyszałem następne słowa Patamaa, pomyślałem, że w tym tkwi, poza braterstwem broni, ich zażyłość.

- Wiele jeździliśmy razem z Sistonenem. W, tych... hm... podróżach do miasta trzeba mieć niezawodnego kumpla. We wsi nie mogą się przecież o wszystkim dowiedzieć.

- Rozumiem - powiedziałem. - Pan pewnie też ma prawo jazdy

Kiwnął głową. Cień troski przemknął po jego czerwonej twarzy.?

- Mam, oczywiście. Ale zdrowie ostatnimi czasy zaczyna trochę szwankować.

- Czyżby coś poważnego? - zapytałem ze współczuciem.

- Lekarze nazywają to angina pectoris. Drgnąłem. Patamaa chyba zauważył to, ponieważ kontynuował szybko, starając się nadać głosowi przekonywający, a jednocześnie bagatelizujący ton:

- Niewiele się przejmuję gadaniem tych konowa-lów. Robią na człowieku różne doświadczenia, współczują, ostrzegają, zachęcają do zażywania nitrogliceryny...

- I biorą za to niezłe pieniądze? - uzupełniłem z uśmiechem.

- Właśnie - powiedział Patamaa z naciskiem, jakby stawiając kropkę na końcu.

Nietrudno było mi wyobrazić sobie, co myślał, jaki miał stosunek do sprawy. Miał majątek wiejski, pieniądze, samochód, kochanki, zaszczyty... Życie smakowało mu pomimo lat i chorób. W tej sytuacji wszystkie przestrogi, że trzeba będzie opuścić ten świat, były nie dla jego uszu.

W samochodzie zapanowała dłuższa cisza. Patamaa siedział w kącie ze skupioną twarzą, a jego ciężki oddech wydawał się głośniejszy od warkotu samochodu. Sekretarka wyglądała przez okno, widziałem tylko jej brązowe włosy i kołnierz. Sistonen był pochłonięty prowadzeniem wozu. Dopiero teraz zauważyłem, że kiedy miasto pozostało za nami, wskazówka szybkościomierza chwiała się w okolicach stu osiemdziesięciu kilometrów na godzinę. Mimo *to* szybka jazda w ciężkim, dobrze resorowanym wozie ani trochę nie przerażała. Człowiek nie zdążył się niczemu przyjrzeć, bo krajobraz za szybą tylko migał.

W lasach jeszcze gdzieś leżały resztki śniegu, ale pola już czekały na siewców. Nagie gałęzie drzew, ostro widniejące na tle nieba, rysowały się czarno w przejrzystym powietrzu.

Patamaa był człowiekiem rozmownym, nie potrafił długo milczeć. Rozmowa skierowała się na sprawy ogólne, nawet na politykę. Stwierdziłem, że miał precyzowane i światłe sądy i nie był zwolennikiem obecnego kursu rządowego, chociaż rolnictwo dało mu utrzymanie.

- No, tak... zaraz będziemy na miejscu.

Ruchem głowy wskazał na obszerny piętrowy dom wiejski, stojący ukosem do drogi po prawej stronie. Już z daleka tchnęło dostatkiem. Kolumnowy ganek białego dworku i park koło domu z nadejściem wiosny

sprawały wrażenie dobrze utrzymanych, a w murowanej oborze, stojącej na wzniesieniu za dworkiem było, średnio licząc, miejsce na setkę krów.

Skręciliśmy w boczną drogę i chwilę później samochód zatrzymał się przed gankiem. i - Witajcie w moich niskich progach - powiedział dyrektor. Zaczął się powoli gramolić z samochodu. Znowu zauważyłem, że nie mógł ukryć w głosie małej chełpliwości i samozadowolenia. - Pora śniadaniowa zda się być za nami, a i gospodyni mnie nie oczekuje. Proponuję kawę i hm... a potem zajmiemy się sprawą.

Uśmiech na twarzy Patamaa zastygł na chwilę, kiedy przypomniał sobie o „sprawie”.

Przechodząc między okrągłymi kolumnami ganku weszliśmy do domu. Dostatek panował także w środku. Widać było, że jest to solidny i tradycyjny dom. W salonie stały meble w stylu Gustawa, zegar w kącie pokoju powolnymi ruchami wahadła odmierza! czas, a z okien jadalni rozpościerał się widok na dobrze uprawione pola i rysujący się w oddali las.

Gospodyni - kobieta sprawiająca wrażenie suro* wej i patrząca na Patamaa jak na swoją własność -1 szybko zorganizowała dodatkowy, bardzo ładny stolik do kawy. Widząc, z jaką szybkością kanapki obłożona różnymi smakołykami znikwały w ustach dyrektora* nie dziwiłem się już jego tuszy. Kiedy wypiliśmjj kawę, zakaszłał i roztargnionym ruchem grubegdl kciuka zaczął drapać się pod kołnierzykiem koszuli! Sprawiał wrażenie człowieka, któremu w tym obJ szernym pokoju zabrakło powietrza.

- A gdyby Sistonen pokazał pannie Lehmus dom i zabudowania gospodarcze - zaproponował z miną! człowieka wyraźnie wyczerpanego.

- To byłoby wspaniałe - wtrąciła sekretarka.-Spojrzała na zarządcę z aprobatą, unikając mojego wzroku.

Patamaa wykrztusił jeszcze:

- Obejrzeliby państwo, tego, razem dom... A mo« że pani ma ochotę iść i do obory...

- Naturalnie - odparła grzecznie sekretarka. Z trudem się opanowałem, żeby jej nie kopnąć pod stołem.

My tutaj z mecenasem porozmawialibyśmy w tym czasie o pewnej... hm, sprawie osobistej.

- Doskonale - rzekła dobitnie panna Lehmus, śląc Patamaa i Sistonenowi promienny uśmiech.

Nadszedł czas, aby wtrącić się do sprawy.

- Niezupełnie rozumiem - odezwałem się ostro - dlaczego moja sekretarka nie może być obecna przy naszej rozmowie. Przecież pan dyrektor wziął ją razem z nami w charakterze, eksperta.:

Patamaa machnął ręką. - Później, później, kiedy może... Sistonen podniósł się prędko: i - Jeżeli pani pozwoli?

- Ach, z przyjemnością.

Sekretarka wstała równie szybko. Opuściła pokój, zanim zdążyłem złapać oddech, by wyjść na przeciw. Krzeselko zatrzeszczało, gdy Patamaa dźwignął się powoli.

- Pan mecenas pozwoli, tędy, do gabinetu. Tam będziemy mieli spokój. Pokażę panu ten list.

- Proszę bardzo - powiedziałem bezbarwnym głosem.

W gabinecie stały obite skórą meble, potężne biurko, a pod ścianą solidnie wykonana kasa pancerni. Usiadłem w fotelu i zapaliłem papierosa, podczas gdy Patamaa szukał w kieszeni kluczy od kasy. Rozglądał się dookoła, jakby zdenerwowany, że ktoś może nas jednak zaskoczyć.

Zapomniałem o sekretarce. Sytuacja zaczęła mnie bardzo wciągać. Znowu ogarnęło mnie znajome, nierealne, jakby ze snu, uczucie, że dzieje się coś ciekawego. Sytuacja była nowa i dziwna. Szantaż w tym kraju był rzadkim przestępstwem, a już szczególnie, kiedy w grę wchodziły miliony. Przed wszystkim czułem się dziwnie w roli jakiegoś pseudopolicjanta. Nie miałem pojęcia, jak się prowadzi taką sprawę, nie zamierzałem jednak okazać tego

dyrektorowi. Powiedziałem ochoczo:

- No, to obejrzymy list.

Wreszcie udało mu się otworzyć kasę. Spod wielkiego stosu teczek wyciągnął kopertę. W trakcie rozważań na temat sposobu dalszego działania pocieszałem się myślą, że otrzymam zapłatę za sprawę, obojętnie, jakim niedołęgą okaże się w toku jej prowadzenia.

Mimo to poczułem szczerą chęć przyjścia mu z pomocą. Patamaa miał minę tak smutną i przygnębioną, że zacząłem mu współczuć. I chociaż nic nie wiedziałem o pracy policji, niejednokrotnie na wykładach słyszałem, że wykształcenie prawnicze rozwija i umiejętność logicznego myślenia. To się zaraz okaże...

Nasłuchałem się w audytorium uniwersytetu o wielu rzeczach, które w praktyce nie miały żadnego zastosowania. Najlepiej jednak samemu się o tym przekonać.

Patamaa obchodził się z listem ostrożnie, jakby bał się wybuchu. A może naczytał się tyle kryminałów, że nie chciał zostawić na nim odcisków palców. Pomyślałem, że z jednej strony nie chciał pozostawić swoich, a z drugiej starał się nie zatrzeć cudzych i odcisków palców, które być może znajdowały się na kopercie.

Sytuacja stała się nagle tak głupia, że z trudem powstrzymywałem się od śmiechu. Właśnie wtedy i Patamaa spojrział na mnie i chyba zauważył te uśmiewania.

Parsknął ze złością i podając bez słowa list, odszedł na bok. Zauważyłem, jak zaczął się przyglądać kafelowemu piecowi, pofałdowany kark stopniowo się zaczerwienił.

Gdy wyjąłem list z koperty, nie musiałem już zgadywać, dlaczego dyrektor był tak zmieszany.

W pokoju panowała całkowita cisza. Uniosłem brwi w zdziwieniu, gdy przeczytałem zaledwie pierwszą linijkę; list rozpoczynał się mającym wywołać

dreszczyk miłofny cytatem, napisanym na maszynie w lewym górnym rogu:

O, ukochana, jaki wieczór księżycowy, teraz rozkosz mamy już blisko.

Brałem twoją głowę do rąk jak puchar i z niej moje usta wino piły.

Jak może aż tyle wina zmieścić się w tak małym pucharze?

„Boję się”, mówisz oczyma

„Nie bój się miła”, odpowiadam oczyma

Już dojrzała pora całowania.

Wkrótce będziesz tylko zwiędłym liściem.

Czułem, jak atak kaszlu zatyka mi gardło. Powstrzymałem się jednak i bardzo ostrożnie zerknąłem na dyrektora. Stał odwrócony do mnie bokiem. Ręce trzymał w kieszeniach, nogi rozstawił szeroko, ciągle wpatrywał się w piec. Kark miał ciemnoczerwony, słyszałem przerywany oddech.

Z roztargnieniem dotykałem włosów, mrugałem oczyma. Kiedyś, dawno temu, gdy byłem śmiertelnie zakochanym piątoklasistą, cytowałem wiele wierszy. Przypomniałem sobie, z jakich wierszy pochodziły te właśnie cytaty. Pierwszy był z Koskinnie-miego, drugi chyba z Pohjanpaa - co do tego nie miałem zupełnej pewności - trzeci zaś cytat pochodził z wiersza *W domku róż* Uuno Kailasa.

Powinienem się chyba uśmiechnąć, ale nie było mi jakoś do śmiechu. Po tych fragmentach wierszy zaczynał się prawdziwy list: *Panie dyrektorze rolny.*

Chyba te strojy wydają się panu znajome. Czy przypomina sobie pan, że to pańskie pióro umieściło je w pewnych listach, zaadresowanych do pewnych osób? Pozwoliłem sobie zacytować z pańskich listów tylko niezbyt intymne fragmenty, najbardziej charakterystyczne strojy. Ale chyba i te przykłady są dowodem, że niektóre pana listy dostały się w obce ręce. Kiedy czyta się pańskie słowa, rezultat jest taki, że wrodzona skromność zabrania mi przytaczania tekstu. Wystarczy, jeśli powiem, że opisuje pan intymne chwile spędzone w towarzystwie pewnych pań stylem płomiennym, szczerym, i proszę mi wyt baczyć, także i śmiesznym.

Nie poczułem szczególnego zaciekawienia, zrobiło mi się raczej nieprzyjemnie. Szantażysta, na domiar wszystkiego, wykazał zgryźliwą ironię i niezależnie od tego dobroduszość:

...wrodzona skromność nie pozwala mi powtórzyć...

To był szczyt wszystkiego! Kryjący się za tyra człowiek już dawno stracił wszelkie poczucie wstydu*

Kontynuowałem czytanie, czując, jak mi czoło wilgotnieje od potu. Uczucia dyrektora Patamaa mogłem sobie tylko wyobrazić. Szantażysta odrzucił teraz fałszywe uprzejmości i przystąpił do rzeczy:

Jako przewodniczący zarządu szkoły, członek rady kościelnej, przewodniczący rady nadzorczej miejscot wego banku Ud. itd., nie chce pan chyba, aby listy te ujrzały światło dzienne. Śmiech świata jest bezli-. tosny. Chcę panu zaoszczędzić oczekujących go nieprzyjemności pod warunkiem, że do 15. tego miesiąca przekaże mi pan dwa miliony (2 000 000) marek w sposób, o którym bliższe wskazówki przekażę panu 14. bm. Pieniądze w tysiącmarkowych banknotach proszę przygotować zawczasu. Ten list ma za zadanie dać panu czas potrzebny dla przemyślenia i załatwienia sprawy.

Moje uczucie beztroski znikło. List był bezczelny, wstrętny, i co gorsza, nadawca wiedział, co chce osiągnąć. Jadąc tutaj, żywiłem nadzieję, że ktoś chciał zabawić się kosztem Patamaa, ale teraz le nadzieje rozwiały się. List nie miał w sobie nic z zabawy. Jego przejrzysty i pozbawiony uczuć rzeczowy ton potwierdził groźną prawdę.

Gryząc wargi czytałem dalej.

Gdyby stało się tak, że pan nie chciałby zapłacić za moje dobre rady żądanej sumy (listy zwrócą po otrzymaniu pieniędzy), mogą tylko powiedzieć, co się w tym wypadku stanie. Zaczną od pastora, po nim przyjdzie kolej na aptekarza, a potem leśniczy, le-karz, policjant, nauczyciel. Nie potrzeba chyba dalej wyliczać. Mogą tylko dodać, że włączą do programu również inseminatorke, która chodzi od domu do domu, a może i inne znane z gadulstwa

kobiety. Więcej słoju chyba nie potrzeba. Sprawa mówi sama za siebie. Wierzą, że 14. bm. bądźcie pan rozsądny, kiedy skontaktują się z panem i przekażą ostatnie wskazówki.

Przyjaciel w biedzie

Zakląłem głośno, z trudem opanowując się, by nie zmiąć listu. Podpis wyjaśniał do końca charakter nadawcy. Mówienie o sobie per przyjaciel w biedzie* to zbyt świńskie w tej sytuacji.

Patamaa odwrócił się nagle, słysząc ordynarne przekleństwo. Sekundę przyglądał mi się. Przypuszczalnie przejrzał mnie, widział, że jestem całkiem po jego stronie, że nie odczułem żadnej satysfakcji z nieszczęścia drugiego, bo sapiąc ciężko, powiedział:

- Widzi pan.
- Widzę. Rzeczywiście widzę...
- Że też takich święta ziemia nosi.
- No właśnie... Ale proszę się zbytnio nie denerwować...

Przerwał mi i zirytowanym, chrapliwym głosem rzucił:

- Jak pan widzi, list jest zmiętoszony od wielo - I krotnego wyjmowania. Deptałem nogami po nim... I Podnosiłem go jednak i wyglądałem papier. O, cholera, jak bym go... no, ale niech tam... Przekleństwa tu nic nie pomogą.

- Na pewno nie - przytaknąłem. - Ale jeżeli to panu ulży, bardzo proszę.

- Już odzyskałem spokój - rzekł powoli. Dopiero teraz przyjrzałem mu się uważnie. Nie-1 bieskie źrenice już nie przypominały porcelany. Spod przymrużonych powiek żarzyły się oczy twarde jak metal.

- Moje nerwy wytrzymają - ciągnął dalej z groź-1 bą w głosie. - I grosza nie zapłacę temu plugawe-I mu łajdakowi, póki jestem Jussi Patamaa...

- Powiedział pan to już w biurze.

- Jeszcze wiele razy powtórzę. I dodam jeszcze, że jak rozwiążemy tę zagadkę i znajdziemy tego nędznego robaka, to przeklnie swoje przyjście na świat!

- Możliwe - odparłem powściągliwie. Patamaa rzucił się na wielki obity skórą fotel stojący naprzeciwko mnie.

- No tak, panie mecenasie. I co my teraz zrobimy?

Bąłem się w duchu tego pytania. Co prawda on był tu płatnikiem, ale w tym momencie wiele dałbym, gdybym umiał odpowiedzieć na to pytanie.

Nie pozostało mi nic innego, jak tylko mruknąć:

- Trochę cierpliwości... Zobaczymy.

Zacząłem na nowo badać list, tym razem już skrupulatniej. Przede wszystkim obejrzałem go ze wszystkich stron. Papier był biały, format typowy. Odwracając list pod światło padające z okna, zobaczyłem znaki wodne banku w Jyväskylä. Taki papier był dostępny wszędzie, we wszystkich sklepach. W tym względzie moje niewprawne oko nie zdało się na nic. Pomyślałem sobie, że nawet po przeprowadzeniu analizy w laboratorium policyjnym papier okazałby się najprawdopodobniej tylko zwykłym papierem. Jeszcze raz obejrzałem list pod światło i odchrząknąłem. Papier nie miał nawet tej przysłowiowej plamy oleju, na podstawie której detektywi zazwyczaj w mig rozpoznają w szantażyście ślusarza, noszącego obuwie nr 45.

Starąłem się być dowcipny w swoich rozważaniach, ale raczej nie było mi do śmiechu. Dyrektor Patamaa był w prawdziwym kłopotcie i wcale nie miał zamiaru płacić prawnikowi, który pod pierwszym lepszym pretekstem zrezygnuje i wycofa się ze sprawy.

Zacząłem badać litery. Czarny ślad dowodził, że taśma była nowa, może kupiona tylko do napisania tego listu, a potem zniszczona. Czcionka maszyny w dość dobrym stanie. Litery eleganckie, a odległość między wierszami nie za szeroka. Stwierdzenie tego faktu nie uczyniło mnie mądrzejszym, i tak ledwo odróżniałem Remingtona od Olivetti.

Naraz pomyślałem, że może analizując treść listu dojdę do konkretnych wniosków. W liście było wiele poprawek, które w sposób niefachowy umieszczono na marginesie lub nad linią tak, że litery zachodziły częściowo na

siebie. Panna Lehmus z pewnością mogłaby wypowiedzieć się w tej sprawie bardziej rzeczowo, ale ja sam doszedłem do wniosku, że piszący niewiele miał przedtem do czynienia z maszyną do pisania.

Nastrój odrobinę mi się poprawił, byłem gotów przedstawić moje wnioski dyrektorowi, ale wtedy wpadła mi do głowy pewna myśl. Co przeszkadza doświadczonej maszynistce udać niezaradną? List można wystukać jednym palcem, a błędy zrobić naumyślnie. Doskonały sposób, aby sprowadzić zdenerwowanego badacza na manowce.

Westchnąłem, ale nie ustąpiłem.

Zastanowił mnie rzeczowy styl listu. Wykształcony osobnik próbował grać prostaka. Odwrotne postępowanie byłoby trudne, często wręcz niemożliwe. Niewykwalifikowany robotnik po szkole podstawowej nie byłby zdolny do tak jasnego formułowania myśli i tak ironicznego tonu, i chyba nie mógłby też, nawet gdyby bardzo chciał, zrolżyć tego tak doskonale. Nie ulegało wątpliwości, że list napisał ktoś, kto posiadał pewien stopień wykształcenia. O to mogłem się nawet założyć. Tknięty nagłą myślą zapytałem:

- Czy nie wydaje się panu, że jest w liście coś znajomego?

- Znajomego? - Patamaa zmarszczył czoło.

- Tak. Może jakieś wyrażenie, szyk zdań czy coś takiego, co panu coś przypomina? Pokręcił przecząco głową:

- List przeczytałem dziesięć razy. Nic podobnego nie zauważyłem.

- Czy w kręgu pana znajomych ktoś... chwileczkę, nie używa zwrotu „wrodzona skromność zabrania mi powtarzać”?

- Nie sędzę. Na pewno nie.

- Lub na przykład „śmiech świata jest zawsze bezlitosny”?

- Nie, nigdy tego nie słyzałem. W dalszym ciągu przeglądałem lisf. lim.

A zwrot „pozwolę sobie”?

- Przecież tak każdy może powiedzieć.

- Ale niektórzy mają zwyczaj mówić tylko tak.

- Wiadomo, mogą mówić. Nie umiem połączyć tego z żadnym moim znajomym.

- Ach tak.

Sam musiałem stwierdzić, że list był ułożony po mistrzowsku, w sposób nieokreślony i pozbawiony jakichkolwiek cech indywidualnych. Nabierałem przekonania, że kryje się za tym osoba pedantyczna i podstępna. To stwierdzenie ani trochę nie poprawiło mojej wiary w siebie. Przykre, ale wydawało się, jakby ktoś przede mną wszystko przemyślał i wyliczył. Mruknąłem, aby coś powiedzieć:

- Myślę, że gdybym ja otrzymał taki list i znalazłbym w nim zdanie, w którym ktoś pisze, że bezczelność mi nie przystoi, odgadłbym zaraz, że list wysłała sekre... hm, tak, ale to nie ma nic do rzeczy.

- Z pewnością nie - odparł oziębłe Patamaa. - Mamy mówić o czym innym.

W jego głosie było coś zastanawiającego. Podejrzewałem, że zaczyna tracić wiarę w moje zdolności. Drgnąłem i podnosząc głowę, spojrzałem na niego.

- Nadeszła pora wyjaśnić pewne rzeczy - powiedziałem spokojnie. - Brakuje mi wielu podstawowych danych, mających zasadnicze znaczenie. Pozwoli pan, że zadam kilka pytań...

- Proszę bardzo. Bez wykrętów odpowiem na wszystkie. Jestem w pełni świadom kłopotliwej sytuacji. Nawarzyłem sobie piwa, więc muszę je wypić. Mam na myśli to, że jeśli razem, panie mecenasie, wkroczyliśmy na tę drogę, to rozumiem, że niczego nie mogę ukrywać z powodu wstydu czy czegoś w tym rodzaju. Tylko w ten sposób dojdziemy do celu, jeżeli dojdziemy...

Pomyślałem sobie, że słowo „jeżeli” było bardzo na miejscu i pewniej się poczułem. Uwolniłem się od niedawnego przekłętą małpowania detektywów.

Stałem na pozycji sędziego śledczego. Wierzyłem, że coś niecoś wiem o tej pracy. Nie byłem szczególnie zdolnym prawnikiem, lecz zdarzało się, że w

krzyżowym ogniu pytań zmusiłem świadka do mówienia całej prawdy. Zdecydowałem, że wkrótce będę wiedział wszystko, co wie pan Patamaa.

- Zaczynajmy - powiedziałem bez dłuższego wstępu. - Ja będę pytał, a pan będzie odpowiadał.:

- Dobrze.

- Ma pan w Helsinkach dwie kochanki?

Dyrektor Patamaa skrzywił się. Ale obiecał odpowiadać na wszystkie pytania i dotrzymał słowa. Po przezwyciężeniu zakłopotania nie próbował się już wykręcać, a odpowiedzi padały jak z karabinu maszynowego:

- Tak jest.

- Jedna jest wdową, koło czterdziestki, cicha, kobieca?

- Zgadza się. Dokładnie zapamiętał pan moje słowa.

- Pewne rzeczy zapamiętuje się - zauważyłem skromnie. - Jak się nazywa ta pani?

- Elsa Einola. - Gdzie mieszka?

- W Tbolb.

- Dokładniej?, - Lastenlinnantie 19 A 2;;

- Sama? - Ma pomoc domową.

- Pracuje?

- Tak. Jest maszynistką w Ministerstwie Spraw Zagranicznych.

- No, to nie muszę nawet pytać, czy ma do czynienia z maszyną do pisania.

Patamaa zmarszczył czoło i odpowiedział krótko;

- Nie, nie musi pan.

- Jak długo pan ją zna?

- Ponad pięć lat.

- I napisał pan do niej kilkadziesiąt listów?

- Niestety.

- Poezję zna pan dość dobrze?

- Trochę czytywałem.

- Czy właśnie w listach wysyłanych do pani Ei nola korzystał pan z wierszy takich poetów jak Koskenniemi, Pohjanpaa i Kailas?

- Na pewno tak. - Po jego minie widać było, że zadziwiło go moje pytanie.

- Czy włączył pan te wiersze również do listów drugiej tutaj wymienionej osoby? Tej, o której wyraził się pan „wysoka, wesoła blondynka”?

„- Przykro mi, ale tak. Te ostatnie wymienione przez szantażystę cytaty pochodzą z moich ulubionych wierszy.

- Jak ma na imię ta druga kobieta?

- Iris Rytkbnen.

- Adres?

- Punavuorenkatu 22 C 14.

Sądząc z dzielnic miasta, adresy jego kochanek różniły się znacznie. Z pewnością dotyczyło to również i kobiet.

- Czy panna Rytkbnen mieszka sama?

- Tak. Wynajmuje pokój.

- Jak długo pan ją zna?

- Około półtora roku.

- Gdzie państwo się poznali?

- Na dansingu w pewnej restauracji.

- Hm... to ta panna, jak myślę, nie może przyjmować gości w pokoju sublokatorskim?

Patamaa uśmiechnął się blado.

- W Helsinkach jest sporo hoteli.

- Rozumiem. To tyle. Czy panna Iris Rytkbnen pracuje?

- Tak, to znaczy, pracowała.

- Gdzie?

- W pewnym barze porcjowała dania.;

- I rzuciła tę pracę?

- Tak.

- Kiedy?

- Około dziewięciu miesięcy temu.: i - Dlaczego?

- Na moją prośbę! - wykrzyknął.

- Obiecał pan zapewnić jej utrzymanie?

- Właśnie. Jest biedną dziewczyną, a ja mam dość pieniędzy. Muszę jednak powiedzieć, że jest to cholernie krzyżowy ogień pytań.

- Co zrobić - odpowiedziałem cicho. - Zadam teraz pewne pytanie, na które chyba jest bardzo trudno odpowiedzieć. Zgodzę się nawet z tym, że gdyby znał pan odpowiedź na to pytanie, nigdy nie przyszedłby pan do mojej kancelarii. Ale jednak zapytam...

- Bardzo proszę.

- Przypuśćmy, że listy nigdy nie zostały zgubio-. ne... Nie trafiły do cudzych rąk. Przypuśćmy, że prawdziwą szantażystką jest albo pani Einola, albo panna Rytkbnen. Czy uważa pan za możliwe, aby któraś z nich mogła maczać palce w tak brudnej grze?

Patamaa nie odpowiedział od razu. W toku naszej rozmowy zapalił cygaro i teraz przyglądał się sterczącemu na czubku cygara szaremu popiołowi. Po chwili zaczął powoli mówić:

Itozważałem tę sprawę. Powiem wprost, że jeśli chodzi o Elbę... to jest o panią Einola... w coś podobnego nie wierzę. Znam ją tak dobrze i wydaje mi się, że jest człowiekiem prostolinijnym. W dodatku sądzę, że zabrakłoby jej wyobraźni do czegoś takie-go. Oczywiście dwa miliony wolne od podatku przy-
* dadzą się każdemu, ale o ile wiem, Elsa nie ma trudności finansowych. Myślę, że ma pewne oszczędności. Nawet do pracy chodzi raczej dla zabicia cza-* su i żeby czuć się potrzebną. Tak że... Spokojnie czekałem. Patamaa ciągnął dalej:

- Moja odpowiedź, jeżeli chodzi o Elbę, byłaby więc stanowczo przecząca. Albo raczej byłaby taka jeszcze tydzień temu, zanim otrzymałem ten

list. Teraz nie mogę powiedzieć nic innego poza tym, że z kobietami nigdy nic nie wiadomo...

- Rozumiem. No a panna Rytkdnen?

- Ona to co innego! Chociaż mówi się, że kiedy stary mężczyzna zakocha się w młodej kobiecie, zupełnie traci głowę, ja jednak zawsze mam przynajmniej jedno oko do połowy otwarte. Muszę zaznaczyć, że Iris jest trochę lekkomyślna i lubi się bawić. Trzeba też przyznać, że dobrze zna się 'na pieniądzach i myśli o przyszłości. Głupio mi o tym mówić, bo wyglądam wobec tych faktów idiotycznie, ale...

Nie odezwałem się ani słowem.

- Dodam jeszcze - ciągnął dalej Patamaa patrząc na cygaro - że chociaż Iris zupełnie zawróciła mi w głowie, to ostatnio uczucie to zaczęło przemijać. Zacząłem pojmować własną głupotę. Może Iris to wyczuła i... no i koniec, wie pan, panie mecenasie, jak to jest.

- Czy mam rozumieć, że pana odpowiedź, jeśli chodzi o pannę Rytkdnen jest twierdząca?

Patamaa wzruszył ramionami.

- Trudno mi kogokolwiek wskazać palcem. Raczej ujmę to w ten sposób: prędzej Iris mogłaby wykombinować coś takiego niż Elsa. Po niej prędzej bym się tego spodziewał.

- Na razie wystarczy i to - bąknąłem. - Nie wyciągajmy zbyt pochopnych wniosków. Zbyt proste rozwiązanie rzadko bywa prawidłowe. Wydaje mi się, że to dopiero początek...

- Ja też tak sędzę - zgodził się Patamaa. Milczałem chwilę. Nagle odezwałem się:

- Wie pan co...

- Słucham?

- Obejrzałem już list, a to było głównym powodem, dla którego tu przyjechaliśmy. Czy jednak nie jesteśmy teraz tutaj na wsi zbyt daleko od biegu

wydarzeń? Czy nie byłoby lepiej, gdybyśmy wrócili do Helsinek i...

- I co?

- Czy może pan zorganizować spotkanie z tymi kobietami? - zapytałem. - Rozumie pan, nie jestem osobiście zamieszany w sprawę, więc łatwiej mi o obiektywizm. Gdybym mógł się pod jakimś pozorem z nimi spotkać albo po prostu powiedzieć im otwarcie, dlaczego przychodzę, mógłbym z tego, jak się zachowują, wysnuć pewne wnioski...

Patamaa nagle zmienił się na twarzy. Spojrzał na mnie z zainteresowaniem i wtrącił:

- Niech mnie pan posłucha, panie mecenasie. Chyba jednak trafiłem na odpowiedniego człowieka.

- A nie wyglądam na takiego? - zapytałem uśmiechając się.

- Hm... nie, tego nie mogę powiedzieć. Ale dotąd Iprawiał pan wrażenie hm... powolnego, czy coś w tym rodzaju...

- Wyglądałem na flegmatyka? - dopytywałem się.

- Coś w tym rodzaju. Ale teraz widzę z zadowoleniem, że bierze pan rzecz poważnie. - Zakaszłał i ciągnął dalej: - Czuję... hm... tego... ulgę, że już nie jestem sam w towarzystwie tych piekielnych koszmarów...

Skłoniłem uprzejmie głowę, ale nie pospieszyłem z podziękowaniem za uznanie. „Koniec wieńczy dzieło”, głosi przysłowie, a prawdę mówiąc, nie miałem pojęcia, jak się to wszystko skończy.

Patamaa powiedział z naciskiem:

- Cieszę się, że jest pan człowiekiem czynu. Wykazuje pan inicjatywę i nie zadowala pana tylko narzekanie i oczekiwanie na mój czek. A co dotyczy pana propozycji spotkania z nimi, to... - zastanawiał się przez chwilę w skupieniu. - Myślę - ciągnął dalej - że to się da zrobić. - Wyjął z kieszeni kamizelki gruby złoty zegarek i spojrział na niego. - Sądzę nawet, że załatwimy to jeszcze dzisiaj.

Postanowiliśmy wyjechać z majątku zaraz po obiedzie. Chcieliśmy jak najprędzej dojechać na miejsce. Ustaliliśmy z Patamaa pewne sprawy organizacyjne i szczegóły dotyczące wieczornych spotkań. Wyszedłem poszukać sekretarki. Patamaa został w swoim pokoju, aby zamknąć kasę pancerną. List szantażysty, na moją prośbę, oddał mi na razie na przechowanie. Kiedy wsunąłem go do wewnętrznej kieszeni marynarki, wydawało mi się, że mina dyrektora złagodniała. Sprawiał wrażenie człowieka, który uwolnił się od ciężkiego brzemienia. Tak, jakby to była różnica, w czyjej kieszeni znajduje się ten przeklęty dowód. Z całą pewnością czekało nas wiele kłopotów i trudności.

Gdy wyszedłem, kwietniowe słońce oślepiło mnie na moment. Pora była popołudniowa i po nasłonecznionej stronie budynków wibrowało rozpalone powietrze. Panowała tutaj zupełnie inna atmosfera i zapach niż w mieście. Przez chwilę stałem w miejscu i oddychałem głęboko. Paskudny nastrój, jaki miałem w gabinecie gospodarza, poprawił się w sposób zdumiewający. Poczulem szum wiosny dokoła. Wypełnił mnie jakiś przypływ młodości. Chociaż wiele jest na świecie trudności, istnieją one jednak po to, by je zwalczać. A poza tym inni ludzie się z nimi tym razem borykali...

W tym momencie w moim polu widzenia pojawiła się sekretarka w towarzystwie zarządcy majątku. Wychodzili ze stajni, żywo rozmawiając. Już z daleka zauważyłem, jak połyskiwały zęby panny Leh-fflus. Uważałem dotąd, że ma zbyt grube usta, lecz tutaj na wsi uśmiech miała dziwnie świeży i naturalny. Na ziemi leżały resztki śniegu. Widziałem, jak Sistonen troskliwie trzymał sekretarkę za łokieć. Zarządca miał już swoją czterdziestkę na karku i był widocznie w wieku, kiedy mężczyźni przychodzi ochota, by takie kobiety nosić na rękach. Nie zważałby nawet na to, że sekretarka, choć wiotka, ważyła te siedemdziesiąt kilo, pomyślałem ironicznie.

Nastrój poprawił mi się nagle, kiedy zauważyłem, że Sistonen pomimo szerokich ramion nie jest wysokim mężczyzną. Z tego powodu nigdy nie lubiłem potężnych mężczyzn. Byli według mnie napuszeni i zarozumiali,

przebijali się przez życie raczej swoim ciężarem niż rozumem, którego niewiele mieli, a i tak używali go od święta. Przyglądając się teraz podobnej do amazonki sekretarce, jej kształtnym łydkom i zgrabnym kostkom, widząc jej wyprostowaną sylwetkę i lekki chód, chciałbym być o tych piętnaście centymetrów wyższy.

Zauważyłem także i to, że nie miała ona w sobie nic z ociężałości. Jej piersi sterczały wysoko, a biodra miała takie, że rzeźbiarz Vainb Aaltonen byłby pewnie zachwycony, widząc tak wspaniale zaokrąglone wypukłości. Gdy się zbliżała, doszedłem do wniosku, że właściwie niczego jej nie brakuje, a gdy zdjęła płaszcz, jej sylwetka odcinała się na tle jasnego kwietniowego nieba i niezwykle smukła talia - czyniła z niej istotę bardzo kobiecą.

Sistonen i sekretarka stanęli koło mnie.

- No i co? - powiedziałem dość twardo. Sekretarka po raz pierwszy tego dnia uśmiechnęła się do mnie. Uśmiech miała powściągliwy, ale byłem jej wdzięczny i za to. Zarządca Sistonen musi widzieć, że stosunki między mecenasem Viima i jego sekretarką są bez zarzutu.

- Byliśmy w stajni - odezwała się z entuzjazmem. - Widziałam ślicznego żrebaka o długich nogach...

- Dobrze, dobrze... - odparłem obojętnie. - Chciałem pani powiedzieć, że wracamy do miasta.

- Teraz, zaraz? - wtrącił się Sistonen.

- Tak postanowiliśmy.

- Naprawdę? - Sistonen wzruszył ramionami. - To idę do gospodarza po instrukcje.

Okrzyżył nas i słyszałem, jak wchodził na schody ganku za naszymi plecami. Ten facet działał mi na nerwy. Widocznie myślał, że jak gdyby nigdy nic pojedzie razem z nami do miasta. Niestety, jako kierowca był niezastąpiony ze względu na stan zdrowia dyrektora. Przestałem sobie nim zawracać głowę i zwróciłem się do sekretarki:

- Może byśmy się przeszli? Chociaż do końca alei brzozonej i z powrotem. Mam pani coś do powiedzenia...

Sekretarka skinęła głową i po prostu stanęła koło mnie. Zerknąłem na nią ukradkiem, byliśmy równi wzrostem. Zwróciłem uwagę i na to, że buty miała na średnim obcasie. Nie cieszyła mnie myśl, że zakładając buty na szpilkach, byłaby wyższa ode mnie.

Przeszliśmy kawałek drogi w milczeniu. Dokoła nas w drżącym powietrzu unosił się ledwo wyczuwalny zapach pąków.

- No i co - odezwała się.

- Chciałbym pani wyjaśnić pewne sprawy.

- Słucham.

- Przede wszystkim to, dlaczego tutaj jesteśmy.

- Dobrze. Postaram się wysłuchać z uwagą. Mam różne wady, ale nie mogę narzekać na brak elokwencji. W ciągu piętnastu minut opowiedziałem jej wszystko, co się zdarzyło, tak że wiedziała teraz tyle, co i ja. Słuchała, nie przerywając mi ani razu, a kiedy skończyłem, kiwnęła głową na znak, że zrozumiała. Raz jeszcze przekonałem się, że jest kobietą bardzo rzeczową. Każda inna, słysząc o dziwnych przygodach dyrektora Patamaa, zaczęłaby biadolić.

- Co teraz? - zapytała, kiedy zbliżyliśmy się do dworku.

Białe ściany jaśniały w słońcu, a czarny buick stojący dumnie przed kolumnami ganku świetnie pasował do całości obrazu.

- Stańmy na moment - powiedziałem. Zatrzymała się posłusznie i odwróciła się w moją

stronę. Mieliśmy oczy na tej samej wysokości i dość blisko siebie. Znowu mówiłem przez kilka minut, wyjaśniając, co z dyrektorem zaplanowaliśmy na ten wieczór.

Na znak, że zrozumiała znowu skinęła głową. Zapytała jednak:

- Czy koniecznie muszę iść z wami?

- Tak, bo jest pani kobietą.

Myślę, że opatrzenie mnie zrozumiała. Trudno temu zaprzeczyć, bo może rzeczywiście powiedziałem to tak, jakbym dopiero teraz potraktował ją jako prawdziwą kobietę. Odwróciła nagle głowę, a ja wyjaśniłem szybko:

- Uważam... że tylko kobieta może ocenić drugą kobietę. Tak beznamyślnie, krytycznie i obiektywnie. Dla nas, mężczyzn, kobiety są zawsze cholernymi zagadkami, a w tym wypadku musimy wyjaśnić, która rzeczywiście kłamie.

- Rozumiem. Więc ta pani Einola twierdzi, że zniszczyła wszystkie listy miłosne dyrektora?

- Tak mówiła.

- Panna Rytkbnen utrzymuje tak samo? - Właśnie.

- A jednak listy są w posiadaniu jakiegoś szantażysty? - upewniła się sekretarka.

- Bez wątplenia. Wiadomości zawarte w liście szantażysty są tak dokładne i szczegółowe, że pomyłka jest wykluczona.

- To ciekawe - odwróciła głowę do światła. Widziałem odbicie dnia w jej zielonkawych oczach. Nagle powiedziała:

- W tym wszystkim jest coś dziwnego...

- Co takiego? - zapytałem chociaż i mnie coś podobnego przyszło do głowy.

- Przede wszystkim chociażby i to, że dyrektor Patamaa wypisywał różne czułości i głupstwa w swoich listach. Znam tego typu mężczyzn. Osobnicy ruchliwi i otyli, ale mający poczciwą i poetycką duszę.

- Tak dobrze zna pani mężczyzn?

- Dlaczego nie? Nie jestem już taka młoda. - O ile wiem, ma pani dwadzieścia sześć lat. i - W tej chwili to chyba jest nieistotne? (- Hm... Taak... możliwe. Niektóre kobiety w tym wieku mają już dzieci... Tego... tak...

Z jakiegoś powodu nie spodobało jej się to, co powiedziałem. Zmieniła

się na twarzy.

- Odbiegliśmy za daleko od tematu - powiedziała chłodno. - Jednym słowem Patamaa przelewał i swoją nieśmiałość na papier. Rzecz jasna, że to nic przyjemnego, gdyby się o tym dowiedzieli jego zna-*, jomi. Ale z drugiej strony jest kawalerem. Nie ma *i.* więc prawdziwego powodu, żeby się bać. Pewnie, że „ ‘ serdecznie by się uśmiali, ale...

W tym momencie wtrąciłem się: - Ale on należy do tych, którzy nie znoszą, jak się z nich śmieją.

- Na to wygląda. To dlaczego w tym wypadku nie chce płacić? Dwa miliony to przy jego majątku kropla w morzu.

Sekretarka zatoczyła ręką w powietrzu koło, jakby zamykając w nim stojący przed nami wspaniały dom i całą posiadłość dyrektora. Patrzyłem na nią z pewnym zdziwieniem. Czyżby była aż tak krótkowzroczna? Po chwili odezwałem się:

- Przede wszystkim Patamaa nie zapłaci szantażyście grosza, dopóki nazywa się Jussi Patamaa. Już parokrotnie mi to powiedział. Po drugie, szantażyście w ogóle nie należy płacić. W tej chwili dwa miliony... jutro trzy... pojutrze pięć. Kiedy ofiara zreflektuje się, jest już zgubiona. Żądania szantażysty nie skończą się nigdy. Szantażysta nigdy nie jest usatysfakcjonowany, chyba tylko wtedy, gdy wydusi ze swej ofiary ostatni grosz. W tym wypadku wtedy kiedy Jussi Patamaa zostanie goły jak święty turecki.

Moje wzburzenie wywołało lekki uśmiech na twarzy panny Lehmus.

- Chyba ma pan rację. Ale szantażysta obiecał zwrócić listy po otrzymaniu dwóch milionów.

- Uhm, obiecał - powiedziałem. Pogardliwy ton głosu dość wymownie podkreślał, co myślę o tego rodzaju obiecankach. W każdym razie panna Lehmus nie mówiła już o tej sprawie. Skierowała rozmowę na inne tory.

- Ile osób wie o liście szantażysty?

- W tej chwili?

- Tak.

Nie musiałem się długo zastanawiać.

- Jeżeli odrzucimy nadawcę listu szantażystę i jego Ewentualnych pomocników i weźmiemy pod uwagę tylko stronę adresata, to razem z dyrektorem o sprawie wie tylko Sistonen, ja i teraz, po mojej opowieści, pani. O to samo zapytałem dyrektora przed wyjściem na dwór, kiedy zastanawialiśmy się, w jaki sposób wprowadzić w życie plan, dotyczący dzisiejszego wieczoru.

Sekretarka uniosła lekko brwi. - Czy trzeba było mówić o tym Sistonenowi?

Poczułem pewną satysfakcję. Panna Lehmus po* wiedziała to nieco podniesionym tonem. Jeżeli dobrze zrozumiałem, nie podobało się jej, że w tak ważną rzecz wtajemniczono człowieka, należącego do służby. Z przyjemnością wywnioskowałem, że Sistonen w czasie niedawnego prezentowania żrebaków nie zyskał uznania w jej oczach.

Pytanie sekretarki podziałało na mnie tak, że po rycersku ująłem się za Sistonenem. Przed wyjściem

CI

I Od Patamaa otrzymałem dodatkowe wiadomości o nim.

- Proszę wziąć pod uwagę. - powiedziałem - że Sistonen nie jest zwykłym zarządcą. Chyba jadąc tutaj, słyszała pani, jak Patamaa to podkreślał. Oprócz tego przed chwilą opowiadał mi o długu wdzięczności wobec Sistonena jeszcze z czasów wojny. Młody podporucznik uratował wtedy podobno duszę tłustego kaprala, czy coś w tym rodzaju. Patamaa nie wyjaśniał tego dokładnie. Ale z jego opowiadania można było wywnioskować, że ci towarzysze broni, tutaj, w wiejskiej ciszy od czasu do czasu wychylają razem kieliszeczek i z rozrzewnieniem wspominają przeszłość. Robią to w wieczory saunowe, a kiedy indziej także, gdy Patamaa akurat nie ma zebrania rady kościelnej...

Sekretarka zaśmiała się. Śmiech był tak samo cichy i łagodny jak głos. Ciągnąłem dalej:

- Poza tym Sistonen był powiernikiem w tych podróżach do miasta. Chyba i on musi mieć w Helsinkach jakąś kobietę, żeby beczynn timer czekać na dyrektora...

Zerknąłem ukradkiem na sekretarkę, ale ona odpowiedziała tonem osoby znającej się na rzeczy: - Z pewnością. Przecież taki wspaniały postawny mężczyzna w sile wieku nie ma powodu do narzekania na brak powodzenia.

- Nie jest aż tak bardzo postawny. A w głowie coś ma?

Na twarzy panny Lehmus pojawił się uśmiech, którego nie lubiłem.

Uył studentem, studiował na wydziale rolniczo-leśnym.

- Ale nie skończył, prawda?

- Był już blisko egzaminu na agronoma, kiedy skończyły mu się pieniądze. Pochodzi z biednego domu i sam sobie torował drogę. Potem ukończył tylko szkołę rolniczą i...

- To mnie nie interesuje - uciałem. - Uważam tylko, że w krótkim czasie zdążył otworzyć przed panią serce i naopowiadać bzdur o swoim nieszczęśliwym dzieciństwie.

Odezwała się ostrym tonem: - Biedy nie trzeba się wstydić.

Okropnie się zdenerwowałem. Przypomniały mi się studia. Chociaż mój stary, pijąc, doprowadził duży majątek do bankructwa, jednak aż do końca przysyłał synowi pieniądze na to, by mu język nie wysechł z głodu podczas nauki.

Zauważyłem, że nasza rozmowa zabrnęła w ślepy zaułek i nie potrafiłem powiedzieć nic poza niezycliwym:

- Może wróćmy już. Wszystkie sprawy są jasne, prawda?

- Tak jest, panie mecenasie.

Panująca od rana napięta atmosfera znowu powróciła. Gdy w milczeniu szliśmy w stronę domu, przeklinając siebie w duchu dziwiłem się, dlaczego nie

umiem postępować z sekretarką. Gdy gdzieś na horyzoncie zamajaczyła już jakaś zgoda, nasze poglądy zderzały się znowu ze zgrzytem. Kiedy weszliśmy do domu, co innego zaprzętnęło moją uwagę.

Do majątku przybył nowy gość, którego Patamaa przedstawił jako dyrektora miejscowego banku. Jeżeli dobrze usłyszałem nazwisko, gość nazywał się Kanervamaki. Siedzieli razem w kącie salonu umeblowanego w stylu Gustawa, przed nimi leżał stos dokumentów, które Kanervamaki widocznie dopiero co wyciągnął z brązowej teczki opartej o nogę stołu. Dyrektor banku był niezwykle chudy. Usta jego wykrzywiał grymas właściwy ludziom cierpiącym na żołądek. Miał wielki nos, okulary w grubej czarnej oprawie. Poza tym bardzo duże, odstające uszy. Jabłko Adama podchodziło tak wysoko, że tworzyło na szyi spory wzniesienie. Zauważyłem również, że mrugał oczami za szklami okularów, a ręce były w bezustannym ruchu, gładząc przerzedzone włosy lub też pokrycie poręczki fotela.

Zdawało mi się, że kiedy z sekretarką weszliśmy, do salonu, Patamaa rzucił nam niezyczliwe spojrzenie. Byłem pewien, że w tym momencie nie chciałby po prostu nas widzieć. Widocznie z jakiegoś powodu przyszliśmy nie w porę. Po prezentacji Patamaa wyjaśnił powody, ale tonem tak nieuprzejmym, że nie poznałem w nim mężczyzny, którego zostawiłem w gabinecie pół godziny temu.

- Mamy z dyrektorem Kanervamaki bardzo ważną naradę. Jak państwo wiedzą, jestem przewodniczącym rady nadzorczej banku. Tak że... - Przygryzł wargi i zastanawiał przez chwilę, po czym wydobyl swój złoty zegarek, szybko na niego zerknął i w końcu powiedział, siląc się na uprzejmy ton: - Jeśli nie ma pan mecenasa nic przeciwko temu, to może pan przez jakieś pół godziny... no, najwyżej godzinę, obejrzeć sobie okolicę. Praca na wsi jest panu mało znana i z pewnością pana zainteresuje...

- Pochodzę ze wsi - powiedziałem twardo.

- Ahaa, ahaa... No, to proszę spędzić czas według własnego uznania. Jak

powiedziałem, to nie potrwa długo. Obiad jemy o piątej, a potem od razu wyjeżdżamy do miasta.

;;ic też stało. Obiad był nadzwyczajny, a wina wyborne. Panował jednak przygnębiający nastrój, chociaż wszyscy starali się ożywić atmosferę, poruszając najrozmaitsze tematy. Nikt jednak nie odezwał się słowem w sprawie najważniejszej - czekającej nas podróży do miasta.

Przy stole było nas czworo: gospodarz, Sistonen, sekretarka i ja. Sistonen przebrał się w ciemny garnitur i białą koszulę. Miał elegancko zawiązany krawat, a sztucców używał w taki sposób, że nawet moje krytyczne spojrzenie nie miało mu nic do zarzucenia.

Widocznie plotąc sekretarce o swojej przeszłości, mówił prawdę. Naprawdę umiał się zachować, a także prowadzić konwersację, o ile w ogóle można było ożywić rozmową tę drętwą atmosferę.

Z początku przypuszczałem, że przygnębiający nastrój, to wyłącznie moja zasługa i udziela się po prostu towarzyszom przy stole. Poczulem się mocno dotknięty, kiedy Patamaa w obecności dyrektora banku wydawał mi dyspozycje jak swojej służbie. To prawda, że zlecił mi prowadzenie sprawy, ale niezależnie od tego wypadało zachować się trochę uprzejmiej. Drugą sprawą, która zirytowała mnie przy stole, było zachowanie się mojej sekret.-uki. Rozmawiając z Sistonenem, bez przerwy się uśmiechała, a w głosie miała znany mi zalotny ton. W moją stronę natomiast rzucała pośpieszne zdania i na próżno oczekiwałem uśmiechu.

W końcu zauważyłem, że panujący przy stole nastrój przygnębienia nie ode mnie emanował, chociaż byłem zajęty własnymi myślami. Gospodarz Patamaa był o wiele bardziej zamyślony. Wręcz dąsał się i nawet obowiązki gospodarza spełniał leniwie i od niechcienia. Nie zmienił swego zachowania nawet wtedy, gdy wsiedliśmy do samochodu i pojechaliśmy prosto w kierunku Helsinek. Dopiero w okolicy Pitajanmaki ocknął się z letargu i zaczął się odnosić do nas normalnie.

Nie wiedziałem, czy sam zmusił się do ożywienia. Nie mogłem również stwierdzić, czy oczekujące nas zadania były przyczyną jego ponurego nastroju, czy też dyrektor banku Kanervamaki, który zjawił się nieoczekiwanie, przyniósł mu jakieś złe wiadomości.

5

Słońce zbliżyło się do horyzontu, kiedy czarny buick z Sistonem za kierownicą skręcił na La-stenlinnantie. Nietrudno było odgadnąć, że nie po raz pierwszy zarządca wiezie swego pana pod adres pani Einola. Bez pytania o instrukcje zatrzymał wóz pod klatką schodową A białego otynkowanego budynku.

Przedtem zatrzymaliśmy się na rogu Mannerhei-mintie i Kuusitie. Była tam budka telefoniczna, z której Patamaa załatwił dwie rozmowy. Rozpoczęliśmy realizację naszych planów. Dyrektor wyjaśnił obu kobietom, że jest głęboko zmartwiony poranną awanturą. W ciągu dnia zdążył przemyśleć sprawę i teraz już uspokojony, chciałby przeprosić i wyjaśnić tło sprawy.

To tłumaczenie w pełni je zadowoliło. Na początku, zgodnie z moimi wskazówkami, zaproponował im spotkanie jeszcze dziś wieczór. Miejsce spotkania i plan działania wybraliśmy dla jednej i drugiej zgodnie z ich charakterami. Pani Einoli powiedział wprost, że wynajął pewnego prawnika wraz z sekretnią U.i i że we trójkę przyjedziemy wieczorem do niej u.i herbatę. Zamierzaliśmy w czasie wspólnej Btrady wtajemniczyć panią Einola w całą sprawę, ponieważ ona, tak czy inaczej, mogłaby pomóc w wykryciu szantażysty. Kiedy stanęło na tym, wir działem jak Patamaa westchnął przekonany, że teraz już absolutnie i ostatecznie odpadła możliwość, według której pani Einola miałaby cokolwiek wspólnego z szantażem.

Od niej oczekiwano tylko rady, wniosków, ewentualnie propozycji... Była przecież kobietą mądrą i dojrzałą...

Natomiast pannę Iris Rytkbnen Patamaa obiecał zaprosić do restauracji kategorii I z dansingiem. „Będzie ze mną para przyjaciół”, plótł do telefonu. O tym, że jeden z przyjaciół jest adwokatem, a drugi jego sekretarką, ani pisał.

Nie zdradził tym bardziej, że będzie w ogóle mowa o szantażu. „Spędzimy przyjemny wieczór”, powiedział tylko. Widziałem przez szybę budki telefonicznej, że grał swoją rolę przekonująco. Recytując pannie Rytkbnen w ucho słowa skruchy i przedstawiając zaproszenie na wieczór, zdobył się nawet na uśmiech.

Kiedy na Lastenlinnantie wyszliśmy z samochodu, Sistonen, który został przy kierownicy, rzucił dyrektorowi pytające spojrzenie.

- Przyjedź po nas o dwudziestej czwartej - polecił Patamaa. - Restauracja Kaivohuone.

- Może lepiej o godzinę później, bo jeżeli chcemy, by towarzystwo się rozgadało, musimy mieć dość czasu. Zostańmy więc aż do zamknięcia lokalu - wtrąciłem.

Unikałem nazwiska panny Rytkbnen. Chociaż Patamaa wcześniej mówił Sistonenowi o liście szantażysty, zarządca nie musiał wiedzieć o naszych nowych planach. Snuliśmy je we dwóch w jego gabinecie na wsi, a potem wszystko wyjaśniłem sekretarce w alei brzozowej. Przy obiedzie i w samochodzie nie mówiono nic, co by mogło wskazywać na to, że sytuacja zmieniła się. Pomyślałem, że najlepiej pozwolić Sistonenowi myśleć o sprawie, co chce, niech myśli, że idziemy we trójkę z przypadkową wizytą do pani Einola.

Widocznie jednak Sistonen umiał wyciągać wnioski. Uśmiechnął się w sposób dający do zrozumienia, że pomimo wszystko umie liczyć i wie, ile będzie dwa plus dwa. On przecież był tym, który powiedział dyrektorowi o jakimś mecenasie Viima zaraz po tym, jak nieprzyjemny list pomieszał plany Pa-tamaa i przerwał jego poetycką żyłkę, dla której wiejski spokój i kwietniowa melancholia stanowiły urodzajną i natchnioną glebę.

- Dobrze - powiedział Patamaa. - Przyjedź pod restaurację koło pierwszej.

- Zrobi się - odpowiedział Sistonen.

Jeżeli nawet czuł się dotknięty odsunięciem od towarzystwa, w żaden

sposób nie okazał tego. Skinął tylko głową, zamknął drzwiczki samochodu i chwilę później czarny buick zniknął nam z oczu.

- To może wejdziemy do środka.

Patamaa wskazał drzwi klatki schodowej A. Weszliśmy razem do windy i wjechaliśmy na czwarte piętro. Nacisnął dzwonek.

Pani Einola sama otworzyła drzwi. Na podstawie opowiadania dyrektora stworzyłem sobie o niej pewne wyobrażenie, ale nie pokrywało się ono zupełnie z rzeczywistością. Pani Einola była zaskakująco cicha i skromna, a jej zachowanie od momentu otwarcia drzwi wyrażało szczerą przyjaźń. Po prezentacji w przedpokoju poprosiła nas do przytulnego salonu, urządzonego z dużym smakiem. Umeblowanie stanowiło gustowną mieszaninę starego z nowym. Kolory obić i zasłon harmonizowały ze sobą, a wiszące na Ścianach obrazy były oryginałami.

„Ma pewne oszczędności”, zapamiętałem to, co o niej powiedział Patamaa. Rozglądając się po salonie, doszedłem do wniosku, że nie pomylił się. Te ukradkowe spojrzenia zdążyłem rzucić w dość krótkim czasie, bo przybyliśmy punktualnie, czekała już na nas. Nawet herbata była zaparzona i stół nakryty. Dlatego na przyjrzenie się zastanowienie nad tym i owym pozostało niewiele czasu. Gdy usiedliśmy przy stole, Patamaa, który czuł się tutaj jak we własnym domu, pozamykał drzwi prowadzące z salonu do innych pomieszczeń, tak że pomoc domowa nie mogła usłyszeć naszej rozmowy.

- Przystąpmy do rzeczy - powiedział bez wstępu. Na początek. - Tego...

W przerwie, jaką w tym momencie zrobił aktywny Patamaa, zdążyłem jeszcze ukradkiem zauważyć, jak sekretarka zrobiła oficjalną minę. Z doświadczenia wiedziałem, że dopiero teraz wszystko widzi i słyszy.

- Tego... - odezwał się Patamaa patrząc na panią Einola. - Jeszcze raz przepraszam za to, że rano zaatakowałem cię w tak nieodpowiednim czasie... która to mogła być godzina?

- Pięć po siódmej - odpowiedziała spokojnie pani Einola.

- Tak mogło być. Ale, jak zauważyłaś, miałem powody do zdenerwowania.

Pani Einola uniosła brwi. - O ile dobrze zrozumiałam twój potok słów, mówiłeś o czymś tak okropnym jak szantaż.

- Mówiłem. Nie miałem czasu zastanawiać się, co mówię. Spieszyłem się do innej osoby...

- Myślisz o panie Rytkbnen?

Drgnąłem lekko, gdy usłyszałem pytanie pani Einola i widziałem, że sekretarka też zamrugała oczami. Patamaa prędko zerknął na nas, przełknął ślinę i mruknął: - Nie ma tu co udawać...

- Ty na pewno nie - powiedziała pani Einola. Widziałem, jak lekki uśmiech przemknął po jej twarzy.

- Ani ja, ani nikt inny - zgodził się trochę sztywno Patamaa. - Sprawa ma się tak, że Elsa... myślę o pani Einola... wie o panie Rytkdnen... to znaczy o jej istnieniu, chociaż osobiście jej nie zna.

- Widziałam ją tylko raz - powiedziała pani Einola. - To mi wystarczy.

- Tak, tak... właśnie - Patamaa teatralnym gestem rozłożył grube ręce. - Między mną i Iris nigdy oczywiście nic nie było. Kiedyś przypadkiem byliśmy w pewnej restauracji, no i okazało się, że jest tam również pani Einola...

- Mieliśmy tam kolację dla personelu wydziału finansowego naszego ministerstwa.

Patamaa smutno pokiwał głową. - Tak, podobno, i o czym tu więcej mówić. Powróćmy do wydarzeń porannych. Jak powiedziałem przez telefon, mecenas Viima i jego sekretarka chcieliby mi pomóc w wyjaśnieniu tej sprawy... no, i jeśli o to chodzi, ty też mogłabyś nam pomóc.

Pani Einola odpowiedziała z opanowaniem: - Chętnie pomogę, jeśli potrafię. Ale najpierw muszę się dowiedzieć, w czym rzecz. Rano byłeś taki wściekły, straciłeś zupełnie głowę... że daruj, niewiele z twoich słów zrozumiałam. Wielkim krzykiem domagałeś się wydania swoich listów,

mówiłeś o szantażu... wymyślałeś mi brzydko na wszystkie spo-Noby Ale;;ama sprawa pozostała dla mnie niejasna.

- Zaraz się wyjaśni - zdecydowanie powiedział

Patamaa. - Mecenasi Viima, proszę wręczyć pani Einola list, który pan przechowuje.

Drgnąłem. Nasze plany nie przewidywały tak otwartej gry. Ponieważ dyrektor jednak uporczywie wpatrywał się we mnie, niezdecydowanie wsunąłem rękę do wewnętrznej kieszeni i wyciągnąłem list szantażysty. Przez stół podałem go pani Einola.

- Co to jest? - zapytała nasza gospodyni.

- Proszę cię, przeczytaj to - zaproponował Patamaa. - Zrozumiesz wtedy, dlaczego potrzebujemy twojej pomocy.

Uniosła w zdziwieniu brwi. Jeszcze raz zerknęła pytająco na naszą trójkę i sięgnęła po okulary leżące na szkatułce. Rozłożyła list i zagłębiła się w lekturze.

Dopiero teraz miałem okazję bliżej się jej przyjrzeć. Należała do kobiet, których wiek trudny był do określenia. Twarz miała prawie bez zmarszczek, ale żyły na dłoniach nabrzmiałe. We włosach błyszczało parę siwych pasm, ślady czasu czy salonu piękności, a pełne wdzięku rysy twarzy nie pasowały do krępej i pełnej figury. Miała na sobie prosty w kroju niebieski kostium. Rękawy półdługie, pod szyją niewielki dekolt. Jej wygląd, mieszkanie i skromne zachowanie sprawiały wrażenie naturalności i napawały zaufaniem.

Kiedy zobaczyłem obok niej dyrektora, tworzyli, moim zdaniem, dobraną parę, chociaż zdziwiło mnie, co kobieta, która wygląda na inteligentną, może w nim widzieć. Chyba, że po bliższym poznaniu odkryła pod zewnętrzną powłoką uczciwe serce i poetycką duszę. W każdym razie mogłem sobie wyobrazić, że siedzę na herbacie w domu u małżeństwa, które zdążyło osiągnąć wiek srebrnego wesela. W tym momencie zauważyłem, jak pani Einola nagle spoważniała i ciemna czerwień stopniowo zalała jej szyję. Czytała list około minuty, widziałem, że straciła dotychczasowy spokój. W pokoju było cicho jak

makiem zasiał.

Nagle rzuciła list na stół, jakby pozbywając się bardzo brudnego przedmiotu. Oddychała głęboko.

- Co za obrzydliwość. Co za niegodziwość i podłość!... Co za świństwo!

Nikt się nie odezwał. Pani Einola błyskawicznie odwróciła się i spojrzała z wściekłością na dyrektora.

- Jussi!

- Hm... Co takiego?

- Czy ty przez chwilę mogłeś przypuszczać, że ja... ja... och... ja... - Musiała złapać oddech. - Jak mogłeś przypuszczać, że ja mogę mieć coś wspólnego z tak brudną sprawą?

Patamaa uniósł dłonie obronnym gestem. - Nie, oczywiście nie... ale...

- Ale rano...

- To był tylko wybuch nerwów... bo widzisz...Patamaa rzucił mi szybkie błagalne spojrzenie.

Zerknąłem na sekretarkę. Widziałem, że zachowała spokój. Tylko oczy miała przymknięte i spod rzęs nieruchomym wzrokiem obserwowała panią Einola. Wtrąciłem się do rozmowy, starając się mówić tonem możliwie przekonywającym:

Proszę pani, chciałbym wyjaśnić, że nikt nie ma zamiaru rzucać na panią nawet cienia podej-lia, Ale potrzebujemy pomocy pani i chcemy tylko wyeliminować wszystkie błędne przypuszczeni.!, i dotrzeć do sedna sprawy. Dlatego chciałbym zadać pani parę pytań. Zapewniam, że nie robię tego z niezyczliwości, mimo że forma pytań może na to wskazywać. Mam pewien plan i chcę znać jak najwięcej szczegółów dotyczących tej sprawy...

Pani Einola zwróciła się do Patamaa. - Czy mam odpowiadać na pytania pana mecenasa?

Patamaa z ociąganiem kiwnął głową. - Zrób to, proszę cię. I odpowiadaj zupełnie szczerze.

- Zupełnie szczerze? - powtórzyła pani Einola. Zdawało mi się, że usłyszałem w jej głosie coś znaczącego.

- Nie mamy nic do stracenia - odpowiedział Patamaa stanowczo. - Pan mecenas i jego sekretarka są ludźmi dorosłymi, a nie smarkaczami. Poza tym wszystko o tej sprawie wiedzą.

Wyglądała na bardzo zmęczoną. Milczała przez chwilę. Starła się odzyskać spokój. Potem spojrzała na mnie łagodnie i rzekła:

- Proszę pytać.

Ja również byłem bardzo zmęczony. Żadna przyjemność wścibiać nos w sprawy ludzi jej pokroju. Ale zerkając na Patamaa i widząc jego znaczące mrugnięcie okiem oraz palec, który stukał w zegarek w kieszeni marynarki, zebrałem się w sobie i przystąpiłem do dzieła.

Pani Einola odpowiadała na każde pytanie nie mrugnawszy nawet okiem i bez chwili namysłu.

- Zna pani dyrektora Patamaa około pięciu lat, prawda? - zacząłem.

- Tak. Na Boże Narodzenie minie pięć lat.

- Czy napisał do pani dużo listów?

- Tak, sporo. Co prawda...

- Chwileczkę. Bardzo proszę, aby odpowiadała pani tylko na pytania.

Powiedziałem to może zbyt oficjalnym tonem. Uniosła brodę i odpowiedziała surowo: - Dobrze.

- Czy państwo często się spotykali?

- Prawie co tydzień, zawsze w czasie weekendów.

- A czy w tym czasie pan Patamaa jeszcze pisał do pani listy?

- Tak. Nawet parę razy w tygodniu. Oprócz tego telefonował.

- Ach, tak...

Spojrzałem ukradkiem na dyrektora. Patrzył nieruchomo w sufit, a minę miał taką, jakby pragnął zapaść się pod ziemię.

- Czy to prawda, że w listach pana Patamaa były fragmenty wierszy? -

pytałem dalej.

- Nawet bardzo często. Były usiane strofami wierszy.

- Szantażysta wybrał trzy. Pamięta pani, czy te Właśnie wiersze występowały w listach zaadresowanych do pani? Czy wszystkie trzy wydają się pani znajome?

- Tak.

- Czy może pani w przybliżeniu nndać, ile dostała pani listów w ogóle?

- Miałam spory pakiet.

- Według naszych wiadomości wszystkie pani zniszczyła.

- Tak. Spaliłam je. - Skinęła w stronę dużego kominka w salonie.

- Kiedy?

- Prawie pół roku temu.

- Dlaczego?

Pani Einola odpowiedziała spokojnie: - Jeszcze tej samej nocy, kiedy ujrzałam pana Patamaa w restauracji w towarzystwie panny Iris Rytkbnen. Chyba pan rozumie... zdenerwowałam się. Zrozumiałam, że wszystkie jego zapewnienia miłosne...

Patamaa nagle wtrącił: - No, no, tego... Po co tę szczegóły. Zdenerwowałaś się, spaliłaś listy i już. Pan mecenas Viima zrozumie kobiecie wybuchy zazdrości.

- Czyżby? - rzuciła dyrektorowi klujące ipoj-rzenie. - Przyjemnie się dowiedzi? i miała bym być zazdrosna o ciebie...

- Och, zostawmy to, moja złota...

- Mówmy tylko o sprawie, tak jak uzgodni I İNHK, Usta Patamaa poruszały się bezgłośnie i wydawało mi się, że formułowały przeróżne przekli Wtrąciłem pośpiesznie:

- Jeszcze pewien szczegół. Powiedziała pani, cały pakiet został wrzucony do ognia. Czy jest puni pewna, że wszystkie listy się spaliły... co do jed-nego?

- O, co panu chodzi?

- Czy jest pani pewna?

- Oczywiście.

- Jest pani pewna tego, że nikt nie miał możliwości zdobyć kilka listów z paczki? Przed spaleniem? Może spaliła je pani bez dokładnego sprawdzania? Może nie zauważywszy braku myślała pani, że spaliły się wszystkie?

- Aha, rozumiem, o co panu chodzi. - Pokręciła przecząco głową. - Jeżeli komuś udałoby się zdobyć parę listów, mógłby je teraz wykorzystać jako broń przeciwko panu Patamaa. Ale to jest niemożliwe. Przede wszystkim w tym mieszkaniu nie ma nikogo prócz gosposi i mnie. Gosposia jest osobą starą i absolutnie godną zaufania. Poza tym proszę wziąć pod uwagę i to, że przechowywałam listy, a także inne papiery wartościowe w zamkniętej na klucz kasecie, a klucz noszę zawsze przy sobie. Można je było wyjąć tylko po włamaniu się do kasety, a zapewniam, że nic takiego się nie zdarzyło.

Skinąłem głową. Miałem w zanadru jeszcze jedno bardzo nieprzyjemne pytanie i bałem się je postawić. Zacząłem ostrożnie krążyć:

- Jest i taka możliwość, że szantażysta nie posiada żadnych listów. Może tylko blefuje. Ale jeśli to robi, musiał przedtem zobaczyć te listy. Ma bardzo szczegółowe dane o ich treści. Wygląda na to, że...

Czoło pani Einola zachmurzyło się. Zapytała spokojnie, choć nieprzyjemnym tonem:

- Pan mecenas przypuszcza, że miałam zwyczaj czytania lub pokazywania komuś moich prywatnych listów?

Wycofali ni się zawstydzony: upełnie tak... myślę, że... ależ oczywi-iii. nie tak pan myśli! Ale mogę pana pocie-.' listów zaadresowanych do mnie nie widział nikt oprócz mnie i że spaliłam je na pewno co do jednego. A poza tym... - aa jej twarzy wystąpiły czerwone plamy, gdy z wściekłością wyrzucała z siebie słowa: - A poza tym radzę panu mecenasowi skierować swoje podejrzenia pod inny adres. Serce pana Patamaa jest obszerne i' szczodre, o czym mogłam się ostatnio z przykrością przekonać. Pióro ma prędkie jak górski strumień, tak że

pewnie aż atrament pryskał, kiedy pisał na przykład w liście do panny Iiris Rytkonen „brałem twoją głowę do rąk jak puchar i z niej moje usta wino piły”...

- No, no! - krzyknął Patamaa.

- „Jak może aż tyle wina zmieścić się w tak małym pucharze” - cytowała pani Einola z zimną krwią. - Sądząc z tego, jak się pan Patamaa i Iiris

Rytkonen zabawiali, to wino w ich głowach często szumiało i z pewnością było go wiele, nawet tak dużo, że nie wierzę, aby co innego zmieściło się w głowie panny Rytkonen...

Patamaa otworzył usta, lecz był w stanie wykrztusić tylko: - Och, och...

- W dodatku - ciągnęła dalej - jest nawet bardzo możliwe, że nasz znajomy Jussi miał zwyczaj chwytać za pióro i różowy papier listowy zawsze wtedy, kiedy na jego drodze pojawiała się jakaś Iiris czy Pirkko, czy Ingeborg, czy...

- Może byś trochę powstrzymała swój język - nie wytrzymał w tym momencie Patamaa.

- Dobrze - odpowiedziała. - Powiem jeszcze tylko na zakończenie, że nie chcę już więcej mieć z tym nic wspólnego! Mam po uszy przysięg, kłamstw, oszustw, krzyków, a także mecenasów i ich sekretarek. To jest mój dom, nie macie tutaj nic do roboty!

Patamaa z rozbieganymi oczami zaczął: - Niech to diabli, Elso, droga moja... Przecież cię przeprosiłem... A pan mecenas przyszedł tutaj na moją prośbę... Nawet herbaty nie ruszyliśmy...

Pani Einola powoli wstała. Jednocześnie lewą ręką niechcący pociągnęła za obrus. Cienka, ozdobna filiżanka do herbaty zakołysała się, przewróciła i spadła na podłogę.

Może filiżanka była bardzo cenna, a może wywołany pęknięciem brzęk tak podziałał na opanowaną dotąd panią Einola, że do reszty straciła cierpliwość. Zrozumiałem nagle, że przed nami nie stoi już nastawiona do wszystkich przyjaźnie pani w średnim wieku, o której miałem tak pozytywne zdanie.

Brzęk zbitej filiżanki jeszcze dźwięczał w pokoju, kiedy pani Einola podskoczyła. Oczy jej płonęły, twarz miała bladą. Niskim głosem zasyczała:

- Niech poeta Jussi Patamaa opuści mój dom. I zabierze ze sobą przyjaciół.

Wymieniliśmy z sekretarką szybkie spojrzenia.

- Starczy już - powiedziała pani Einola. - Jestem porządną kobietą... czy raczej byłam, zanim poznałam ciebie, szanowny panie Patamaa. Te wszystkie obrażające mnie wątpliwości, policyjne przesłuchanie w moim domu, to wszystko stało się przez niezwykle cnotliwego i religijnego Jussiego Patamaa... ach... to wszystko...

Patamaa w osłupieniu patrzył na nią. - Ależ kochana Elso... Dobra, stara przyjaciółko...

- Precz mi z oczu! - wrzasnęła pani Einola. Sekretarka podniosła się. Zrobiłem to samo, co prawda na lekko drżących nogach. Metamorfoza pani Einola nastąpiła tak nagle, że jeszcze niezupełnie wierzyłem własnym oczom.

Z miny Patamaa wyczytałem, że on zrozumiał jeszcze mniej. Siedział osłupiały na krześle i próbował raz jeszcze:

- Ależ, kochana...

- Za drzwiami! - zapiszczała pani Einola. - Chcę mieć spokój!

- Ale zrozum... - sapał Patamaa.

- Za drzwiami!

Po paru minutach znaleźliśmy się na ulicy. Stwierdziłem raz jeszcze, że moja sekretarka ma mocne nerwy. Kąciki jej ust drgały podejrzenie, jakby z całą siłą powstrzymywała śmiech. Ja jednak czułem się naprawdę dotknięty. Nie byłem przyzwyczajony do tego, aby mnie wypraszano. Dyrektor patrzył w ziemię i starał się pokornie tłumaczyć:

- Nigdy, że tak powiem, bym jej w to nie wciągał, gdybym wiedział. Uważałem Elsę za cichą...

- Cichą i kobiecą - odezwała się czule sekretarka.

Patamaa gniewnie zerknął na pannę Lehmus. Zgrzytając zębami wypalił:

- Teraz Jussi Patamaa powie ważną rzecz. Jeżeli chodzi o mnie, to wszystkie kobiety mogą zabrać swoje kaprysy ze sobą i niech się wynoszą do wszystkich diab... tak... szerokiej drogi! Mam ich po same uszy!

- Niech się pan uspokoi, panie dyrektorze - powiedziałem. - Za pół godziny mamy się spotkać z jeszcze jedną kobietą w restauracji Kaivohuone. Przedtem...

Patamaa rzucił: - Przedtem to ja muszę gołnąć jednego. Taksówka! Prędko!

Gdy wykrzykiwał te słowa, na końcu ulicy ku mojemu zdziwieniu zobaczyłem wolną taksówkę. Zbliżała się do nas jak wytresowany pies.

- Czyżby usłyszał moje wołanie? - zdziwił się dyrektor.

- Możliwe - odpowiedziałem. Zatrzymałem taksówkę, wpakowaliśmy się do środka. Zerknąwszy na zegarek, doszedłem do wniosku, że mamy dość czasu, aby wstąpić do baru Aldon, zanim pojedziemy po pannę Rytkbnen. Podałem adres kierowcy, a do Patamaa powiedziałem:

- Zaczyna mi się, cholera, wydawać, że to, co działaliśmy u pani Einola, to było noszenie wody dziurawym wiadrem.

- I mnie się też tak wydaje - odpowiedział. Rzucił mi wymowne spojrzenie. - Muszę powiedzieć, że czuję się, jakbym dostał obuchem w głowę. Szczególnie wstydzę się tego, że i państwa ciągnąłem do tej wściekłej kobiety. Nie pozostaje mi nic innego, jak tylko przeprosić i zaproponować, abyście do rachunku przynajmniej włączyli rekompensatę za nazwijmy to „wyrzucenie”...

Jego zawstydzona mina naprawdę mnie rozbawiła.

- To głupstwo - powiedziałem wielkodusznie. - Panna Rytkdnen chyba nie zachowa się tak samo.

- Bardzo możliwe, że jeszcze gorzej - odpowiedział ponuro.

6

W barze Aldon siedzieliśmy krótko. W tym czasie dyrektor zdążył wypić

part; whisky i w ten sposób opanował pomny nastrój. W pewnym momencie zapomniał o mnie i o sekretarce. Bezmyślnie patrzył przed siebie i użalał się; półgłosem. Mruczał coś pod nosem używając między innymi zwrotów „do czego to człowiek doszedł” oraz „w tym wieku człowiek powinien być mądrzejszy”. Nie zrozumiałem ostatecznie, czy myślał o własnej głupocie, o przebiegłości szantażysty, o zaskakującym wybuchu pani Einola, czy też o wieczorze, który miał spędzić w towarzystwie panny Rytkdnen.

Gdy ujrzałem pannę Rytkdnen, zacząłem wątpić w to, że dzięki niej dyrektor odzyskał rozum.

Miałem okazję przyjrzeć się jej dokładniej dopiero, gdy w Kaivohuone uprzejmy maitre d’hotel poprowadził nas do dobrego stołu przy sadzawce i zaraz postawił przed nami koktajle. Panna Rytkdnen już w czasie drogi chichotała w samochodzie bez powodu i wypowiedziała kilka takich zdań, że zacząłem oczekiwać najgorszego.

Patrząc na nią ponad stołem, poczułem jawną antypatią. Miała ponad trzydzieści lat. Zgodnie z kapryсами mody odchudziła się do tego stopnia, że kiedy odwracała głowę, mocno wydekoltowana suknia odsłaniała sterczące kości i mięśnie szyi. Gąbka, którą wypchany był przód sukni, miała za zadanie wywołać u mężczyzn wrażenie, że piersi też ma. Gdy spostrzegłem sterczące spod sukni stożki, z niesmakiem odwróciłem głowę. Nie zmieniłem zdania i wtedy, gdy przyjrzałem się twarzy. Starła się być blondynką, lecz kolor włosów przypominał raczej wysuszone sterczące źdźbła słomy. Prócz tego włosy były tak nieumiejętnie rozjaśnione, że naturalny ciemny kolor widać było przy skórze. Oczy miała duże i brązowe. Może i były ładne, ale tak smarowała brwi i rzęsy, że aż kapało. Również umalowane na niebiesko powieki drażniły mnie. Nos miała wąski, a wargi cienkie, ale zęby ładne i gdyby nie wyniosły uśmiech, można by nawet na nią spojrzeć.

Jeszcze i to, westchnąłem, zerknąwszy na jej rękę bawiącą się kokieteryjnie papierosem. Paznokcie miała długie aż do przesady, a jeden z nich

był złamany. Czerwony lakier w wielu miejscach miała odpryśnięty.

Na domiar złego była tak niegustownie ubrana, że zrobiło mi się niedobrze. Powiodłem szybko wzrokiem po pustej sali i gorąco zapragnąłem, by niewielu moich znajomych zabłądziło w to miejsce. Nie zauważyłem nikogo, więc znowu zacząłem się przyglądać sukni panny Rytkönen. Była z błyszczącego materiału, krzykliwe kolory kwiatów przypominały stare tapety.

Zdziwiłem się, czyżbym był aż tak nieobiektywny, że nie potrafię znaleźć w tej kobiecie nic przyjemnego? Nagle przypomniałem sobie, że wchodząc do restauracji, zwróciłem uwagę na jej łydki. Z pewnością dla kogoś innego były wystarczająco długie i kształtne, moim zdaniem były jednak odrobinę za szczupłe. W każdym razie poczułem się usprawiedliwiony, gdy znalazłem w pani Rytkönen tę jedyną pozytywną rzecz.

Dyrektor Patamaa, siedząc obok niej, wyglądał jak zmęczony, słaby słoń. Doszedłem do wniosku, że to z pewnością jej młodość pociągnęła go i przez to wybacał jej inne wady. Na myśl, że za trzydzieści lat sam mógłbym zgłupieć do tego stopnia, dostałem gęsiej skórki.

Patamaa przełknął ślinę. Aby się czymś zająć, złapał listę potraw mrużąc:

- Co powiecie, gdybyśmy zjedli porządną kolację. Tornedos, na przykład, jest w tej restauracji doskonały...

- Don't be silly! - wtrąciła panna Rytkönen. Zaśmiała się przy tym gwałtownie. - Ja muszę dbać o linię. Mogę zjeść najwyżej sałatkę z krewetek.

- No, dobrze - zgodził się Patamaa. Przy stole zapadła cisza.

- Dlaczego jesteście tacy naburmuszeni? - zapytała mnie panna Rytkönen zaczepnie. - Don't be silly. Przecież przyszliśmy tutaj, żeby się zabawić.

- Ma pani rację - powiedziałem uprzejmie. - Czy mogę zapytać, co pani będzie piła do sałatki z krewetek? Czy, na przykład odpowiada pani Cha-teau Camperos Barsac, rocznik 1955?

- Godne uwagi może być chyba także Huesgen's

Piesporter Gold? - dodała z czarującym uśmiechem sekretarka.

- Don't be silly - mruknęła panna Rytkbnen. - Nie chcę mieszać byle jakich napojów. Już Jussi wie, czego ja chcę.

- Wiem - powiedział Patamaa.

- No, to migiem. No nie, panie Viima? A w ogóle, kim pan jest?

- Jestem... pracownikiem fizycznym od spraw ludzkich - odpowiedziałem ostrożnie.

- Urzędnik?

- Coś w tym rodzaju.

- Ile miesięcznie? - Nie tak wiele.

- Ile?

Zerknąłem na Patamaa, skinął z niezadowoleniem głową, ale można to było zrozumieć różnie. - Około pięćdziesięciu - odpowiedziałem wymijająco.

- Niedużo. Wystarczy najwyżej na napiwki. Prawda, Jussi?

- Zależy, ile daje zarobić portierowi - parsknął Patamaa.

Panna Rytkbnen odezwała się wesoło.

- Czy pamiętasz, że jak ostatnio tutaj byliśmy, zwołałeś portiera, aby za resztę pieniędzy kupił zabawki dla dzieci?

Patamaa skosztował koktajlu, ale minę miał taką, jakby pił ocet.

- Pijani robią różne rzeczy - powiedział krótko.

- Albo jak pojechaliśmy do Aulanko? - wspominała panna Rytkbnen. - Śpiewałeś wtedy śmieszoną piosenkę: „Co z tego, że skończyły się już ostatnie sadzeniaki...”, i rozrzucałeś dokoła pieniądze.

Dyrektor zaczął z wściekłości przygryzać wargi.

- Jussi to złoty człowiek - zachwycała się panna Rytkbnen. Uniosła rękę, na której brzęczała złota bransoletka, wysadzana szlachetnymi kamieniami. - Jussi nigdy nie pyta o cenę, prawda, złociutki?

- Wypadałoby kiedyś o to zapytać - stwierdził Patamaa i zerknął niespokojnie na sekretarkę. Panna Lehmus miała minę uprzejmą, ale myślami

była gdzie indziej.

- Po co masz pytać, nie warto! - poprawiła go panna Rytkbnen. - Przecież jesteśmy tutaj, by się zabawić. Ależ, ależ, przypomniała mi się fajna rzecz...

Odwróciła się w naszą stronę. - Pewnego razu tutaj...

- Nie potrzeba wszystkiego opowiadać - wtrącił Patamaa.

- Don't be silly. Ale o tej podróży do Aulanko muszę opowiedzieć. Byliśmy tam z Jussim parę dni. Myśleli, że jestem jego żoną, hi, hi... Chociaż jestem taka młoda... Tak, ale o czym to ja chciałam mówić... Aha, wracając, zachciało mu się muzyki i zadzwonił z garnizonu do jakiegoś kapelmistrza, który miał harmonię. Ten grajek usiadł na przednim siedzeniu obok Sistonena... znacie Sistonena, tego kierowcę?

- Tak - przytaknąłem.

- Harmonista grał, a Jussi śpiewał - opowiadała. - Była to taka piosenka, w której są słowa „Umarły piękne marzenia, serce szlochając płacze...”

A niech to cholera - mruknął Patamaa. - Po diabła te wspomnienia...

Nie wrzeszcz na mnie - upomniała go panna Rybkiind i zmarszczyła nos. - Bo mogę ci tego nie zapomnieć tak szybko jak dziś rano. poczerwieniał na twarzy. Mrugnąłem do niego ze zrozumieniem. Kiwnąłem ręką na kelnera, który po chwili przyniósł nowe kieliszki. Kiedy się oddalił, zapytałem z zainteresowaniem:

- Czyżby pan dyrektor od samego rana był w złym nastroju?

Ona zaczęła znowu trajkotać: - Wyobraźcie sobie, że tak, od samego rana. Wpadł do mnie o ósmej, z obłędem w oczach. Biega tam i z powrotem i wrzeszczy, żebym mu natychmiast oddała wszystkie listy od niego. Tak jakbym je przechowywała...

- Coś podobnego, naprawdę? - odezwałem się.

- Takich listów się nie przechowuje, nie wolno... To znaczy...

- Co to znaczy? - zapytał Patamaa tak groźnie, że zakląłem w duchu. Wyglądało na to, że pan dyrektor zupełnie zapomniał o regułach gry. Może

wzburzyło go, że jego znajoma z takim zapałem i tak szczerze opisywała, jak to się kiedyś wesoło bawili.

- Mój kochany - powiedziała panna Rytkbnen czule i poklepała dyrektora po ramieniu gestem właścicielki. - Ty piszesz tak wspaniałe listy, że chętnie bym je przechowała. Ale moja gospodyni myszkuje wszędzie...

- Czy to możliwe, że jakiś list napisany przez dyrektora mógł trafić do rąk właścicielki mieszkania? - zapytałem mimochodem.

- O, co to, to nie. Przecież znam sztuczki tej baby. Ciekawska jak cholera. Jak tylko dostawałam list od Jussiego, darłam go i zaraz wrzucałam do WC. Bardzo żałowałam, bo listy były naprawdę takie ładne...

- Żałowała - powtórzył Patamaa dziwnym głosem. Pobladł.

- Były tam nawet wiersze - dodała panna Rytkbnen. - Znam się na wierszach. Jussi często mi powtarza, i to jest prawda, że nie jestem podobna

„I do dzisiejszej młodzieży. Poza tym nie znoszę, kiedy mnie nazywają nieukiem...

W tym momencie głos zabrała sekretarka: - Z tego wszystkiego wynika, że jest pani wspaniałą kobietą. Nawet akcent angielski ma pani doskonały.

Ja tymczasem zwróciłem uwagę na dyrektora. Jego skóra stała się raptem dziwnie żółta. Wyciągnął jakieś lekarstwo i chciał prędko włożyć do ust jedną tabletkę tak, by nikt tego nie zauważył. Przypomniałem sobie jego wzmiankę o anginie pectoris i tabletkach nitrogliceryny. Zacząłem się obawiać, aby nie dostał ataku serca.

Sytuacja nagle się zmieniła. Dotąd ze zdziwieniem przyglądałem się wydarzeniom przy stole i wstyd powiedzieć, odczuwałem nawet nieco złośliwą satysfakcję, kiedy słyszałem, jak się zabawia członek rady kościelnej. Teraz zrobiło mi się go żal, ogarnęło mnie szczerze, głębokie współczucie.

Patamaa, bez względu na pieniądze i majątek, był starym, chorym i samotnym człowiekiem, który beznadziejnie czepiał się życia... nie bacząc na to,

że niewiele czasu mu jeszcze pozostało.

„Umarły piękne marzenia, serce szlochając płacze...”

Obraz pijanego dyrektora, siedzącego na tylnym siedzeniu samochodu, kiwającego się i śpiewającego banalną sentymentalną piosenkę, nie wywołał już we mnie żadnej wesołości ani śmiechu. Przeciwnie, spoważniałem.

Panna Rytkónen w dalszym ciągu była przy głosie i skrzeczała jak sroka, ale nie słyszałem już, o czym mówiła.

Gdy minęły trzy godziny, odzyskałem swój dobry nastrój. Restauracja była pełna, orkiestra grała, zjedliśmy dobrą kolację, a panna Rytkbnen dostała swoją sałatkę z krewetek. Mocna kawa i łagodnie spływający do gardła Gordon bleu sprawiły, że chwilowy nastrój przygnębienia minął, a jeśli nawet odczuwałem jakieś wyrzuty sumienia, uspokajałem siebie myślą, że nie zostałem stworzony do dźwigania kłopotów całego świata. Na stole teraz stała Moe Chandonia w pękatych kieliszkach na długich nóżkach. Korek dopiero co wystrzelił, a pierwszy pieniaący się łyk rozjaśnił mi umysł i wywołał górnołotne myśli. Przedtem wypiliśmy whisky - nie pamiętam już ile - ale zaskoczyła mnie myśl, by zaprosić do tańca moją sekretarkę.

Nigdy przedtem nie miałem na to odwagi. Teraz jednak uważałem, że jestem wysoki, barczysty i pełen dziwnej siły, która pozwala mi łamać niewieście serca.

Trzymałem w objęciach pannę Lehmus i było mi przyjemnie. Miała w sobie tyle sprężystości młodej dziewczyny, a jednocześnie kobiecej powabności, że całe otoczenie zdawało się patrzeć na mnie z zazdrością. Jeśli zaś chodzi o taniec, to potknąłem się fatalnie przy samym brzegu parkietu i z pewnością przewróciłbym się, gdyby panna Lehmus dosłownie nie złapała mnie za szyję. Podciągnęła mnie do góry, przywracając równowagę, a jednocześnie cicho szepnęła:

- Czy ja źle tańczę? Pan mecenas zawsze mówi, że jestem za tęga.

Przycisnąłem ją do siebie: - Przeciwnie... Ty... - Brnąłem dalej: -

Poruszasz się jak kotka kusząco, łagodnie...

Panna Lehmus odsunęła się ode mnie. Usiłowałem przycisnąć ją znowu, ale była piekielnie silna i energiczna.

Słyszałem, jak odezwała się chłodnym tonem: - Chyba już czas na nas.

- Co ty pleciesz? - zapytałem zdziwiony.

- Pan mecenas chyba wypił o kieliszek za dużo. Przyglądałem się jej zaskoczony. - Dlaczego mówisz mi per pan?

Sekretarka uniosła brwi.

- Jestem Matti - oznajmiłem. - Matti Viima z Punkalaitus. Teraz mieszkam w Helsinkach i jestem dość wziętym adwokatem.

- To widać - powiedziała sekretarka.

- Po co te humory? Czy słowo Matti nie przechodzi ci przez usta? Chyba mogę mówić ci Raili?

Sekretarka wzruszyła ramionami i nic nie odpowiedziała.

Zdziwiłem się, dlaczego się obraziła. Niewyraźnie przypomniałem sobie, że dręczyła mnie strasznie długo pewna rzecz. Przecież zgodnie z nakazami dobrego wychowania mężczyzna nie mógł pierwszy zaproponować bliższej znajomości kobiecie, a kobieta nie mogła tego zaproponować swemu szefowi.

I tak byliśmy od półtora roku więźniami głupich tradycyjnych form postępowania, jak wrona, która siedzi na nasmołowanym dachu i raz ogonem, a raz dziobem jest przyklejona.

Porównanie było moim zdaniem celne i opowiedziałem o tym Raili. Śmiałem się z własnego dowcipu. Pannę Lehmus o wiele mniej to rozśmieszyło.

- Baj, baj... - mruknąłem. Prawą ręką wyczuwałem przez suknię Raili mięśnie jej pleców. Musiały być bardzo gorące, jeżeli przez suknię ciepło ciała dochodziło do moich rąk. Przesunąłem powoli rękę, bo wyczuwałem, że jej gęste kasztanowe włosy są jeszcze przyjemniejsze w dotyku. Wystarczyło w nich zatopić palce, czule i władczo je potargać i wyobrazić sobie, że jest się mężczyzną z okresu kamienia łupanego.

Tak zrobiłem.

Chwilę później chwyciłem ją w tali i tak, jak się zwykle trzyma partnerkę w tańcu. Pomimo atmosfery pijanego rozbawienia, zauważyłem w oczach Raili nagły błysk. Teraz naprawdę przypominała kotkę, której ślepia świeciły niesamowitym blaskiem. Raptem z silnego jaskiniowca stałem się ostrożną myszką.

- Nie gniewaj się za te żarty - bąknąłem cicho. Raili nie odpowiedziała. Zdenerwowało mnie to i po powrocie do stolika piłem kieliszek za kieliszkiem. Potem wieczór był już tylko zlepkiem ponurych chwil, w których rozbłyskiwały światła, mieniły się kolory i dochodziły do mnie różne dźwięki, słyszałem muzykę i urywki rozmów, które instynktownie wydawały mi się ważne, lecz ich treści nie mógłbym niestety powtórzyć.

- Matti, idziemy już do domu! - Usłyszałem w pewnym momencie i nie było to przywidzenie, że Raili powiedziała: - Matti.

Tak powiedziała. Ale zmartwiło mnie to, że nie było w głosie żadnej serdeczności. Raczej powiedziała to z pewnym przymusem, nieprzyjemnym i rozkazującym tonem.

7

Miałem przyjemny sen: rękami obejmowałem szyję Raili, która spała obok mnie. Gdy otworzyłem oczy, nie znalazłem jednak w łóżku nikogo prócz własnej skacowanej osoby. Zamknąłem oczy i miałem nadzieję, że znowu zasnę. Bałem się uczucia smutku, jaki zaczął mnie ogarniać, gdy przypomniałem sobie wszystko, co się zdarzyło poprzedniego wieczora. Chwilę później z wielkim trudem usiadłem na brzegu łóżka, trzymając się obiema rękami za skronie, wpatrywałem się we wzorek na dywanie i postanowiłem już nigdy nie pić szampana.

Broniłem się, jak mogłem, przed dokładną analizą wczorajszego wieczora. Miałem wygodne dwupo-kojowe mieszkanie w nowym bloku w dzielnicy Haaga-Północ. Chociaż widziałem wokół siebie znajome meble, a za

oknem niebieściło się niebo, miałem wrażenie, że obudziłem się w jakiejś podejrzanym norze, a na dworze leje jak z cebra.

Posapując, z trudem się podniosłem i poszedłem do łazienki. Kiedy zobaczyłem twarz w lustrze, przyszło mi coś do głowy. Słyszałem, iż wspaniale odświeża przysięga, że nie tknie się już wódki ani papierosów i przez chwilę oczekiwałem efektów tego sposobu. Sytuacja tylko się pogorszyła.

Drżącymi rękami zacząłem się golić, rzucając ponure spojrzenia w kierunku lustra. Stał tam mężczyzna, który uważał się za prawnika i nie bacząc na to upijał się już na początku rozmowy, pozwalając, by cała narada stała się pustą gadaniną.

Znowu szpetnie zakląłem. Praca adwokata wymagała czasami sięgania po kieliszek, gdyż klient przygotowany na obiad z wódką stałby się w innym wypadku podejrzliwy. Ale prawdę mówiąc, nie pamiętam, kiedy ostatni raz się upiłem... zaraz, to chyba było jeszcze na studiach, po pochodzie pierwszomajowym. Dlatego też wściekły starałem się sobie wytłumaczyć, co za bestia opętała mnie poprzedniego wieczora.

Rozdrażniła mnie wczoraj paplanina panny Ryt-kbnen, przypominająca skrzeczenie sroki. Głęboko współczułem nieszczęśliwemu dyrektorowi i przygnębiony piłem solidarnie razem z nim. Doprawdy wspaniała obrona, pomyślałem i usłyszałem w tym momencie, jak oddycham poświstując. Wyjaśniając sprawę do końca i patrząc w oczy bezlitosnej prawdzie, musiałem przyznać jeszcze i to, że z pewnością podświadomie bezwstydnie pragnąłem wspaniałego ciała sekretarki i chciałem wszystkimi sposobami, nie wyłączając wódki, przełamać jej wstyd i lęk.

Ależ się popisałem!

Po goleniu moje samopoczucie zadziwiająco poprawiło się. Ubrałem się i dopiero teraz spojrzałem na zegarek.

Była już jedenasta.

„Mecenas Viima jest wzorem punktualności”. Jeszcze od wczoraj

dźwięczał mi w uszach ten łagodny głos, z nutką sarkazmu. Raz po raz przeklinałem się w duchu, ale kiedy nic się nie zmieniło, zatrzasnąłem drzwi mieszkania i zbiegłem na dół.

Dopiero gdy otworzyłem drzwi od garażu, przypomniało mi się, że volkswagen w dalszym ciągu stoi w drugim końcu miasta, tam, gdzie go wczoraj zostawiłem. Otworzyłem usta, by raz jeszcze wrzasnąć, co myślę o sobie i o swoich zdolnościach prawniczych, ale wtedy zauważyłem żonę dozorca, która stojąc w pobliżu odgarniała śnieg z trawnika.

Natychmiast zamknąłem usta, by otworzyć je znowu i powiedzieć jej dzień dobry. Odpowiedziała uprzejmie na moje przywitanie, ale zmierzyła mnie surowym wzrokiem.

Ruszyłem szybko z miejsca. Na placu Thalia znalazłem taksówkę. Podałem adres biura i zapaliłem papierosa. Miał wstrętny smak, wyrzuciłem go więc przed tunelem przez okno samochodu. Do końca podróży siedziałem osowiały na tylnym siedzeniu i przyglądałem się ludziom, którzy rześcy, dobrze ubrani i znający zasady savoir vivre'u szli chodnikami ulic.

W holu kancelarii kilkakrotnie wciągnąłem głęboko, powietrze, po czym otworzyłem drzwi.

Raili czy też panna Lehmus, nie wiedziałem, jak się do niej zwrócić, siedziała na zwykłym miejscu i rzuciła mi uważne spojrzenie. Była świeża i zadbana, jakby dopiero co wyszła z kąpieli, i właśnie dlatego nie mogłem na nią patrzeć. Pragnąłem spotkać przynajmniej kogoś, kto jest w podobnym stanie co i ja, ale znając sylwetkę Raili-amazonki powinienem wiedzieć, jak bezowocne są te oczekiwania.

Wiedziałem, że w restauracji Klaus Kurki znajdę kogoś takiego i przez chwilę zastanawiałem się, czy by zaraz się tam nie udać. Była właśnie pora obiadowa, a zamarzył mi się półmisek zą śledziami i stojący obok niego pokryty szronem kieliszek wódki. Na szczęście przypomniałem sobie, że jednego głupstwa nie naprawia się drugim. Przywitałem się oziębło z Raili i wśliznąłem

do swojego pokoju, nie pytając nawet, czy były jakieś telefony albo wizyty.

W gabinecie zdjęłem płaszcz i przez jakiś czas tępo patrzyłem w ziemię. Kiedy zamyślony spojrzałem przez okno na Esplanadi zobaczyłem nagie lipy z wyciągniętymi w kierunku słońca gałęziami. Nastrój nie wiadomo dlaczego jeszcze bardziej mi się pogorszył. W końcu ciężko usiadłem za biurkiem. Właśnie zacząłem się zastanawiać, kto kupiłby moją kancelarie; z niezbyt liczną klientelą oraz Raili na dodatek, i na jakim ugorze znalazłaby się posada sierżanta policji dla takiego nicponia jak ja, kiedy usłyszałem pukanie do drzwi.

- Proszę! - krzyknąłem. Zdziwił mnie mój oficjalny ton, który cechuje ludzi zmierzających do celu.

Na progu stanęła Raili.

Rzuciła mi badawcze i niezwykle współczujące spojrzenie i rzekła:

- Czy pan mecenas mógłby...

- Nie ma tu żadnego mecenasa - wtrąciłem wściekły.

- Czyżby? A ty kim jesteś?

Tykała mnie tak naturalnie i rzeczowo, że obudziłem się z letargu. Oświadczyłem jej, że jestem nicpoń, pijak, a prócz tego jeszcze wielka świnią.

- Aha, to tak się sprawy mają. Nie martw się, wielką jeszcze nie jesteś...

- To w takim razie - jestem mały, odrażający szczur.

- Czy mogę na chwilę usiąść? - zapytała po przyjacielsku.

- Proszę.

Patrzyłem, jak poruszała się lekko i z gracją. Umiała również siadać w sposób tak wytworny, że nigdy nie sprawiała wrażenia osoby tęgiej, choć w rzeczywistości właśnie taka była.

Zacząło mi się zdawać, że dzięki obecności Raili pusty i smutny zwykle pokój stał się przytulny i ciepły. Poczułem się trochę lepiej, ale zdenerwowanie jeszcze nie minęło.

- Czy chcesz usłyszeć, jaki jestem naprawdę? - zapytałem.

- Tak, chcę.

Zacząłem mówić. Był to portret malowany mocnymi barwami i przyprawiony ostrymi przyprawami. Prezentacja trwała około pięciu minut.

Kiedy skończyłem i ciężko westchnąłem, Raili wybuchnęła głośnym śmiechem. Nie zabrzmiał on złośliwie, nie było w nim też nawet cienia wyrzutu. Był za to niski, łagodny i życzliwy. Postanowiłem nigdy nie sprzedawać swojej kancelarii. Gdyby jednak do tego doszło, to nigdy Raili bym nie oddał. Zaproponowałbym jej posadę sekretarki komisarza policji, jeśli zostałbym nim. Jeżeli Raili była tak szalona, że po wczorajszym wieczorze jeszcze zechciała na mnie spojrzeć, to możliwe, że przyjęłaby i tę propozycję.

- Chyba możemy już wrócić do sprawy - zaproponowała uśmiechając się.
- Skrucha nie ma sensu, a najlepszy sposób, by uwolnić się od niej, to gorliwe działanie bez wspomniania przeszłości.

- Masz rację - bąknąłem cicho.

- A jeśli chodzi o dyrektora i jego zlecenie...

- Gdzie on teraz jest? - przerwałem jej.

Raili zerknęła na mnie z takim zdziwieniem, że musiałem podnieść głos: - Tu nie wszystko jest zupełnie jasne. Trzeba to podkreślić przy tej okazji, nawet gdyby to miało być cholernie upokarzające.

- Dobrze, rozumiem.

- Pamiętam jednak sporo - wyjaśniłem gniewnie. - Nawet to, że wczoraj mówiliśmy o czymś ważnym. Przede wszystkim o tym, że on chyba zrezygnował z naszych usług i miał poszukać zdolniejszego prawnika. Czy to prawda?

Raili pokręciła głową. - Nic podobnego. Po przyjacielsku rozmawialiście o różnych sprawach. Mówiąc dokładniej, to Patamaa gawędziła a ty słuchałeś z mądrą miną i potakiwałeś.

- Dobra, dobra - zniecierpliwiłem się. - Najsmutniejsze w całej tej sprawie jest to, że jeden pijany brał drugiego pijanego za trzeźwego. Ale do rzeczy, gdzie jest teraz Patamaa?

- Pewnie u siebie, w swoim majątku.

- Pojechał tam w nocy?

- Tak. Sistonen przyjechał po nas w umówionym czasie. Najpierw odwiózł ciebie do domu. Potem odwieźli mnie. Prawdopodobnie jeszcze odwozili pannę Rytkbnen do mieszkania na Punavuorenkatu i wrócili razem na wieś.

- Ach, tak. To panna Rytkbnen została w samochodzie, kiedy opuściłaś towarzystwo?

- Tak.

- A co było potem?

- Patamaa pod koniec wieczoru powiedział o paru dość ważnych szczegółach.

- Tak też myślałem - powiedziałem. - Ach, żebym sobie tylko przypomniał, o jakich szczegółach mówił.

Raili założyła nogę na nogę i poprawiła spódnicę. Przyglądałem się przez moment jej łydkom i zastanawiałem się, czy mógłbym je objąć dłonią.

- Słuchaj uważnie - powiedziała rzeczowo. - Opowiem ci. Najpierw Patamaa mówił o liście szantażysty. Nagle coś sobie przypomniał. Może szampan otworzył mu w mózgu jakąś klapkę. Powiedział, że tomik wierszy Lauriego Pohjanpaa kupił zaledwie parę lat temu.

- No, dobrze. Ale jaki to ma związek ze sprawą?

- Proszę cię, spróbuj się skupić - prosiła Raili cierpliwie. - Dotąd nie było pewności, czy Patamaa pisał listy miłosne naszpikowane fragmentami wierszy także i do innych kobiet.

- Oczywiście, że pisał.

- W to nie wątpię - powiedziała Raili. - Ale wczorajsza uwaga Patamaa eliminuje wszystkie kobiety prócz pani Einoli i panny Rytkbnen. Szantażysta wymienia urywek wiersza Pohjanpaa, ten w którym głowę się bierze do ręki jak puchar i wargi wino piją...

- Nie mów mi dziś o winie.

- Ten właśnie cytat mógł wykorzystać tylko w listach zaadresowanych do pani Einola i panny Rytkd-nen, ponieważ mając dawniej przygody z kobietami, tego wiersza Pohjanpaa nie znał.

Teraz i ja zacząłem rozumieć. - Jest w tym część prawdy.

- Krąg się zacieśnia - powiedziała Raili. - Ale to nie było najważniejsze. Bardziej mnie zaciekało, kiedy pod koniec wieczoru Patamaa zaczął mówić o dyrektorze banku Kanervamaki.

- Czy o tym dyrektorze, który miał wielkie uszy i wykrzywione usta?

Raili skinęła głową. - Pamiętasz, jak Patamaa zamilkł zakłopotany, kiedy ich wczoraj zastaliśmy na poufnej rozmowie w salonie?

- Tak, oczywiście.

- Patamaa jest przewodniczącym rady nadzorczej tego banku.

- Tak, wiem o tym - skinąłem potakująco.

Raili ciągnęła dalej. - Patamaa powiedział wczoraj wprost, że już dawno miał tego Kanervamaki na oku. Domyślał się, że facet robi jakieś machlojki z depozytami klientów. Mówiąc ściślej, podejrzewał, że Kanervamaki dopuścił się defraudacji, ale tak prowadził rachunkowość, że sadzała się w czasie kontroli.

Drgnąłem.

Poczułem szum w głowie, ale nie kac był jego przyczyną. Teraz i ja sobie przypomniałem. Patamaa rzeczywiście mówił o czymś takim.

Raili mówiła dalej: - Patamaa zażądał wczoraj, by Kanervamaki przyniósł mu do wglądu całą dokumentację, dotyczącą wkładów. Miał ją w tej wielkiej teczce. Patamaa podejrzewał, że on wstawiał fałszywe karty rachunkowe, otwierał w tajemnicy konta dla nie istniejących klientów, aby jednocześnie saldo prawdziwych oszukanych klientów zgadzało się.

Zdziwiony zacząłem drapać się po głowie. Odezwałem się do Raili: - Zawsze źle orientowałem się w terminologii rachunkowości. Ale za to lepiej znam się na kodeksie karnym. Czy Patamaa ma zamiar wsadzić Kanervamaki do

kryminału?

- Wczoraj nie miał jeszcze pewności, jaką drogę postępowania wybierze. Ale w związku z odwiedzinami Kanervamaki utwierdził się w swoich podejrzaniach. Kanervamaki plótł coś od rzeczy o debetach, kredytach i tak dalej... po prostu zamierzał zbić z tropu dyrektora. Ten nie mógł udowodnić, że Kanervamaki jest defraudantem. Ale wczoraj mi powiedział, że dziś rano wezwie kontrolę finansową.

- A więc tak to wygląda - zdziwiłem się. Na pierwszy rzut oka Kanervamaki dzięki swoim okularom, fałdom dookoła ust oraz szczupłej budowie ciała sprawiał wrażenie pedantycznego i sumiennego dyrektora banku.

- Więc to tak... - powtórzyłem. - Pozory często mylą.

- Na to wygląda.

Przypomniał mi się pewien szczegół. - Czy panna Rytkonen była przy stole, kiedy Patamaa mówił o tych oszustwach Kanervamaki?

Raili pokręciła przecząco głową. - Nie, ona wtedy...

- A czy była w pobliżu, gdy Patamaa zwrócił uwagę na to, że tomik wierszy Pohjanpaa eliminuje inne kobiety... że tylko ona i jej koleżanka, pani Einola, zostają w kręgu podejrzanych?

- Ale skądże! - Raili znowu pokręciła głową, tym razem nawet gwałtownie. - Teraz dopiero rozumiem, w jakim stanie byłeś, jeżeli...

Wtrąciłem ze złością: - To się już nie powtórzy. Jest jasne jak słońce, że nigdy nie będę pił szampana po whisky. Ale gdzie się wtedy podziewała panna Rytkbnen?

- Tańczyła.

- Z kim? Czy przypadkiem nie ze mną?

Raili uśmiechnęła się. - Uparcie jej odmawiałeś. A pod koniec kolacji nazwałeś ją nawet węzem boa...

Jęknąłem z przerażenia.

Raili dodała uspokajająco: - Ona wzięła to za komplement i uwierzyła, że

zapraǳnęła jej giętkiego, węzowatego ciała.

Dziwny jęk wydobył się z mojej krtani. Po dłuższej chwili westchnąłem i odezwałem się: - Hm... i ja uważałem siebie za kulturalnego i taktownego faceta, który nikogo nie jest zdolny obrazić...

- Nikogo nie obraziłeś. No, może z wyjątkiem mężczyzny, który stale obtańcowywał pannę Rytkbnen... nazwałeś go przeklętym hamulcowym.

Z wrażenia mnie zatkało, ale zdołałem wystękać: - Kogo masz na myśli?

- Przybiegał stale od jakiegoś stolika obok, kiedy tylko zaczynali grać. Wyglądał na starego znajomego panny Rytkbnen. Mnóstwo brylantyny na włosach, buty z ostrymi szpicami...

- Naprawdę? - mglście przypomniałem sobie takiego typu, zakłócającego nam spokój. Kiedy teraz zastanawiam się nad tą sprawą, nagle coś innego zaczęło mi świtać. Zaintrygowany przestałem analizować swoje wczorajsze zachowanie.

Mając rozum i wykształcenie panny Rytkbnen, nie pisze się takich listów, jaki otrzymał Patamaa. Ale ona mogła mieć w tajemnicy przed dyrektorem drugiego kochanka. Może opowiadała mu o listach, jakie otrzymuje i ta dobrana para wyśmiewała się z Pata-maa i jego głupiego sposobu wyrzucania pieniędzy... Może właśnie im przyszedł do głowy ten wspaniały pomysł.

Panna Rytkdnen mogła, tak jak mówiła, zniszczyć listy Patamaa. Ale przekazała wykorzystanie w listach układy zdań i wiersze młodemu kochankowi, którego teraz w myśli oczywiście zacząłem nazywać przeklętym sutenerem. Potem ułożono miły liścik, w którym oświadczono, że potrzebnych jest parę milionów...

A więc panna Rytkonen spokojnie mogła sobie stroić niewinne minki i „szczerze” paplać trzy po trzy. Trzeba się jej przyjrzeć, wczoraj nie powiedziała nic, co by było niezgodne z prawdą, nie poruszyła tylko sedna sprawy, zwracając nam głowę nieistotnymi szczegółami.

W kilku zdaniach wyjaśniłem Raili, do czego doszedłem. Ku mojemu

zdziwieniu odniosła się do tego dość obojętnie. Sądząc po roztargnionej minie, myślami była zupełnie gdzie indziej. Ściągając ją na ziemię, zacząłem mówić o dyrektorze Kanervamaki, przypominając o tym, że Patamaa miał wezwać kontrolę finansową.

- Jakim nędznym typem może się ten Kanerva-maki jeszcze okazać? - Zerknąłem na zegarek. - Jeżeli w jego banku pracuje teraz w najlepszą kontrola finansowa, to facet trzęsie w tej chwili portkami. Hm... śmierdząca sprawa. Ale nie powinna nas ona właściwie obchodzić. Przypuszczam, że nie ma nic wspólnego z tym szantażem. A Patamaa zatrudnił nas tylko do wyjaśnienia tej sprawy i jedynie za to nam zapłaci.

Przyszło mi coś do głowy i zerknąłem na kalendarz ścienny. Było dwunastego.

- Wiem, o czym myślisz - powiedziała Raili. - Szantażysta obiecał dać czternastego dokładne instrukcje, gdzie należy przekazać pieniądze.

- To już pojutrze - stwierdziłem zamyślony.

- Tak. Może on przekaże instrukcje pocztą... albo zadzwoni...

- Kto wie, może zjawi się osobiście - rzuciłem żartem.

- Nie zjawi się - powiedziała Raili. Drgnęła i dodała nagle: - Wiesz co?

- Co takiego?

- Jeszcze raz ci powtarzam, że w tej sprawie jest coś dziwnego.

- Długo, czego tak myślisz? Raili patrzyła przed siebie i z zastanowieniem rzekła. - Od samego początku wydaje mi się, że tu coś nie gra. W tym jest coś nieprawdopodobnego... coś fałszywego... coś takiego, co nie pasuje do całości obrazu.

- Ale list szantażysty jest prawdziwy - zauważyłem.

- Tak. Formalnie tak. Ale... jak ci to wytłumaczyć... Wydaje mi się, że szantażysta nie zjawi się ani pojutrze, ani tym bardziej nigdy później... Nie zjawi się, ponieważ po prostu w ogóle nie istnieje...

- A list to co, z nieba spadł? Ten papier, który szeleścił mi w rękach był

prawdziwy, to na pewno nie było złudzenie.

- Był, oczywiście że był. Myślę jednak, że list został wysłany dla żartu.

- Co takiego?

- Zrozum mnie dobrze. W tym jest coś podejrzanego, mglistego, niejasnego. Oczywiście list został wysłany i istnieje osoba, która go wysłała. Ale myślę, że za tym coś się kryje, że szantażysta w rzeczywistości nie jest szantażystą... i że nie chce pieniędzy, chociaż na to by wyglądało...

Zacząłem podejrzewać, że Raili trochę się zagalopowała.

- To po co, do diabła, wysłała list, jeśli nie chce pieniędzy?

- Cały list, przecież powtórzyłeś mi dokładnie jego treść, jest dziwny, jakby przepisany ze złej powieści. Może to tylko żart, może ktoś chciał nastraszyć dyrektora...

- No i nastraszył - wtrąciłem.

- Na pewno. Ale mam dziwne przeczucie. Myślę, że Patamaa może się cieszyć, jeżeli uwolni się od tej sprawy po zapłaceniu jedynie dwóch milionów marek.

- O czym ty właściwie myślisz? - zapytałem ostro.

Raili wzruszyła ramionami, lecz minc miała poważną. - Nie śmieję się ze mnie, jeżeli powiem, że za tym kryje się coś gorszego... bardziej groźnego, niż tylko próba szantażu... moim zdaniem szantaż jest tylko przykrywką... ma jedynie przesłonić rzeczywisty zamiar... który może się okazać dla Patamaa fatalny...

Parsknąłem śmiechem. - Źle spałaś ostatniej nocy. A kto wierzy w sny, ten boi się i własnego cienia. Ale żarty na bok. Co powiesz o wczorajszym zachowaniu się pani Einola i Rytkonen?

- Myślę, że ta Einola rozzłościła się z dużą przesadą.

- Przypuszczasz, że udawała?

- Coś w tym sensie, może, kto wie. Jest dojrzałą

i doświadczoną kobietą, ma spokojny i cichy charakter... A jednak, takie

wrzaski...

- Taak, no taak. A panna Rytkdnen?

- Plotła nam o spaleniu listów... a właściwie o tym, jak je darła i spuszczała z wodą w WC... I opowiadała nam swoją bajeczkę zbyt gorliwie, cho - I ciąż nikt jej o to nie pytał... Ale...

- Właśnie. Powiedz teraz zupełnie szczerze, do I czego zmierzasz?

- Powiem tylko, że tu nie wszystko jest w porządku.

Otworzyłem właśnie usta, żeby zaprzeczyć, kiedy usłyszeliśmy trzask drzwi wejściowych. Raili skoczyła na równe nogi, skinęła mi głową i szybko wyszła I do przedpokoju, by przywitać gościa.

Słyszałem jakiś chrapliwy głos męski rozmawiają-Cy z nią, ale słów nie mogłem rozróżnić. Po chwili wróciła. Drzwi za sobą zostawiła lekko uchylone i popatrzyła mi w oczy.

- Dyrektor Patamaa nie żyje - powiedziała. Krew odpłynęła jej z twarzy. - Przyszedł komisarz Itkonen z policji kryminalnej. Chce z tobą natychmiast pomówić.

8

Komisarz Itkonen wśliznął się do gabinetu tuż za sekretarką. Nie mogłem jeszcze ochłonąć z wrażenia po otrzymaniu tej nowiny i głupio spojrzałem na wchodzącego.

- Dzień dobry - powiedział Itkonen.

- Dzień dobry - odpowiedziałem automatycznie. - Proszę usiąść.

Itkonen skinął. Jednym spojrzeniem obrzucił cały pokój, starając się uczynić to dyskretnie i uprzejmie. Sprawiał jednak wrażenie, jakby miał zamiar wyciągnąć z kieszeni nakaz rewizji.

Usiadł w fotelu przeznaczonym dla klientów, położył ręce na kolanach i zaczął mi się przyglądać.

- Czy to prawda - zapytałem z poważną miną - że dyrektor...

Itkonen skinął głową. Przez chwilę przyglądaliśmy się sobie nawzajem.

Spotkałem tego komisarza wielokrotnie w sądzie miejskim, ale nie byliśmy znajomymi w ścisłym znaczeniu tego słowa. Przypatrywałem się Itkonenowi, co prawda bezwiednie, ale zapamiętałem pewne szczegóły jego wyglądu i munduru.

Był prawie łysy. Miejsca, gdzie jeszcze rosły włosy, zostały wygolone, tak że widać było tylko krótką jasną szczecinę. Miał niebieskie, głęboko osadzone oczy. Szeroki nos był najlepszym świadectwem wschodniobałtyckiego pochodzenia. Usta miał wąskie i małe, i charakterystyczny dla policjantów mocny podbródek. Z kształtu jego wielkiej głowy możnaby było wnioskować, że mogą się tam znajdować jakieś myśli. Gdy jeszcze raz spojrzałem mu w oczy, doszedłem do wniosku, że patrzę wcale nie obojętnie, ale z wielkim zainteresowaniem, i to skierowanym w moją stronę, co wydawało mi się raczej niezbyt przyjemne.

Itkonen był krępy, trzymał się prosto. Nosił niebieski mundur i staromodnie zawiązany krawat. Brzuch urósł mu już w czasie służby. Pomyślałem sobie, że jeżeli wstąpił do pracy w policji jako młody człowiek, to minęły już dziesiątki lat od czasu, kiedy szczupły i dziarski wywijając pałką chodził w mundurze posterunkowego. Wyglądał tak, jakby trzymał stale w pogotowiu pałkę, a do tego sprawiał wrażenie nie mężczyzny, który po wykonaniu pewnej pracy umysłowej mógł rzucić karty na stół i wykańczać za ich pomocą przeciwnika.

W końcu przemówiłem: - Od kiedy nie żyje? Bo jeszcze wczoraj...

Itkonen przerwał mi: - Zostawmy tę sprawę na później. Przyszedłem tutaj, ponieważ słyszałem, że pan, panie mecenasie Viima, był adwokatem pana Patamaa.

Podniosłem ręce do góry: - Nie, myli się pan. Mało co wiem o jego sprawach.

- Wieczorem byli panowie razem w restauracji Kaivohuone, zgadza się?

- Tak, byliśmy.

- Po co?

Itkonen przesłuchiwał w sposób nieprzyjemny i obcesowy.

- To tajemnica zawodowa - odpowiedziałem.

- A dopiero co słyszałem, że nie był pan jego adwokatem.

- Chciałem powiedzieć, że nie byłem adwokatem w dosłownym tego słowa znaczeniu.

- Co to znaczy w dosłownym znaczeniu?

- Pan chyba to wie.

Itkonen rzucił oziębło: - To ja pytam, a pan odpowiada.

Zdenerwowałem się. Zapomniałem nawet o wstrząsie, który przed chwilą zatrzymał moją maszynkę do myślenia.

- Za prawdziwego adwokata uważa się prawnika, który latami prowadzi sprawy swojego klienta. Zna jego wszystkie tajemnice, łącznie z testamentem.

- Dlaczego pan wspomniał o testamencie?

- Panie komisarzu - powiedziałem ostro. Dopiero teraz zauważyłem, że Raili stała w drzwiach. Sekretarka uważała mnie i tak za mięczaka, więc nie miałem potrzeby pokazywać jej, że jakiś policjant rozmawia ze mną jak z moczymordą, w stylu „zamknij dziób i odpowiadaj na pytania”. - Niech pan posłucha, panie komisarzu - zacząłem znowu. - Nie byłem prawdziwym adwokatem dyrektora Pata-maa, ale pod pewnym względem był moim klientem. Po prostu poznaliśmy się dopiero wczoraj i polecił mi załatwienie pewnej sprawy.

- Jakiej sprawy? - zapytał Itkonen.

- Nie odpowiem na to pytanie, zanim nie dowiem się, co się stało z moim klientem.

- Został zamordowany - odpowiedział Itkonen. Powiedział to tak, jakby mówił o pogodzie. Ale właśnie dlatego podskoczyłem na krześle. Gdzieś w zakamarkach mózgu dopuściłem taką ewentualność, ale teraz te słowa zabrzmiały nieprzyjemnie. Usłyszałem oddech stojącej obok Raili.

- Czy pani mogłaby opuścić nas na chwilę? - odezwał się Itkonen. - Muszę pomówić z panem mecenasem.

Nieżyczliwy ton Itkonena uraził ją. Miało to nawet pewną zaletę, bo blada dotąd twarz sekretarki nabrała kolorów. Rzuciła Itkonenowi wrogie spojrzenie i wyszła, z trzaskiem zamykając za sobą drzwi.

- Powiedział pan, że poznaliście się dopiero wczoraj - ciągnął dalej Itkonen. - Jako prawnik wie pan, że ciężkie przestępstwo przeciwko życiu nie podlega żadnej tajemnicy zawodowej. Może teraz pan zechce powiedzieć, dlaczego dyrektor Patamaa przyszedł na rozmowę z panem.

- Może być pan pewien, że nie powiem - wybuchnąłem. Fizycznie czułem, jak w kieszeni na piersi palił mnie list szantażysty. - Do tej sprawy powrócimy, jeżeli pan wyjaśni bliżej, co się naprawdę stało.

Itkonen kiwnął głową. Przyglądał mi się zamyślony. Zmienił tak nagle temat rozmowy, że o mało co nie wyskoczyłem ze skóry.

- Czy mogę wiedzieć, gdzie pan mecenas był dziś rano o 2.30?

- W swoim łóżku - burknąłem.

- Czy to może ktoś potwierdzić? Przekleństwo wymknęło mi się z ust. Widocznie często musiał je słyszeć, bo nawet nie drgnął.

- Może sekretarka pamięta godzinę mojego powrotu do domu - wycedziłem, gdy udało mi się zapanować nad sobą.

- Chce pan przez to powiedzieć, że ona u pana nocowała?

- Ależ nie, co pan! - krzyknąłem. Skrzywiłem się. Drobnny pot zbierał mi się pod pachami. Wiedziałem, że drzwi były cienkie i Raili mogła usłyszeć coś z przesłuchania. - Proponuję panu komisarzowi skończyć z tymi przekłętymi podejrzeniami. Bo zadzwonię w tej sprawie do kolegi Jarva.

Tak naprawdę szefa policji znałem tylko z fotografii. Itkonen chyba się tego domyślił, ponieważ kąciaki ust drgnęły mu lekko. Miałem wrażenie, że powstrzymuje ironiczny uśmiech.

- Nie chce pan powiedzieć, dlaczego pan Patamaa skontaktował się z

panem?

- Nie... nie teraz.

- Przyszedł do pańskiej kancelarii wczoraj rano?

- Tak.

- Potem pojechaliście do niego na wieś?

- Zgadza się.

- Wieczorem wróciliście do miasta i poszliście do mieszkania pani Einola na Lastenlinnantie. Pan i pańska sekretarka.

- I Patamaa - dodałem.

- Tak, oczywiście. O 21 zabraliście pannę Iris Rytkonen z jej mieszkania, znajdującego się na Pu-navuorenkatu i pojechaliście do Kaivohuone. Stamtąd wyszliście o 1.10. A co się zdarzyło potem?

Zacząłem inaczej patrzeć na komisarza Itkonena. Czy powiedział coś o czasie dokonania mordu? Nic, a zamiast tego pytał mnie o alibi i dowiadywał się, co robiłem o 2.30. Morderstwo niewątpliwie zostało dokonane właśnie wtedy. Teraz była godzina 12.30, stwierdziłem to zerkając na zegarek. Jeżeli Itkonena natychmiast wezwano na miejsce zbrodni, to w ciągu tych dziesięciu godzin mógł dowiedzieć się wielu rzeczy.

Postanowiłem być wobec tego faceta podwójnie ostrożny.

Zadał mi jeszcze mnóstwo pytań. Odpowiadałem na nie wymijająco, i gęste brwi Itkonena zaczęły się poruszać. Był to pierwszy sygnał, że jego cierpliwość się kończy. Nic konkretnego ze mnie nie wyciągnął. Od niego zaś nie dowiedziałem się nic o samym wypadku, choć kilkakrotnie w czasie przesłuchania zamieniłem się w przesłuchującego i zastawiłem na niego naprawdę chytrze ukryte pułapki.

- Dobrze - powiedział w końcu Itkonen. - Przy pierwszej nadarzającej się okazji poproszę pana mecenasa do komendy na ponowne przesłuchanie. Wtedy dokładniej przyjrzymy się sprawie. Teraz muszę już iść, mam pełne ręce roboty.

Itkonen obiecał „przyjrzeć się dokładniej sprawie” takim tonem, że nie

miałem podstaw, by z optymizmem patrzeć w przyszłość. Podniósł się, ale przypomniał sobie jeszcze pewien szczegół i powiedział: Pani Einola, która została zatrzymana jako podejrzana...

- Co?.' - wrzasnąłem.

Itkonen kontynuował spokojnie: - Pani Einola, którą zastano bezpośrednio na miejscu zbrodni, została zatrzymana ostatniej nocy jako podejrzana o zamordowanie dyrektora Patamaa. Jest w komisariacie policji kryminalnej. Bardzo potrzebuje obrońcy. Upoważniła mnie do oświadczenia, że prosi pana, mecenasie Viima, żeby przyszedł pan do niej.

Zamknąłem oczy. Kiedy je otworzyłem, pokój przestał się już kiwać i huścić. Usłyszałem trzaśnięcie drzwi i tłumione odgłosy dochodzące z sekretariatu. Widocznie Itkonen zatrzymał się tam dla zadania Raili kilku pytań. Znając sekretarkę, wiedziałem, że nic nie powie bez porozumienia się ze mną. Nie to jednak było najważniejsze...

Sprawą najważniejszą była nagła śmierć dyrektora Patamaa.

Drugą prawie równie niezrozumiałą sprawą było to, że pani Einola chciała, bym został jej obrońcą. Przecież nie dalej jak wczoraj wzburzona i rozdygotana z gniewu, pokazała mi drzwi.

Był jeszcze i trzeci aspekt tej sprawy, chyba byłem bez serca, ale...

Navigare necesse est, vivere non est necesse. Patamaa zmarł.

Kto zapłaci biednemu prawnikowi kosztą sprawy?

Gdy ujrzałem panią Einola, nie wierzyłem własnym oczom. Trudno sobie wyobrazić, by kobieta w ciągu jednej doby mogła się tak zmienić.

Siedziała na ławce w izbie zatrzymań. Była ubrana w sposób pozwalający przypuszczać, że ubierała się w wielkim pośpiechu. Jeszcze wczoraj wyprostowana, teraz zgarbiła się, przede wszystkim jednak wstrząsnął mną widok jej zmartwionej i nieszczęśliwej twarzy. Wczoraj wieczorem podziwiałem gładkość jej cery, teraz zauważyłem mnóstwo drobnych zmarszczek dokoła oczu i na szyi. Spostrzegłem jeszcze, że jej promienne

spojrzenie zmętniało, stało się apatyczne.

Rzuciłem akta na ławkę obok niej. Rozpiąłem guziki płaszcza i usiadłem naprzeciwko na niewygodnym taborecie. Kiedy trzasnęły drzwi od celi, pani Einola podniosła wzrok. Wydawało mi się wtedy, że w jej oczach zauważyłem przeblask nadziei. Teraz znowu z opuszczoną głową apatycznie patrzyła w podłogę.

Ostrożnie klepnąłem ją po kolanie. - Proszę pani. Proszę nie tracić nadziei. Jestem pewny, że tu zaszła jakaś okropna pomyłka.

Pani Einola podniosła wolno głowę. Patrzyła na mnie.

- Przyszedł pan jednak?

- Oczywiście - powiedziałem bez wahania.

- Ale przecież... wczoraj byłem tak nieuprzejma wobec pana... Straciłam zupełnie panowanie nad sobą... i nawet pana wyrzuciłam.

Zaśmiałem się, aby ją pocieszyć. - Nie ma o czym mówić. Było, przeszło. Dobrze zrozumiałem pani gniew. Każda porządna kobieta rozgniewałaby się... hm... takim policyjnym przesłuchaniem...

- Proszę mi teraz nie mówić o przesłuchaniu policyjnym. Dopiero teraz wiem, co to znaczy naprawdę. Przesłuchują mnie bez przerwy. W ogóle nie spałam.

- To jest niedopuszczalne!

- Pozwolono mi trochę poleżeć... Ale nie mogę zasnąć... Jak tu spać?

Pokazała na ławkę. Przypomniałem sobie jej przytulne mieszkanie i opanowało mnie uczucie wstrętu.

- Tak, tak... - mamrotałem współczująco. - Przystąpmy jednak do sprawy. Chociaż przedtem chciałbym zapytać, dlaczego poprosiła pani właśnie mnie o obronę.

Kobieta wzruszyła ramionami. Wydawało się, że jeszcze jest jej wstyd z powodu wczorajszego incydentu, a może jej twarz wyrażała co innego. «- Dotąd żyłam tak, że nie potrzebowałam nigdy prawnika - powiedziała bezbarwnym

tonem. - Kobiety nie potrzebują często prawników... Kiedy zmarł mąż, mój brat prowadził wszystkie sprawy spadkowe i inne. Teraz i brat zmarł...

- Czy ma pani jakąś rodzinę? - Nie mam.

Krótkim słowem można czasem wiele wyrazić.

Sytuacja pani Einola była naprawdę nie do pozazdroszczenia. Była sama na świecie, zatrzymana jako oskarżona o zamordowanie tego, kogo może kochała, kto wniósł w jej życie jakąś zmianę i pocieszenie.

Nie mogłem zupełnie tego wszystkiego zrozumieć. Patrzyłem na ściany celi jakby w oczekiwaniu, że nagle silny wicher rozwali je i cała ta niedorzeczna sytuacja okaże się wymyśloną przez nas. Ale kamienne ściany, betonowa podłoga, prymitywna ławka, goła żarówka pod sufitem istniały naprawdę. Z korytarza słychać było kroki wartowników.

Słyszałem głos pani Einola, która mówiła dalej: - Wtedy przypomniałam sobie pana. Jest pan jedynym prawnikiem, którego znam. I... i... wieczorem wywarł pan sympatyczne wrażenie, chociaż sprawa była tak nieprzyjemna...

- Hm... - zacząłem zakłopotany. Nikt dotąd nie nazwał mnie sympatycznym.

- Dlatego poprosiłam komisarza Ikkonena...

- Itkonena - poprawiłem.

- Itkonena, by przekazał panu... Ale może nie zechce mnie pan bronić, kiedy pan usłyszy...

- Ależ, chcę panią bronić - powiedziałem z naciskiem. Choć raz poczułem, że mówię szczerze.

- Nie jestem kobietą biedną. Mam dość pieniędzy na zapłacenie panu.

- To nie jest takie ważne - powiedziałem wielkodusznie, posiadałem teraz spory zapas wielkoduszności. Dość szybko dodałem: - Oczywiście może się okazać, że sprawa będzie bardzo kosztowna...

Kobieta machnęła ręką. - To nie ma żadnego znaczenia. Już nic nie ma znaczenia... Ważne jest, by tylko to wyjaśnić... Ale już i sama zaczynam

wątpić.. Postąpiłam tak głupio...

- Co się naprawdę stało? - zapytałem.

- Policja jest przekonana, że zabiłam Jussiego... to jest pana Patamaa.

Dolna warga zaczęła jej drżeć. Pragnąc gorąco, by moje słowa nie dotarły przez wartowników do uszu komisarza Itkonena czy „przyjaciela”, szefa policji Jarvy, powiedziałem szybko:

- Policja wierzy teraz we wszystko... Kiedy nie mogą opanować zalewających cały kraj krwawych czynów, zadowoleni zamykają niewinne ofiary.

Nie liczyłem specjalnie na to, że takie pocieszenie podziała, lecz zauważyłem, że na szczęście, podziałało. Pani Einola ożywiła się.

- Czy może mnie pan poczęstować papierosem? Spełniłem jej prośbę, podałem ogień. Kiedy zaciąg-1nęła się parę razy, powiedziałem z zachętą w głosie:

- Proszę teraz wszystko opowiedzieć... wszystko.

- Od czego by tu zacząć?

- Od samego początku.

- Dobrze... Państwo, pan i pańska sekretarka byliście w towarzystwie Jussiego... to jest dyrektora' Patamaa wieczorem u mnie. Wyrzuciłam was... niestety...

- Zapomnijmy o tym.

- Pan to mówi z uprzejmości. W każdym razie widział pan, jak się zdenerwowałam. Może mi pan wierzyć, że nie zdążyłam się jeszcze uspokoić, wściekłość we mnie nawet wzrosła, kiedy zadzwonił domofon...

- Ma pani na myśli telefon przy drzwiach wejściowych na dole, przez który gość chcący wejść może porozumieć się z mieszkańcem domu?

- Tak.

- Nie zauważyłem czegoś takiego.

- W dzień drzwi wejściowe są otwarte. Państwo przyszli do mnie koło

siódmej wieczorem. Wtedy jeszcze nie trzeba było korzystać z domofonu.

Skinałem głową. - Rzeczywiście. Więc domofon zaalarmował panią późnym wieczorem.

- To było późno w nocy - poprawiła się pani Einola.

- O której?

- Koło drugiej w nocy. Zapamiętałam godzinę, bo alarm zbudził mnie ze snu i od razu, wściekła, zerknęłam na budzik na stoliku nocnym.

- I co dalej?

- Jussi chciał rozmawiać ze mną... to znaczy pan Patamaa.

- Mówmy o nim Jussi. Dlaczego chciał spotkać się z panią tak późno w nocy?

- Chciał mnie przeprosić.

- Ach tak.

- Chciał przeprosić za to, że mnie podejrzewał i że zorganizował w moim domu taki... no, powiedzmy incydent. Chyba i ja byłam częściowo winna przez te moje słabe nerwy.

- Rozumiem. No i jak pani zareagowała na tę niespodziewaną prośbę?

- Rzuciłam słuchawkę. Przedtem powiedziałam, że również drzwi na dole będą odtąd dla niego zamknięte i że nasze wzajemne kontakty się skończyły.

Chrząknąłem. - Nie obrazi się pani, jeżeli zapytam o pewien szczegół. Czy to znaczy, że pan Patamaa nie miał kluczy od mieszkania pani, no i oczywiście od drzwi na dole?

- Nie jestem kobietą tego typu.

- Jeszcze raz przepraszam. Proszę z łaski swojej opowiadać dalej.

- Jussi był uparty - mówiła pani Einola, przyglądając się własnym palcom.

- Obok domofonu jest guzik dzwonka, więc naciskał go bez przerwy. W końcu zaniepokoiłam się i zaczęłam się denerwować. Mieszkam w porządnym domu, co powiedzą sąsiedzi, jeżeli bełkocący, pijany mężczyzna zechce na siłę wejść

do kogoś o tej godzinie.

-Tak?.

- Powiedziała do Jussiego, że nie otworzę mu drzwi, ale mogę zejść na dół i porozmawiać z nim. Jussi stwierdził, że ma bardzo ważną sprawę. Ubrałam się prędko w to, co było pod ręką, zarzuciłam futro na ramiona i...

Pokazała wymownym gestem niekompletny strój. Skinąłem głową. Ona ciągnęła dalej:

- Jussi czekał na dole przy swoim samochodzie. Był tam też Sistonen.

- Czy zauważyła pani jeszcze kogoś w samochodzie? - wtrąciłem.

Pani Einola pokręciła przecząco głową. - Nie, Jussi, jak mnie tylko zobaczył, zaczął wyjaśniać i prosić o przebaczenie. Jest czasem taki wzruszający i niezaradny... ale jest przecież dorosły i powinien) mieć więcej rozumu niż młodzieniec...

- Oczywiście, rozumiem.

Wyglądała na zmęczoną, jakby wstydzając się powtarzania słów Patamaa.

- Jussi powiedział, że wieczorem ciężko się rozchorował...

Przypomniały mi się tabletki nitrogliceryny przy stole. Potwierdziłem: - To prawda. Widziałem osobiście pewne symptomy.

- Powiedział, że przemyślał w związku z tym sprawę na nowo. Powiedział, że w głębi duszy nigdy nie podejrzewał mnie o szantaż. Że liczył na mnie, że każdy człowiek na świecie powinien mieć kogoś takiego, na kogo może liczyć. Inaczej, czuje się tak beznadziejnie samotny... Znowu kiwnąłem głową w milczeniu. - Przez cały czas bałam się, że jakiś spóźniony mieszkaniec naszego domu wróci, więc zaproponowałam, abyśmy w samochodzie kontynuowali naszą rozmowę. Jussi zgodził się. Weszliśmy do samochodu. Tam w obecności Sistonena zaczął mówić o testamencie.

- Chwileczkę - powiedziałem. - Czy Patamaa zostawił pani coś w testamencie?

- Cały swój majątek.

Drgnąłem. Przypomniała mi się farma, wspaniały dom, buick wielki jak okręt wojenny... A przecież na pewno widziałem tylko niewielką część majątku Jussiego Patamaa. Zagryzłem wargi i uważnie przyjrzałem się pani Einola. Odpowiedziała szczerym spojrzeniem szeroko otwartych oczu.

Mruknąłem uspokajająco: - Zaczynam rozumieć podejrzenia Itkonena... Oczywiście nie potrafię jeszcze nic powiedzieć, zanim nie dowiem się czegoś więcej. Ciekaw jestem, czy testament jest w dalszym ciągu ważny?

- Tak. I to właśnie jest straszne. Ja również czytałam kryminały i umiem myśleć. A jak pan usłyszy, co się stało potem...

- Niech się pani nie martwi - wtrąciłem. Bałem się, że mój głos nie brzmiał dość przekonująco, więc dodałem z ożywieniem: - Zastanowimy się nad całą sprawą dopiero, kiedy dowiem się wszystkiego. Proszę opowiadać dalej.

Pani Einola zaczęła mówić, nerwowo poruszając rękami: - Sytuacja była trochę kłopotliwa. Jak tylko weszliśmy do samochodu, Jussi poruszył sprawę testamentu...

- Kiedy on został sporządzony?

- Jakieś dwa lata temu.

- Kto to zrobił?

- Nie byłem przy tym. Wiem tylko, że testament istnieje na wypadek śmierci, jak mówił Jussi, sporządził go miejscowy adwokat, jego dobry przyjaciel.

- Dobrze - powiedziałem i już widziałem wielkie nagłówki w prasie rozpisującej się o tej sprawie. Postanowiłem jednak te rozważania zostawić na później. - No i co dalej? Co się potem stało?

- W samochodzie Jussi znowu zaczął mówić o te-j stamencie. Był w dziwnym nastroju. Powiedział, że pomimo wszystko liczy tylko na mnie i że jestem jego jedyną na świecie przyjaciółką. Opowiedział również, jak po otrzymaniu listu szantażysty wściekł się i doszedł do wniosku, że wszystkie

kobiety są nic nie warte. Łącznie ze mną. Z tego też powodu był gotów zmienić testament i podarować cały swój majątek różnym instytucjom i szpitalom... przeznaczyć go na cele społeczne...

- To ciekawe - zainteresowanie moje osiągnęło szczyt. Uważnie przyglądałem się pani Einola, która mówiła dalej:

- Jussi wspomniał o zmianie testamentu temu adwokatowi, który go spisał. Powodu zmiany swojej decyzji oczywiście nie wyjawiał. Nic nie mówił o liście szantażysty...

- I co?

- Adwokat wyśmiał go i poradził, by jeszcze raz to przemyślał. Jussi posłuchał go. Powiedział, że testament pozostaje w mocy i że wszystko ja otrzymam. Że liczy na mnie i wierzy we mnie, ponieważ jestem jego wieloletnią, mówił to ze łzami w oczach, jedyną przyjaciółką...

- Tak, mogę to sobie wyobrazić - odezwałem się cicho. Pomyślałem, że pijany, chory na serce i żyjący w cieniu śmierci Jussi Patamaa na pewno był człowiekiem nieszczęśliwym. Ale miał jakiś punkt oparcia. Kiedy przypomniałem sobie wygląd panny

Rytkbnen, a przede wszystkim jej sposób bycia, byłem naprawdę rad, że Jussi Patamaa przemyślawszy wszystko od nowa, pozostał wierny pani Einola. Była dojrzałą, mądrą kobietą w średnim wieku, zrozumiałem teraz, jakie ludzkie, trwałe więzi łączyły ją z dyrektorem.

Panna Rytkbnen była tylko chwilową atrakcją. I chyba w każdym z nas to tkwi, pomyślałem filozoficznie.

Pani Einola ciągnęła dalej:

- Byłam bardzo zła na niego, ale zaczęłam powoli się uspokajać. Drażniło mnie jednak, że siedzący za kierownicą Sistonen wszystko słyszy. Prawda, że był powiernikiem Jussiego, nie miałam nic przeciwko Sistonenowi, ale istnieją sprawy, o których rozmawia się tylko w cztery oczy, chyba mnie pan rozumie?

- Naturalnie.

- Zapropnowałam, byśmy pojechali do jakiegoś parku, gdzie w spokoju moglibyśmy wyjaśnić nasze sprawy. Myśl ta spodobała mu się. Kazał Sistonenowi pojechać na Kaisaniemi. Zatrzymaliśmy się koło parku, przed lokalem Teatterigrilli. Wyszliśmy z Jus-sim i poszliśmy na spacer piaszczystą ścieżką wokół stawu, wie pan gdzie to jest...

- Tak, wiem.

Wargi pani Einola zadrżały w tym momencie, a jej twarz wykrzywił grymas. Z napięciem czekałem, co teraz powie. Mając oczy pełne przerażenia, powiedziała drżącym głosem:

- I wtedy... i wtedy stała się ta straszna rzecz...

117

10

Klaustrofobia była dla mnie dotąd słowem nic nie znaczącym. Ale kiedy usłyszałem rozdzierający serce' krzyk pani Einola i zobaczyłem jej umęczoną twarz, którą starała się zasłonić rękami, atmosfera w małej celi stała się dla mnie nie do zniesienia. W każdej chwili mogłem wyjść z tego sześcianu ze ścian, betonowej podłogi i sufitu, ona natomiast nie mogła tego zrobić. Miała tu zostać długo, sam na sam ze swoimi ponurymi myślami, wsłuchując się w kroki wartowników, aż do rozprawy - albo i przez całe życie. Pomijając to, że mogła być zupełnie niewinna.

Postanowiłem być ostrożny i trzymać swe nerwy na wodzy. Ogarnął mnie żal i współczucie, jednak ciekawość prawnika zwyciężyła. Podtrzymywałem się: na duchu, przypomniawszy sobie, że łzy kobiety wprowadziły w błąd niejednego mężczyznę.

Nie pozostało mi nic innego, jak pozwolić pani Einola wypłakać się nad swoim nieszczęściem. Po dłuższej chwili uspokoiła się. Sięgnęła ręką, jakby chciała wyjąć chusteczkę do nosa, ale w ostatniej sekundzie przypomniała sobie, że nie ma w ogóle torebki. Próbowała pokryć uśmiechem własną omyłkę, ale wynik był żaloszny.

Podałem jej swoją chusteczkę. Przypadkowo była czysta. - Proszę się o to nie martwić - powiedziałem. - Zaraz po powrocie do miasta przyślę pani wszystkie potrzebne rzeczy.

- Przecież jestem aresztowana...

Ale jeszcze pani nie skazali... i chyba nie skażą...

To pewne siebie oświadczenie nie zabrzmiało zbyt przekonująco, toteż dodałem szybko: - Nie została pani jeszcze uwięziona. Nawet gdyby tak się stało, I tak przypilnuję, by mogła pani korzystać z wszelkich, praw, przysługujących zatrzymanemu na czas śledztwa. Ale nie mówmy o nieprzyjemnych formalnościach. Wyjašnjmy do końca rzecz najważniejszą. Może pani opowie mi dokładnie, co się wydarzyło, gdy wyszliście z samochodu. Zwracam uwagę na pewną okoliczność: proszę nie zapominać o najdrobniejszych szczegółach.

- Postaram się. - Pani Einola milczała przez chwilę, patrząc bezmyślnie przed siebie. Potem zaczęła mówić cicho i niewyraźnie, stopniowo odzyskując siłę w głosie.

- Wyszliśmy z samochodu obok parku...

- Czy Sistonen został w samochodzie? - przerwałem jej.

- Nie. Po paru krokach obejrzałam się. Wyszedł z samochodu i rozmawiał z portierem przed Teatte-rigrilli. Jak pan wie, ten lokal jest otwarty do późna w nocy i...

- No dobrze - powiedziałem. - I co dalej? Poszła pani z dyrektorem w głąb parku?

- Tak. Ścieżki były oświetlone przez latarnie, ale za gęstymi krzakami było ciemno...

- Znam Kaisaniemi.

- Przeszliśmy może sto, dwieście metrów. Zbliżaliśmy się do miejsca, gdzie alejka parkowa kończy się na rogu ulic Liisankatu i Unioninkatu. Oprócz nas nikogo tam nie było.

- Nie spotkaliście ani jednego spóźnionego przechodnia?

Pokręciła głową i mówiła dalej: - Zatrzymaliśmy się. Pamiętam, jak rozejrzałam się dookoła, czy nie ma tam nikogo, kto mógłby nas podsłuchiwać. Jussi znowu zaczął mówić o testamencie... i wtedy padł strzał. Widziałem, jak jej źrenice rozszerzyły się.

- Padł strzał? - powtórzyłem.

- Tak. Obok nas rosły gęste krzaki. Panowała tam ciemność, chociaż alejka na której staliśmy, była oświetlona latarniami...

- Właśnie. Już pani o tym mówiła. - Strasznie byłem ciekaw, co było dalej. - Powiedziała pani, że padł strzał. Kto strzelił?

- Niech mi pan pozwoli opowiedzieć. Spostrzegłam tylko błysk w krzakach i to bardzo blisko...

- Przypuszcza pani, że był to błysk wystrzału?

- Tak, na pewno tak. Na twarzy poczułam nagle muśnięcie strumienia cieplejszego powietrza. Nie było gorące, jak mówią w powieściach, tylko cieplejsze, prawie jak wiaterek. Jednocześnie zobaczyłam... zobaczyłam...

- Niech pani się uspokoi - powiedziałem rozkazującym tonem. Widziałem, że jeszcze chwila, a pani Einola może dostać histerii.

- Zobaczyłam... jak Jussi zwałił się na ziemię, dosłownie jak uderzony piorunem... Zrobił półobrót i runął koło moich nóg... Zastygłam w przerażeniu...

Mina kobiety mówiła sama za siebie. Zwilżyłem wyschnięte wargi i odezwałem się cicho: - Proszę mówić dalej. Najgorsze będzie zaraz na nami.

Ciężkie, bliskie jęku łkanie zatrzęsło ciałem pani Einola, ale drżącymi wargami mówiła: - Wszystko zdarzyło się w ciągu sekundy. Jakby piorun mnie poraził... Nie mogłam w to uwierzyć. Może pan, panie mecenasie, postara się teraz zrozumieć, co zrobiłam potem i dlaczego...

- Postaram się - zapewniłem ją. - Zrobię wszystko, co w mojej mocy.

- Pochyliłam się nad Jussim... Myślałam że to przerażający koszmary sen. Że głos domofonu w ogóle mnie nie zbudził, że nie wsiadłam do

samochodu, nie przyszedłem do parku ani... Myślałam, że za chwilę obudzę się we własnym łóżku...

- Tak, rozumiem panią.

- Strach ogarnął mnie i... chciałam przekonać siebie, że to tylko sen. Dotknęłam głowy Jussiego... i... kula trafiła go w skroń... pokrwawiłam rękę...

Pani Einola szybko popatrzyła na rękę. Zauważyłem, że były szorstkie, jakby je bez przerwy myła chropowatym więziennym mydłem leżącym na paskudnej umywalce, która stała w kącie celi.

- Proszę mówić dalej - powiedziałem spokojnie, by udzieliła jej się choć część mojego spokoju. Było to trudne, ponieważ i moje serce było gwałtownie. Atmosfera w celi była ciężka.

- Stałam jak zaklęta. To samo zaklęcie sprawiło, że cofnęłam się. Nie byłam w stanie nawet krzyknąć, chociaż z przerażeniem zobaczyłam pobrudzone rękę... Jeszcze nie mogłam w to uwierzyć. Kiedy ujrzałam pistolet na ziemi, musiałam go podnieść, żeby dotykem sprawdzić, czy to prawdziwy metal...

Otworzyłem usta ze zdziwienia. - Pistolet? - powtórzyłem. - Podniosła pani z ziemi? Skąd on się tam znalazł?

- Pan nie wierzy.

- Najpierw proszę opowiedzieć.

- W czasie przesłuchania wyczułam, że policjanci nie uwierzyli mi, rzucali na siebie ukradkowe spojrzenia i wzruszali ramionami...

- Do diabła z policją - powiedziałem niecierpliwie. - Proszę opowiadać, skąd się, do diabła, mógł tam wziąć ten pistolet...

- Co chciał pan przez to powiedzieć?.

- Nic, nic takiego. Proszę mówić dalej.

Pani Einola znowu westchnęła. - Myślałam o tym później, wiele razy... Staralam się przypomnieć sobie wszystko. I chociaż byłam wtedy zupełnie sparaliżowana strachem, teraz zebrałam te okruchy myśli...

- I co?

- Przypominam sobie teraz, że usłyszałam szelest krzaków. I szuranie. Byłam odwrócona plecami do zarośli, nachylona nad Jussim. Ale usłyszałam również stuk... Pamiętam, że wtedy odwróciłam się. Zobaczyłam pistolet na ziemi... koło nóg... Wzięłam go do ręki.

Wstrętne podejrzenia zaczęły mną targać. Teraz dopiero zrozumiałem spojrzenie bladoniebieskich oczu komisarza Itkonena. Sytuacja była naprawdę bardzo nieprzyjemna. Zdałem sobie sprawę z tego, że sam też nie wierzę we własne pytanie:

- Twierdzi pani, że ktoś strzelił zza krzaków. I że ten ktoś rzucił potem przez krzaki pistolet koło ciała? Tak pani twierdzi?

- Tak właśnie twierdzą. I to jest prawda.

Pani Einola uniosła głowę. Dłuższą chwilę patrzyliśmy sobie w oczy. Trwało to chyba całą wieczność.

Powieki pani Einola nawet nie drgnęły.

Jestem łatwowiernym mężczyzną i z pewnością nietrudno mnie w pewnych sprawach oszukać. Ale inne rzeczy umiem przejrzeć na wylot. Instykt podpowiedział mi, że siedząca przede mną kobieta mówiła prawdę.

Rozsądek nakazywał mi być podejrzliwym. Czyżby kobieta opowiadała bajkę, w którą na pewno - jak sama mówiła - nie bardzo uwierzyli policjanci?

Panią Einola znaleziono stojącą z zakrwawionymi rękami obok ciała. Wzięła do ręki narzędzie mordu i jej odciski palców były pierwsze...

A jednak pomimo buntu rozsądku czułem, że ta kobieta nie kłamała, choć ogromną rolę w tym moim przeświadczeniu odgrywał tylko ten ulotny na-ulrój szczerości, który istniał teraz między nami który spowodował, że uwierzyłem jej jakby szóstym zmysłem.

Pusty to dźwięk marnej waluty, kiedy w sądzie wstaje oskarżyciel i nie mając faktów zaczyna przemawiać. W sądzie liczą się bowiem fakty, a nie ich interpretacja. Poczulem nagle swoją bezradność, ale Jednocześnie coś się we

mnie utwierdzało. Wszystko to było ponad moje siły, a mimo to uświadomiłem sobie, że nie mam zamiaru się wycofać, choćby stała przede mną ściana wysoka jak góra.

Pani Einola odezwała się tak cicho, że ledwie ją usłyszałem:

- Czy pan też śmieje się ze mnie?

- Nie, nie śmieję się - powiedziałem poważnie. - Lecz zanim coś zdecydowanego przyobiecuję, chcę usłyszeć wszystko.

Pani Einola rzekła głuchym głosem: - Stałam koło ciała, trzymając w ręku pistolet, kiedy oni przybiegli na miejsce...

Cała historia jak dotąd była dosyć zagmatwana, teraz jednak już nic nie rozumiałem.

- Oni? - zapytałem. - Jacy oni?

- Pierwsi przybiegli na miejsce, chyba zaalarmowani wystrzałem, Sistonen i ten portier... ten, który rozmawiał z Sistonenem przy drzwiach Teatteri-grilli.

- Aha, oni.

- Oni byli pierwsi. Po nich przysłała grupa innych ludzi. Wyszli chyba z restauracji... albo ci, którzy stali przed drzwiami, czekając na miejsce. To mała restauracja...

12.1

Skinąłem głową. Nieraz późnym wieczorem widziałem kolejkę pod drzwiami Teatteri-grilli.

- A potem przysłała policja? - upewniłem się.

- Tak.

- I wtedy przywieźli panią tutaj?

- Właśnie. - Kobieta uśmiechnęła się smutno. - Przywieźli tutaj i powiedzieli, że jestem chyba rozsądnym człowiekiem... że na pewno rozumiem... że najlepiej przyznać się od razu... że poprawi to moje samopoczucie... ulży pracy urzędników...

Zmarszczyłem czoło: - Czy policjanci grozili pani?

- Nie, skądże. Starali się tylko wytłumaczyć mi, w jakiej jestem sytuacji...

- Tak, tak. Znamy te gadki...

Zapatrzyłem się w betonową podłogę celi. Po chwili gwałtownie podniosłem głowę, patrząc prosto w oczy pani Einola. Odpowiedziała wzrokiem twardym, bez lęku, szare oczy miała szeroko otwarte.

- Nie przyznała się pani? - zapytałem. Ramiona kobiety drgnęły: - Jak mogłam się przyznać? Ale ponieważ pan o to pyta, uważam...

- Chwileczkę, proszę pani. Pani mnie źle zrozumiała. Czasem przesłuchiwany może przyznać się tylko wskutek zmęczenia, aby tylko mieć spokój, uwolnić się od dręczycieli. Nie chcę przez to powiedzieć, że policjanci w naszym kraju są rozmyślnymi oprawcami. Nawet najlepszy funkcjonariusz może tak się zachować, gdy wypadek jest na pozór tak oczywisty. Więc...

- Więc...? - powtórzyła pani Einola. W dalszym ciągu patrzyła mi w oczy. Powiedziałem powoli i spokojnie: - Więc jest pani niewinna?

Pani Einola odpowiedziała również powoli i dobitnie: - Bóg mi świadkiem, że jestem niewinna:

Chwila stała się nagle tak uroczysta, że poczułem ruwstydenie.

- Bóg może o tym wiedzieć, ale sąd ziemski patrzy na sprawę z innego punktu widzenia. Tak, że **ja...**

Zobaczyłem nieszczęśliwą twarz pani Einola I usłyszałem rozpaczliwy ton w jej głosie: - Nie chce mnie pan bronić? Nie wierzy mi pan i nie chce się pan podjąć mojej obrony...

Coś się we mnie dziwnie poruszyło. Wydało mi się, że tkwi we mnie coś, o istnieniu czego dotąd nie wiedziałem... jakieś dziwne, dławiące uczucie.

Rzuciłem bez zastanowienia, rozciągając słowa:

- Ja pani wierzę. I chcę panią bronić. Nie zrobię tego wyłącznie dla pieniędzy ani z nadziei na sławę, chociaż nie jestem aż takim wariatem, by robić to bezpłatnie. Poślę pani duży rachunek, tego może być pani pewna. Nie

tknąłbym jednak tej sprawy nawet za wielkie pieniądze, gdybym...

Próbowałem znaleźć odpowiednie słowo dla wyrażenia tak zawilej rzeczy, ale wyrażenie w słowach tego, co czułem, nie było takie łatwe.

W końcu powiedziałem: - Nie podjąłbym się obrony, gdybym pani nie wierzył. A także, gdybym nie czuł, że mam pewne zobowiązania w stosunku do pana Patamaa. Byłem wczoraj jego gościem, skorzystałem z jego przyjaźni, wreszcie zaangażowano mnie, bym miał oczy otwarte. Niestety, nie zrobiłem tego, krótkowzrocznie myślałem tylko o sobie i własnej przyjemności...

Przestraszyłem się własnego patosu. Dlatego dodałem zdecydowanym i szczerym głosem:

- Proszę pani, mam wiele wad, ale długi zawsze spłacałem. Tak zrobię i tym razem.

Podniosłem się, zapiąłem guziki płaszcza, wziąłem teczkę z ławki i powiedziałem.

- Do widzenia. Wrócę tu jeszcze... niedługo... i to nie tylko raz. Niech pani nie traci nadziei. Obiecuję, że razem wykryjemy, co się naprawdę zdarzyło.

11

Następne trzy tygodnie pracowałem w pocie czoła.

Samochód nie stał już całymi dniami za rogiem. Jeździłem po mieście, wyjeżdżałem też na wieś, tak że na liczniku wybiło ponad dwa tysiące kilometrów. Odbyłem niezliczoną ilość wizyt i rozmów telefonicznych, napisałem dziesiątki listów i otrzymywałem na nie odpowiedzi, krótko mówiąc, próbowałem wszystkich możliwości. Zasmakowałem w tej niewdzięcznej pracy detektywa, którą tak zachwalają w powieściach i która na stronicach książek przynosi tak zaskakujące rezultaty. Dopiero teraz zrozumiałem, jak bezradny jest cywil, który w normalnym życiu, a nie w książce, stara się na własną rękę prowadzić dochodzenie nie mając niezbędnych, a służących tylko policji, opartych na specjalnym szkoleniu metod badawczych, sprzętu do prowadzenia

śledztwa, a przede wszystkim bez autorytetu i władzy, którą posiadają funkcjonariusze policji.

Sekretarka pomagała mi w sposób wyjątkowy. Często jednak widziałem w jej oczach wyraz przygnębienia, chociaż usiłowała ukryć to przede mną, a nawet przeciwnie, starała się dodać mi otuchy różnymi sposobami.

Przez długi czas moja praca nie przynosiła oczekiwanych rezultatów. Nieraz gotów byłem zrezygnować z tej całej sprawy, miewałem także wiele razy wątpliwości, czy pani Einola jest rzeczywiście niewinna. Opanowany falą zmęczenia przeklinałem mój brak rozsądku, przeklinałem uparte wariactwo, które nie pozwalało mi uwierzyć w oczywistą prawdę i zmuszało do instynktownego wychwytywania faktów, niezgodnych z prawdą.

Pracowałem jednak dalej.

Labor improbus vincit. Może miałem odrobinę szczęścia. W każdym razie w szarej i nieprzebytej kamiennej ścianie od początku wznoszącej się prze-, de mną pojawiły się niespodziewane szczeliny. Wydawały się one zrazu nieistotnym błędem budowlanym. Ale kiedy zaczynałem w nie wbijać klin, cała ściana waliła się.

Gdy mur już runął i opadł tuman kurzu, robiło się jasno i przede mną rozpościerał się dziwny widok. Był tak dziwny, że z początku nie mogłem w to uwierzyć.

Mordercę skażą jutro.

Pewien dziennik, wbrew wszelkim dobrym obyczajom pospieszył się z takim tytułem w przeddzień procesu w sprawie morderstwa Patamaa. Przeglądając w biurze gazetę, spojrzałem na stół, gdzie leżała wielka sterta dokumentów.

Wiele osób uważa mnie za człowieka o słabej woli. Myślę jednak, że pewność widać było na mojej twarzy. Uśmiechałem się znacząco, gdy przeczytałem tytuł i rozmyślałem o następnym dniu.

- Proszę łaskawie siadać.

Przewodniczący sądu stołecznego, członek sądu najwyższego Arvo Petaja, był człowiekiem wyjątkowo uprzejmym i skrupulatnie przestrzegał regulaminu. Najgorszemu przestępcy zawsze mówił „pan będzie łaskaw” nawet wtedy, gdy skazanego na dożywotnie więzienie zachęcał do przejścia z sali sądowej do ponurego pomieszczenia, w którym miał spędzić lata.

Zastukały krzesła.

Szelest ubrań, przytłumiony kaszel i ostatnie szepty zamilkły.

Chwilę później Petaja usunął z sali fotoreporterów. Oczy miałem jeszcze oślepienie błyskiem lamp. Stałem obok ubranej w strój więzienny pani Einola i wiedziałem, że moje zdjęcie będzie widniało następnego ranka na pierwszej stronie wszystkich dzienników. Adwokat nie może sobie życzyć lepszej reklamy. Ale wiedziałem również, że ani jeden wzięty stołeczny prawnik nie zazdrości mi mojego położenia. A już na pewno żaden z inteligentnych adwokatów, którzy zapoznali się z policyjnym protokołem śledztwa, nie chciałby się zamienić ze mną miejscami.

Przeegrany proces, i do tego zakończony wyrokiem dożywotnim, nie opromieni na pewno obrońcy sławą.

Siedząc obok pani Einola, zerkałem na nią ukradkiem. Sprawiała wrażenie zadziwiająco spokojnej, nawet zamkniętej w sobie i nieobecnej. Rozejrzałem się po sali. Dostrzegłem wielu znanych mi z widzenia dziennikarzy. Dwóch siedziało nawet na parapecie okiennym. Ze względu na ciasnotę sali i małą ilość krzeseł w ogóle nie wpuszczono publiczności. Przez grube drzwi słychać było przytłumiony szmer zawiedzionych. Wiedziałem jednak, że jutro o procesie mówić będzie ponad milionowa publiczność. O to postarają się rutynowani, wypełniający do ostatniego miejsca salę, dziennikarze. Okazały miał notatnik na kolanach, a można przypuszczać, że i ołówki były dobrze zatemperowane.

Dwóch redaktorów, na których spojrzałem, odpowiedziało mi wzrokiem

pełnym współczucia.

Popatrzyłem na członków sądu. Protokolantem była kobieta. Miała jasne włosy równo obcięte i dość regularne rysy twarzy. W okularach wyglądała na starszą niż była w rzeczywistości. Na lewo od przewodniczącego sądu Petaja ujrzałem trzeciego członka sądu. Był nie pierwszej młodości, otyły, krótko przycięte włosy nie dodawały mu urody. Według moich staroświeckich poglądów zupełnie nie pasował do stołu sędziowskiego.

W środku siedział spokojny przewodniczący sądu, Petaja, przeglądający dokumenty. W kręgach prawniczych był znany oprócz pedanterii również z tego, że starał się traktować wszystkie sprawy na serio. Zbliżał się do sześćdziesiątki, ale włosy miał jeszcze czarne jak węgiel. Oczy skryte za szklami okularów patrzyły z powagą. Twierdzono jednak, że miał specyficzne poczucie humoru, którego nie rozumieli siedzący na ławie oskarżonych. Twarz miał szeroką, a w kącikach ust zaznaczyły się głębokie bruzdy.

Nagle Petaja podniósł wzrok i zapytał cicho:

- Czy pani nazywa się Elsa Elisabet Einola?

- Tak - odpowiedziała zapytana.

Teraz zauważyłem, że moja klientka była bardzo zdenerwowana. Pomimo wcześniej udzielonych rad odpowiadała na pytanie siedząc. Trąciłem ją lekko, ponieważ zauważyłem spojrzenie przewodniczącego Petaja.

Pani Einola uniosła się lekko zaczerwieniona. Odpowiedziała po raz drugi: - Tak.

- Z domu Suortti?

- Tak.

Znowu pociągnąłem panią Einola za rąbek spódnicy. Odchrząknęła i poprawiła się: - Tak jest, proszę Wysokiego Sądu.

- Urodzona 12 października 1917 w Hankasałmi?

- Tak, proszę Wysokiego Sądu.

- Zapisana w księgach kościelnych południowej Finlandii?

- Tak, proszę Wysokiego Sądu.

- Pani będzie łaskawa usiąść. Oczekuje nas dość długa rozprawa.

Pani Einola zerknęła na mnie i usiadła.

Petaja przejrzał kartotekę karanych i bąknął: - Niekarana wcześniej.

Słowa te rozplynęły się w cichej i przygnębiającej atmosferze sali. Petaja chrząknął kilkakrotnie i spojrzał na prokuratora:

- A więc... może posłuchamy...?

Prokurator Karlsson podniósł się, trzymając w ręku sporej wielkości, i jak mi się wydawało, ważki dokument. Karlsson był chudy, przygarbiony, całą twarz miał w zmarszczkach, a nad oczami gęste, nastroszone brwi. Mówił z silnym szwedzkim akcentem, monotonicznie, jak wyuczoną lekcję.

- Proszę Wysokiego Sądu. Mam tutaj akt oskarżenia...

- Widzę go. - Ton przewodniczącego był oficjalny.

- Do sądu Stołecznego w Helsinkach wpłynął protokół. W nocy 13 kwietnia br. o godzinie 2.80 dyrektor Jussi Patamaa przybył do znajdującego się na Lastenlinnantie 19 domu, w którym mieszkała jego znajoma, wdowa Elsa Elisabet Einola. Przez domofon Patamaa poprosił panią Einola o zejście na dół. Wyszedszy z mieszkania, pani Einola wsiadła do samochodu dyrektora Patamaa, który prowadził (Mli Valtteri Sistonen. Patamaa, Sistonen i Einola pojechali do parku Kaisaniemi, gdzie Patamaa i Einola wyszli z samochodu, Sistonen pozostał... tak... hm... Nie, on również wysiadł z samochodu...

Karlsson chrząknął i schylił się, by ołówkiem dopisać parę słów do aktu oskarżenia. Wyprostował łę, ale ramiona miał nadal pochylone. Czytał dalej: Gdy pani Einola z panem Patamaa szli w głąb parku, Sistonen pozostał, rozmawiając z portierem przy Teatterigrilli. Po upływie mniej więcej dziesięciu minut Sistonen i wyżej wymieniony portier, Olof Oscar Bengtsson, usłyszeli strzał. Sistonen i Bengtsson pobiegli natychmiast w kierunku strzału i zastali w środkowej części parku zastrzelonego pana Patamaa. Narzędziem śmierci był niemiecki pistolet wojskowy typu Luger, kaliber 9 mm, nr SB 2244/332245.

Gdy wyżej wymienieni świadkowie dotarli na miejsce, pani Einola trzymała w ręku broń. Ręce miała Ubrudzone krwią.

Oskarżyciel podniósł wzrok, zerknął na oskarżoną i kontynuował, stopniowo podnosząc głos:

- Zastaną na miejscu przestępstwa panią Einola zatrzymano niezwłocznie. Zatrzymania dokonał starszy komisarz Kalle Itkonen i w prowadzonym przez niego śledztwie stwierdzono, że: po pierwsze - pistolet był nabity i magazynek pełny, nie licząc jednej wystrzelonej kuli, po drugie - łuskę znaleziono w bezpośrednim sąsiedztwie miejsca wypadku, po trzecie - przebijająca głowę denata kula bez wątplenia została wystrzelona z broni, którą trzymała w ręku pani Einola, a znaleziona łuska również pochodziła z tej broni, po czwarte - na broni nie znaleziono innych odcisków palców prócz odcisków pani Einola. Wyniki badań laboratorium kryminalistyki są dołączone do protokołu...

Karlsson westchnął i czytał dalej:

- W związku z powyższym uważam obecną tutaj panią Elsię Elisabet Einola winną morderstwa z premedytacją dyrektora Jussiego Ilmariego Patamaa i żądam dla niej na podstawie kodeksu karnego, rozdział 21, paragraf 1, kary za popełnione morderstwo. Motyw tej zbrodni widzę w tym, że Patamaa zapisał w testamencie pani Einola cały swój majątek, wartość którego według pierwotnych obliczeń przekracza sto milionów marek. Uważam również za możliwe, że na postępowanie oskarżonej miała wpływ kłótnia przed morderstwem, ale nie posiadam na to dowodów.

Karlsson skończył. Obrzucił spojrzeniem salę i podał akt oskarżenia przewodniczącemu Petaja. Ten włożył okulary i zaczął badać dokument.

Następnie udzielił głosu adwokatowi strony poszkodowanej. Był nim zgłoszony na początku posiedzenia sądu jakiś prawnik z prowincji. Niepozorny człowiek, którego gdzieś już spotkałem. Przedstawiając upoważnienie, nawet swoje nazwisko podał tak niewyraźnie, że go nie dosłyszałem. Mogło brzmieć Laakso, Laaksola, Laaksonen, czy coś w tym rodzaju.

Patamaa jak się okazało, był jedynym dzieckiem swoich rodziców, a w dodatku tak wyjątkowo się złożyło, że i jego dawno zmarli rodzice również byli jedynymi dziećmi swych rodziców. Wobec tego denat nie zostawił żadnych krewnych i powinowatych. Mi-conas Laakso-Laaksola-Laaksonen zamruczał nie-fotiało, że działa w imieniu kuzyna, kogoś w rodzaju bruta stryjecznego, ale nie ma jeszcze pewności co do wszystkich dalszych krewnych dyrektora. Dlatego też ów obrońca strony poszkodowanej poprosił o odroczenie sprawy. On, co prawda, zgadza się z żądaniem prokuratora, który wnosi o ukaranie winnego oraz zna paragraf o wstrzymaniu podziału spadku, który mówi, że gdy zabija się spadkodawcę, morderca, którym był spadkobierca, nie otrzymuje nic. Wreszcie obrońca strony poszkodowanej, który zgłosił, że przedstawi żądane dokumenty w późniejszym terminie, usiadł i nie odezwał się ani razu w ciągu całego przewodu sądowego.

Przewodniczący Petaja pokiwał smutno głową na mętne wystąpienie tego adwokata i powrócił znowu do aktu oskarżenia:

- Co znaczy ta końcowa część aktu oskarżenia? - indagował Kartssona spoglądając na niego badawczo. - Czy chce pan przez to zaznaczyć, że może to być sprawa o zabójstwo, ponieważ robi pan aluzje do kłótni, poprzedzającej wypadek, która mogła przyspieszyć działanie oskarżonej?

- Oskarżam ją o morderstwo - odpowiedział Karlsson ponuro.

- To po co ta końcowa ironiczna aluzja?

Karlsson chrząknął. - Oskarżona zaprzecza wszystkiemu. W tym stanie rzeczy nie widzę żadnych okoliczności łagodzących.

- To po co pan robi tego typu aluzje? Karlsson nie odpowiedział.

- A więc wykreślimy to ostatnie zdanie mówiące o zaistniałej kłótni?

- Zgadzam się.

Petaja pociągnął parę razy ołówkiem. Wetknął akt oskarżenia protokółantce. - Pozostaje tylko oskarżenie o morderstwo.

Na sali sądowej panowała cisza. Tylko papier zaszeleścił, to któryś z

dziennikarzy odwracał kartkę w notatniku.

Petaja popatrzył na mnie. Podniosłem się, usłyszałem obok szelest sztywnego materiału więziennej spódnicy pani Einola.

- Co pan powie na temat odczytanego właśnie aktu oskarżenia? - zapytał Petaja.

- Odrzucam oskarżenie - odpowiedziałem krótko.

- Kim pan jest?

- Przepraszam, Wysoki Sądzie, nie rozumiem - zdziwiłem się.

- Pytam, kim pan jest?

- Mecenas Matti Viima. - Zrobiło mi się gorąco.

- Co pan tu robi?

- Bronię oskarżonej.

- Dlaczego nie powiedział pan o tym zaraz na początku posiedzenia?

- Przypuszczałem, że pan przewodniczący mnie zna i widzi, że siedzę obok oskarżonej...

- Poza siedzącymi za tym stołem nie znam nikogo - odezwał się Petaja.

- Słusznie, Wysoki Sądzie. Proszę mi wybaczyć. Mam nadzieję, że teraz zostanie to zaznaczone w protokole.

Wszystko się we mnie gotowało. To, co się stało przed chwilą, było typowe dla Petaja. Moje nazwisko było wymieniane wielokrotnie w gazetach w związku z zapowiedziami tej sprawy. Ponadto trzy miesiące temu na kolacji w zrzeszeniu prawników stuknąłem się kieliszkiem z sędzią sądu najwyższego. Wielkim wysiłkiem przezwyciężyłem rozdrażnienie. Były ważniejsze sprawy niż specyficzny humor Petaja i formalności.

- Proszę zaznaczyć, że oskarżona nie przyznaje się - dyktował Petaja protokółantce. Wziął z pliku dokumentów arkusz leżący na wierzchu. - Mam tutaj protokół śledztwa policyjnego. Czy obrońca ma kopię?

Skinąłem głową. - Tak, otrzymałem ją, Wysoki Sądzie.

- W terminie?

- Tak, i zapoznałem się z tym protokołem.

- Dobrze. Przeczytam tylko te fragmenty, które dotyczą zeznań oskarżonej i materiału dowodowego śledztwa. Świadczenie to odrębna sprawa... A więc... W nocy 13 kwietnia zawiadomiono telefonicznie policję kryminalną, że...

Petaja czytał protokół godzinę i piętnaście minut, popijając w przerwach wodę. Słuchałem tylko jednym uchem. Zeznania pani Einola włączone do protokołu śledztwa zgadzały się w zupełności z tym, co przedstawiła mi w czasie pierwszego spotkania w celi. Materiał dowodowy śledztwa szerzej i bardziej szczegółowo mówił o tym, co oskarżyciel przedstawił już przed chwilą. Poza tym czytałem ten protokół wiele razy. Musiałem co innego przemyśleć.

Świadczenie to odrębna sprawa.

I według mnie było to naprawdę słuszne.

Zerknąłem na zegarek i pomyślałem, że niektórzy świadkowie rzeczywiście byli odrębną sprawą.

13

Przesłuchanie świadków rozpoczęło się o godzinie 13.30, zaraz po przerwie obiadowej sądu. Na pierwszego świadka powołano kierującego śledztwem starszego komisarza wydziału kryminalnego Kalle Itkonena. Przybyły był mężczyzną krępy i łysym, nosił to samo ubranie, co poprzednio i ten sam krawat.

Złożył przysięgę i przez pół godziny odpowiadał na pytania przewodniczącego Petaja. Pytania dotyczyły technicznej strony śledztwa i różnych szczegółów. Zeznania Itkonena nie wniosły nic nowego.

- Czy są pytania do świadka? - Petaja rzucił spojrzenie na oskarżyciela. Karlsson wykonał ruch, który przy dobrych chęciach można było potraktować jako próbę wstania. Pokręcił przecząco głową.

- A pan? - Petaja spojrzał na mnie.

- Mam kilka pytań, proszę Wysokiego Sądu. Komisarz Itkonen odwrócił

się bokiem w moją stronę, by móc jednym okiem mnie obserwować. Było w tym ruchu coś nieprzyjemnego. W ten sam sposób patrzył na mnie niesforny koń spomiędzy dyszli, gdy w młodości jeździłem do młyna.

- Odrzucam oskarżenie - zacząłem - oskarżona mówiła panu, panie komisarzu, że nieznany osobnik oddał strzał zza pobliskich krzaków, po czym rzucił broń pod jej nogi. W popłochu dotknęła głowy denata, ubrudziła sobie ręce krwią i na dodatek, stwierdziwszy okropną prawdę, nie zastanawiając się, co czyni, wzięła pistolet do ręki.

- To wszystko zawiera protokół - odpowiedział Itkonen. - Co prawda, nie ma tam mowy o zastanawianiu się ani o okropnej prawdzie.

- Istotnie, tego tam nie ma - przyznałem. - Ale w protokole nie mówi się również o innych sprawach. Natomiast mówi się na przykład ogólnikowo, że łuskę znaleziono w bezpośrednim sąsiedztwie miejsca przestępstwa.

Kiedy zrobiłem pauzę, Itkonen odpowiedział: - Podobno tak. i - Co to znaczy „w bezpośrednim sąsiedztwie”?

- To widać ze szkicu miejsca przestępstwa.

- Czy może pan to wyjaśnić? - zapytałem.

- Łuskę znaleziono w krzakach, trzy metry od ciała.

- W krzakach, zza których, jak twierdzi oskarżona, oddano strzał?

- Tak.

Przewodniczący Petaja powiedział do protokolantki: - Proszę to wpisać do protokołu.

W czasie, gdy protokolantka pisała, mówiłem dalej: - Kiedy znaleziono łuskę?

- W półtorej doby po wypadku.

- Czy można powiedzieć, że „dopiero” po upływie półtorej doby? - dopytywałem się.

- Znaleziono ją w czasie dochodzenia.

- W jaki sposób ją znaleziono?

- Przy pomocy wykrywacza min.

- Kto zażądał użycia tego sprzętu?

Itkonen ze złością popatrzył na mnie. - Pan, panie mecenasie.

- Mogę opowiedzieć, jak sprawa wyglądała: w nocy badano miejsce w świetle reflektorów. Łuski nie znaleziono. Następnego dnia szukano przy świetle dziennym. Łuski nie znaleziono. Dzień później przy pomocy wykrywacza min znaleziono ją w ziemi pod krzakami, była wdeptana w ziemię na głębokość kilku centymetrów. Czy tak było?

- Tak. Tak było.

- Kto pana zdaniem wdeptał łuskę w ziemię?

Itkonen wzruszył ramionami. - Może sama oskarżona. Albo zgromadzeni rano na miejscu wypadku ciekawscy. Trudno powiedzieć. A wiadomo, że łuska mogła przecież polecieć w krzaki, ponieważ oskarżona użyła pistoletu, automatycznie ładowanego... r-.Wiem. Ale równie dobrze mogła polecieć w krzaki, które znajdowały się przypuszczalnie na linii strzału, jeżeli oskarżona mówiła prawdę... hm... więc łuska mogła polecieć w krzaki także wtedy, jeżeli strzał został oddany zza krzaków, jak mówiła oskarżona. Czy tak?

- Możliwe.

- Czy tak?

- Tak - warknął Itkonen. - To nie ma wpływu na sprawę.

Przewodniczący Petaja wtrącił oschle: - Proszę, aby świadek pozwolił sądowi rozważyć tę okoliczność.

Itkonen skłonił się: - Tak, panie przewodniczący.

Przeszedłem do drugiego pytania: - Na podstawie badań stwierdzono, że strzał został oddany z odległości co najmniej trzech do pięciu metrów. Na skórze denata nie znaleziono resztek prochu.

- To prawda - zgodził się Itkonen. - Oskarżona mogła stać właśnie w tej odległości od ofiary.

- Nie pytałem o to - zauważyłem ostro. Prawie jednocześnie Petaja

powiedział: - Proszę świadka o niewypowiadanie osobistego zdania na temat sprawy. Proszę odpowiadać tylko na pytania.

- Tak jest, Wysoki Sądzie - odpowiedział Itkonen. Ukłonił się w stronę stołu sędziowskiego, po czym odwróciwszy się do mnie, spojrzał niechętnym wzrokiem.

- Z ostatniej pana wypowiedzi wnioskuję, że strzał mógł być oddany również zza krzaków?

- **Tak** jest. Ale miejsce zostało zbadane.

- Właśnie. Za krzakami jest druga ścieżka i tamtędy przechodzi wiosną setki ludzi. Siady, lub ich brak, czy ten szczegół o niczym nie świadczy?

- Nie - odpowiedział Itkonen z pewną przekorą.

- Właściciela tego pistoletu nie znaleziono? - pytałem dalej.

- Nie. Pistolet nie był zarejestrowany.

- Ale nie znaleziono również najmniejszego dowodu, że pani Einola, spokojna kobieta w średnim wieku, umie się obchodzić z taką okrutną niemiecką bronią palną.

Zanim Itkonen zdążył odpowiedzieć, Petaja przemówił sucho. - Pan mecenas nie musi wpadać w retorykę. Broń jest tutaj. - Petaja podniósł pistolet ze stołu. - Czy jest okrutna, czy nie, to nie ma nic do rzeczy. Tak samo nie jest istotne, czy pani Einola do tego wypadku doprowadziła spokojny i kobiecy tryb życia czy nie.

- O ile pamiętam, nic nie mówiłem o jej kobiecości - zauważyłem.

- Proszę trzymać się sprawy - powiedział Petaja. Spojrzenia sali sądowej skierowały się ku pani Einola. Była teraz spokojna, opanowana, twarz miała zatroskaną.

Zdawało mi się, że świadek Itkonen skrzywił usta, jakby chciał powstrzymać pogardliwy uśmiech.

- Mam jeszcze parę pytań do świadka - powiedziałem. - Wielokrotnie mówiono tu o tym, że panią Einola zastano na miejscu przestępstwa. Można

przypuszczać, że ten punkt wyjścia dyktował dalszy kierunek śledztwa...

- Do czego pan zmierza? - zapytał ostro Itkonen.

Chwilę później przewodniczący Petaja dodał: - Proszę unikać przypuszczeń, panie mecenasie. Proszę zadawać pytania i ściślej je formułować.

- Tak jest, Wysoki Sądzie. A więc zapytam tak do kręgu znajomych dyrektora Patamaa należeli różni ludzie... Czy policja zbadała dokładnie alibi innych ewentualnych winnych tego zabójstwa? - Zbadano - powiedział Itkonen.

- Kogo pan ma na myśli? - zapytałem.

- Między innymi i pana, panie mecenasie - odpowiedział Itkonen.

Któryś z dziennikarzy parsknął śmiechem. Twarz przewodniczącego Petaja spochmurniała. - Kto jeszcze raz się zaśmieje, opuści salę sądową - warknął.

- Zatem - powiedziałem spokojnie - świadek twierdzi, że sprawdził moje alibi, między innymi. Mogę więc uważać, że nie byłem w czasie zdarzenia na miejscu przestępstwa. A więc mam alibi?

W oczach Itkonena ukazał się błysk. Odetchnął głęboko i powiedział szybko: - Żona pisarza, mieszkającego piętro wyżej zeznała, że pan mecenas wrócił nad ranem lekko wstawiony...

- Proszę odpowiedzieć na pytanie - wtrąciłem błyskawicznie.

- Pan ma alibi.

- Czy posiadają je wszyscy ci, którzy są w kręgu podejrzeń, którzy z zemsty, dla pieniędzy, albo ze strachu przed ujawnieniem czegoś czy z innych powodów mieliby korzystać ze śmierci pana Patamaa?

Itkonen powoli pokręcił głową. - Nie mieli... wszyscy... W tym kraju setki tysięcy ludzi nie ma alibi... Ale jeśli oskarżoną zastano bezpośrednio...

- Proszę natychmiast przestać używać tego określenia - powiedziałem twardo. - Pani Einola jeszcze nie sądzono. Mówmy o alibi. Nie wszyscy je mają?

- To są sprawy - wtrącił Itkonen - spoza protokołu śledztwa. Widocznie

zamierza pan przesłuchiwać wymienione osoby pod przysięgą tutaj, w sądzie. Z tego powodu...

Przerwałem mu i powiedziałem: - Tak właśnie zamierzam postąpić.

14

Protokół sporządzony przez lekarzy sądowych o przyczynie zgonu oraz o stanie zdrowia denata w chwili śmierci na tak długo utknął gdzieś w trybach maszyny urzędowej, że nie zdążono go dołączyć do materiałów dotyczących wyników śledztwa. Rano, w dzień rozprawy, trafił jednak do sądu i komisarz Itkonen w towarzystwie profesora, który przeprowadził obdukcję zwłok, zostali wezwani do potwierdzenia pod przysięgą swoich orzeczeń.

Szczupły, prosto trzymający się profesor Alaviitala wyjaśniał rodzaj śmiertelnej rany, którą spowodowała przeszywająca głowę kula. Słuchałem z uwagą zeznań profesora, były one bowiem dla mnie nowością, gdyż nie występowały w protokołach. Jego dokładne, w miarę możliwości unikające terminów łacińskich, wyjaśnienia nie zawierały w sobie jednak nic szczególnego. Wyjaśniając bezpośrednią przyczynę śmierci, Alaviitala potwierdził, że denat był ciężko chory na anginę pectoris. Ten szczegół był mi znany. Ale kiedy Alaviitala wyjawiał, że u Patamaa stwierdzono jeszcze leukemię, drgnąłem.

Zerknąłem pytająco na siedzącą obok panią Eino-la. Pokręciła głową na znak, że nie wiedziała o tym.

Gdy przewodniczący przesłuchał profesora Alavii-tala, i gdy mnie dopuszczono potem do głosu, zacząłem badać sprawę bliżej.

- Panie profesorze, powiedział pan, że denat był chory na leukemię?

- Tak, zgadza się.

- Inaczej mówi się o tym rak krwi?

- Tak jest.

- Czy to prawda, że na tę wyniszczającą chorobę na wynaleziono jeszcze

środków leczniczych?

- Tak. Wiedza lekarska jest bezsilna. Śmierć można odwlec przez przetaczanie krwi, czy też innymi środkami, ale to tylko sprawa czasu. Chory umrze, chociaż śmierć nie musi nastąpić na skutek wyniszczenia, jak to powiedział pan mecenas. W zależności od rodzaju leukemii zdarzyć się to może w ciągu krótkiego czasu.

- Jakiego rodzaju leukemię stwierdzono u Patamaa?

- Według mojego rozeznania była to właśnie jej groźniejsza odmiana.

- Czy pan ma jeszcze coś więcej do dodania w tej sprawie?

- Tylko tyle, że połączyłem się z profesorem Sa-arnila, lekarzem opiekującym się panem Patamaa. Około trzech miesięcy temu jego badania wykazały leukemię. Mówił o tym panu Patamaa, ale pacjent nie wierzył, że może umrzeć w ciągu sześciu miesięcy.

- Czy profesor Saarnila powiedział o tym pacjentowi wprost?

- Tak.

Słowa świadka zabrzmiały wyraźnie w ciszy sali sądowej. Czuję, jak zimny dreszcz przeszedł mi po plecach.

- Ach, tak - powiedziałem w końcu. Zdążyłem w ciągu paru sekund wiele przemyśleć. Kiedy Alaviitala popatrzył na mnie pytająco, zamyślony odezwałem się z roztargnieniem: - Nie mam więcej pytań do świadka.

Posiedzenie trwało nadal.

Patrzyłem i słuchałem zeznań wielu świadków, chociaż chwilami byłem nieobecny myślami. Jednym z nich był portier z Teatterigrilli. Potwierdził pod przysięgą, że rozmawiał przy drzwiach restauracji z Sittonenem, gdy w głębi parku padł strzał. Natychmiast rażeni przybiegli na miejsce przestępstwa. Dalej wszystko potoczyło się tak, jak dokładnie przedstawiono w protokole śledztwa.

Słyszając zeznania świadka westchnąłem głęboko, ale wynikało to niewątpliwie z myśli o niewiarygodnej wręcz możliwości, która nagle zaświtała mi w mózgu.

Rozbawiło mnie, gdy wyobraziłem sobie, że Sistonen miał swój udział w zdarzeniu. Myśl sama w sobie była absurdalna. Przecież Sistonen nie miał żadnej korzyści ze śmierci Patamaa. Przeciwnie, stracił dobrego przyjaciela. Gdyby nawet przypuścić, że Sistonen z jakichś niejasnych powodów tylko udawał przyjaźń, niezaprzeczalną prawdą było, że zarządca wraz ze śmiercią pana stracił wyjątkowo intratne zajęcie i szybko nie znajdzie tak wygodnego miejsca pracy, jakie miał w majątku Patamaa.

Ale były to tylko przypuszczenia i domysły. Zeznania świadka Bengtssona, portiera, były jasne jak słońce. Strzał oddano w odległości kilkuset metrów, gdy on gawędził z Sistonenem. To samo potwierdziły jeszcze dwie osoby, wezwane na salę sądową. Byli to oczekujący w kolejce do nocnej restauracji goście, którzy również usłyszeli strzał, a jednocześnie widzieli Sistonena i portiera rozmawiających pod oświetlonym daszkiem wejścia restauracji. Gdy na świadka wezwano Sistonena, było to jakby podsumowaniem moich rozważań. Ciemny garnitur, w klapie marynarki zauważyłem żalobną krepę. Minę miał taką, jakby mu umarł ojciec lub brat, a nie obcy mężczyzna, jego pracodawca, dla którego nip był ani bratem, ani swatem.

Sistonen szybko i zwięźle odpowiadał ni pytania przewodniczącego. W czasie przerwy obiaaowej poprosiłem do siebie sekretarkę i przystawiłem jej krzesło obok siebie. Gdy tylko dałem znak, Raili stenografowała wszystko, o czym mówiono. Założyła nogę na nogę, trzymając notatnik na kolftnach. Ja także robiłem notatki, trzymając kartkę ha pulpicie.

Kiedy Sistonen zaczął zeznawać, dałem znak Raili. W notatniku jej błyskawicznie pojawiły się dziwaczne zakrętasy. Ponieważ niewiele więcej miałem z nich pomocy niż z hieroglifów, zapisałem sobie na kartce dokładny czasowy plan wydarzeń, tak jak to podał Sistonen.

Wyglądało to następująco: 1.00 - samochód podjechał pod Kaivuhuone
1.15 - towarzystwo (Viima, Lehmus, Patamaa, Ryttonen) wsiadło do samochodu
1.30 - dom Viima w Pohjois-Haaga
1.40 - dom panny Lehmus na

Snellmaninkatu 1.50 - dom panny Rytkonen na Punavuorenkatu, Sistonen i Patamaa pojechali na Lastenlinnantie, do pani Einola

2.00 - przy drzwiach mieszkania pani Einola 2.25 - Sistonen, Patamaa, Einola w parku Kaisaniemi 2.30 - padł strzał.

Przyjrzałem się wykresowi i bazgrałem coś na marginesie, gdy Sistonen składał wyjaśnienia, zresztą identyczne z zeznaniami portiera z restauracji, jak to przybiegli na miejsce zbrodni, i tak dalej. Ponieważ był pierwszym świadkiem morderstwa oraz kierowcą Patamaa, zarządcą, a także przyjacielem, przewodniczący miał do niego wściekłość. Według mnie nieważnych.

Czekałem na swoją kolej.

Kiedy nadeszła, uniosłem się i chwilę przypatrywałem Sistonenowi. Nie miałem zamiaru patrzeć wzrokiem Perry Masona, ale Sistonen chyba był przygnębiony.

Rozpocząłem atak.

- Kiedy pan spotkał Patamaa po raz pierwszy?

- W roku 1941.

- Gdzie?

- W Korpiselka.

- Czy to nazwa pola bitwy w czasie drugiej wojny?

Sistonen uśmiechnął się lekko. - Tak. Była tam ciężka bitwa.

- Pan był wtedy chorążym?

- Chorążym rezerwy.

- Według moich danych plutonowym kompanii piechoty?

- Zgadza się.

- Patamaa był w pana plutonie kapralem?

- Tak. Był ochotnikiem. Ale odesłano go szybko do domu.

- Wyczułem w rozmowie z panem Patamaa, że miał wobec pana dług wdzięczności, który łączył się z tym okresem. Czy można określić, że była to wdzięczność za uratowanie życia?

Sistonen wzruszył ramionami. Dotknął kędziorów na głowie i odpowiedział skromnie: - Niezupełnie tak. Najwyżej można powiedzieć, że dałem mu wiele dobrych rad, jak zachować życie. Załatwiłem mu miejsce furmana w taborach tuż przed atakiem naszego plutonu na wieś Korpiselka.

- Tak, i co dalej?

- Niewielu z plutonu przeżyło. Może Patamaa przypuszczał, że ocalił życie tylko dlatego, iż, przy mojej pomocy dostał się do taborów. To była więc taka raczej rozmowa...

- Aha. Rozumiem.

Zamyśliłem się. Sistonen z pewnością mówił prawdę. Nie chwalił się. I chyba wiedział, że rzecz można sprawdzić. Zrobiłem efektowny skok w czasie i zapytałem:

- Kiedy pan spotkał dyrektora Patamaa następnym razem?

- W roku 1957. Dał ogłoszenie w gazecie, że poszukuje zarządcy. Zgłosiłem się i od razu dostałem pracę.

- Na pewno cieszyli się panowie z ponownego spotkania?

- Chyba tak - zgodził się Sistonen.

- Czym pan zajmował się przedtem?

- Robiłem to samo w wielu gospodarstwach.

- Znał pan swój fach? - Oczywiście.

- Z wykształcenia jest pan technikiem rolnictwa?

- Tak. Lub agrologiem, jak się mówi współcześnie. Nie agronomem.

- Rozumiem. Ile Patamaa panu płacił?

Pierwszy raz Sistonen zawahał się, po czym odpowiedział z pewną przekorą. - Sto pięćdziesiąt tysięcy marek miesięcznie.

Przyjrzałem się dokładniej. - To bardzo dużo dla zarządcy.

- Może tak. Ale byłem jego zdaniem... wyjątkowy.

- Dobry fachowiec?

- Trudno mi samemu to ocenić. Czy mogę wyjaśnić tę sprawę trochę

dokładniej?

Skinąłem głową.

- Nie prosiłem o tak wysoką pensję. Patamaa dał mi ją z własnej woli. Pamiętam, jak sprzeciwiłem się i powiedziałem, że to przesada. Odpowiedział, że jest starym człowiekiem, bez bliskich i rodziny, i że ma pieniądze. Chyba... wtedy był, jak to pan mecenas określił, przekonany, że ma z przeazłości i dług wdzięczności wobec mnie. Przynajmniej mówił, że rekompensata za przeszłość. To znaczy, ta dobra pensja. Zaznaczył też, że ma niewiele życia przed sobą, i że przyjemnie jest dać człowiekowi, który... którego się ceni.

Potaknąłem znowu zachęcająco. Sistonen eiągnaf dalej zgębiony, jakby nie chciał mówić o swych zaletach:

- Pan Patamaa uważał mnie za przybranego syna. Oczywiście nie urzędowo adoptowanego... ale w ten sposób byłem jego przyjacielem i powiernikiem. O ile pamiętam, mówił o tym przy panu, mecenasie..

- Zgadza się - potwierdziłem. - No, tak. Przejdźmy teraz do wypadków tego wieczoru... wieczoru, a raczej nocy, kiedy popełniono przestępstwo. Wiózł pan Patamaa i panią Einolę z Lastenlinnantie do parku Kaisaniemi. Podróż trwała jakiś czas. Czy nie słyszał pan, o czym rozmawiali na tylnym siedzeniu Patamaa i pani Einolę?

- Niewiele - odpowiedział Sistonen.

- Nic pan nie słyszał, czy tak?

- Najwyżej jakieś pojedyncze słowa. Zerknąłem na panią Einolę siedzącą obok mnie.

Patrzyła tępo przed siebie, zdawała się przebywać w innym świecie, daleko od sali sądowej. Miałem nadzieję, że bardziej będzie uważała w czasie rozprawy, w tym momencie nie mogłem jej nawet szturchnąć. Zmierzyłem wzrokiem Sistonena. - Twierdzi pan, że nie wie, o jakich sprawach rozmawiali Patamaa i pani Einolę?

- Prowadzę samochód i pilnuję swoich spraw. - W głosie Sistonena

słysząc było napięcie.

Odpowiedziałem tym samym tonem: - Przecież pan nie może zatkać uszu.

- Już powiedziałem, że nic nie słyszałem. Oskarżyciel Karlsson wtrącił się do rozmowy. -

Proszę Wysokiego Sądu, pozwolę sobie zauważyć, że świadka wypytuje się o nic nie znaczące drobiazgi.

- To nie są drobiazgi - odparłem. - Chcę wyjaśnić dokładnie całą sprawę.

Spojrzałem na przewodniczącego Petaja. Wcale nie zareagował. Wydawało się, że zasnął. Brodę trzymać wspartą na dłoniach, ale chociaż powieki miał przymknięte, oczy błyszczały w wąskich oczodołach.

Kontynuowałem przesłuchanie: - Jechał pan z La-stenlinnantie prosto do Kaisaniemi, czy tak?

- Tak, prosto.

Odpowiedź była krótka i rzeczowa, ale właśnie w tym momencie przyjrzałem mu się uważniej. Zauważyłem, jak rzucił szybkie, ledwo dostrzegalne spojrzenie na panią Einolę. Ja również popatrzyłem na moją klientkę i zdenerwowało mnie jej apatyczne zachowanie. Zdawało się, że kobieta nie miała już zamiaru się bronić i poddała się losowi.

Dziwne uczucie podejrzania zmusiło mnie do powtórzenia pytania:

- I nie zatrzymywaliście się nigdzie między Lastenilinnantie i parkiem w Kaisaniemi?

- Zatrzymaliśmy się dopiero przed Teatterigrilli.

Znowu zdawało mi się, że Sistonen unikał mojego wzroku. Myślałem, że może mi się tylko tak wydaje. Przecież pani Einola również nic nie mówiła o zatrzymaniu samochodu, chociaż zachęcałem ją do szczegółowego opowiadania. Kontynuowałem przesłuchanie i wypytywałem Sistonena o wszystko, co mi tylko przyszło do głowy. Twarz siedzącego w kącie prokuratora Karlssona stawała się coraz bardziej zła, a kiedy zauważyłem, że i przewodniczący Petaja zmarszczył brwi, nie pozostało mi nic innego, jak zakończyć. Zapytałem jednak

jeszcze:

- Pan był powiernikiem zmarłego Patamaa. Wiedział pan dużo o jego sprawach. Czy wobec tego znał pan kogoś, kto żywił urazę wobec Patamaa lub miałby korzyść z jego śmierci, a biorąc pod uwagę zazdrość, zemstę, obawę przed ujawnieniem czegoś, pieniądze lub inne możliwości, pragnąłby śmierci dyrektora Patamaa? Radzę dobrze się zastanowić, zanim pan odpowie.

Sistonen namyślał się chwilę. Pokręcił przecząco głową i powiedział niepewnie: - Nic mi nie przychodzi do głowy oprócz tego listu szantażysty... ale pan mecenas wie o nim...

- Wiem - powiedziałem bardzo prędko. - Wrócę jeszcze do tej sprawy w czasie procesu.

Widziałem, jak Petaja podniósł brwi. Jednak o nic nie zapytał.

- Jeżeli chodzi o mnie, to świadek jest wolny - oświadczyłem. - Chciałbym zobaczyć następnego świadka oskarżenia.

Karlsson podniósł się, potrząsnąwszy gęstą czupryną.

- Nie mam więcej świadków.

Znowu zabrałem głos:

- Ja mam-kilku. Wezwałem troje. Jako pierwszego proszę wezwać urzędnika Uolevi Ahtonena.

15

Gdy Uolevi Ahtonen wszedł, ukradkiem spojrzałem na moją sekretarkę. Spostrzegłem leciutki uśmiech w kącikach jej ust. Uolevi Ahtonen był właśnie tym mężczyzną, który w restauracji Kaivo-huone raz po raz prosił pannę Ryttonen do tańca. Nie mogłem na niego patrzeć i dość niegrzecznie nazwałem go „przeklętym hamulcowym”. Chciałem już wykrzyknąć swoje podejrzenie, że Ahtonen za plecami Patamaa flirtował z Iris Ryttonen. A było to według mnie nieładnie, ponieważ nawet lafirynda powinna mieć pewne pojęcie o godności. A może byłem człowiekiem starej daty, wyobrażając sobie, że Iris powinna być wierna temu, kto daje jej pełne utrzymanie i jeszcze zaspokaja instynkt sroki,

zdobywając dla niej świecidełka. Teraz także nie mogłem patrzeć na Ahtonena. Miał wilgotne przetłuszczone włosy, ułożone w kunsztowne fale nad czołem. Jego rysy przypominały Elvisa Presleya. Miał na sobie jaskrawe spodnie, na nogach błyszczące buty o długich i wąskich nosach.

Wcześniej już komisarz Itkonen z ociąganiem przesłuchał na moją prośbę Ahtonena. Wyszło na jaw, że miał on niezbite alibi. Z Kaivohuone poszedł ze swoim towarzystwem do innej restauracji i był według zeznań naocznych świadków o godzinie 2.30 daleko od miejsca przestępstwa.

Nie miałem zamiaru przesłuchiwać go na okoliczność jego alibi. Chciałem raczej spowodować, żeby dzięki jego wystąpieniu na sali zapanowała pewna atmosfera potrzebna dla przesłuchania świadka, który miał zeznawać po Ahtonenie.

W ciągu dziesięciu minut pod obstrzałem moich pytań zeznał, że przez cały czas był kochankiem liris Rytkonen i w towarzystwie tej kobiety wesoło hulał za pieniądze lekką ręką ofiarowane przez Patamaa w dobrej wierze i z dobroci serca. Ahtonen czerwienił się, pocił i na pewno przeklinał w głębi duszy, ale po przysiędze nie śmiał kłamać. Gdy powiedział już wszystko, wypuściłem go. Wyszedł pośpiesznie, czując na karku pogardliwy wzrok wszystkich siedzących na sali sądowej.

Dziwne, ale prokurator Karlsson nie wyraził sprzeciwu ani nie zauważył, że przesłuchanie świadka w tym miejscu nie dotyczyło sprawy. Przeciwnie, zdawało mi się, że patrzył obojętnie, gdy Ahtonen wystękiwał prawdę.

- Jako następnego świadka poproszę pannę liris Rytkonen - powiedziałem. Weszła panna Rytkonen. Miała na sobie tę samą fioletową suknię w wielkie kwiaty. To był chyba jej odświętny strój, i chyba wyobraziła sobie, że przyszła grzać się w blasku powszechnej ciekawości. Nawet włosy ufarbowała na niebiesko. Nie wiem, czy ten zabieg miał oznaczać to samo, co żałobny znak w klapie Sistonena, ale widok tych włosów przyprawiał o zawrót głowy.

Początkowe radosne podniecenie panny Rytkonen trwało krótko. Zadałem

jej serię nieważnych pytań i kobieta przyparta przysięgą musiała wyjaśnić, jak odnosił się do niej Patamaa i jak ona odwdzięczała mu się z pomocą Ahtonena.

Na sali sądowej padały słowa o nieprzyjemnych sprawach. Widziałem, jak sekretarka patrzy na mnie z wyrzutem. Również pani Einola ocknęła się z zamyślenia i patrzyła na pannę Rytkdnen z zaciśniętymi ustami.

Panna Rytkdnen zbladła pod grubą warstwą szminek, gdy dopiero po tym wszystkim powiedziałem:

- Może teraz przejdziemy do rzeczy najważniejszej.

- Przepraszam? - powiedziała panna Rytkdnen słabym głosem. - A to, co było dotąd?

- Wprowadzenie - odparłem. - Może nam pani wyjaśni, jak spędziła pani pewien okres czasu. Chodzi o 13 kwietnia br. Mam na myśli czas od drugiej w nocy do piątej rano.

Iiris Rytkdnen rzuciła mi spojrzenie pełne jadu.

- Mówiłam już o tym policji.

To była prawda. Komisarz Itkonen przesłuchał również pannę Iiris. Wyszło na jaw, że jej alibi miało wątpliwy charakter. Dlatego też bardzo się zdziwiłem, że oskarżyciel nie powołał tej kobiety na świadka. Może uważał, że sposób spędzania czasu panny Rytkdnen nie dotyczył sprawy głównej - winy pani Einola. O winie mojej klientki Karlsson, sądząc z jego zachowania, był przekonany, policja także. Wszelkie próby udowodnienia czego innego były prawdopodobnie z punktu widzenia oskarżyciela próżną stratą czasu.

- Proszę nam to jeszcze raz opowiedzieć - zaproponowałem uprzejmie pannie Rytkdnen.

- Przywieźli mnie do domu na Punavuorenkatu o godzinie 1.40. To znaczy za dwadzieścia druga...

- Właśnie - przytaknąłem. - A potem?

- Pożegnałam się z panem Patamaa i udałam, że idę do domu. Ale... wcale nie poszłam.

- Właśnie - powiedziałem znowu. - Potwierdza to właścicielka mieszkania, która ma bardzo lekki sen. Drzwi stuknęły koło godziny piątej. Co pani robiła przez ten czas?

- Poczekałam na klatce schodowej, aż samochód Patamaa odjedzie. Wtedy wróciłam na ulicę... i spacerowałam.

- Spacerowała pani tak sobie po ulicy trzy godziny i dwadzieścia minut, czy tak?

Panna Rytkenen zatrzepotała farbowaną czupryną. - Właśnie tak.

- I nie spotkała pani nikogo ze znajomych?

- Nie spotkałam - odpowiedziała z ponurą miną. Rzuciłam znaczące spojrzenie na salę sądową.

- Dlaczego spacerowała pani po ulicy? Dlaczego nie poszła pani spać do mieszkania?

- Wyjaśniłam to w czasie przesłuchania w policji.

- Może zrobi pani to jeszcze raz tutaj?

- Chciałam się przewietrzyć - wycodziła przez zęby. - Nie chciałam kłaść się spać po pijanemu.

- Więc tak.

Popatrzyłam na nią i dodałam. - A więc to tak było...

Jeszcze raz zmierzyłam kobietę od stóp do głów. Teraz wszystko potoczyło się tak, jak w skrytości ducha przypuszczałam. Panna Rytkenen straciła panowanie nad sobą i wpadła we wściekłość. Otworzyła usta i głęboko wciągnęła powietrze, a potem zaczęła z wściekłością wrzeszczeć. Tak szybko i tak głośno, że wszelkie próby przewodniczącego Petaja, który próbował się wtrącić, spaliły na panewce.

Panna Rytkenen wrzeszczała z pianą na ustach:

- To jest bezczelność! Okropna bezczelność! Ty nędzarzu! Pracownik fizyczny, który zarabia pięćdziesiątkę w miesiącu! Tak mi nakłamał!...A okazuje się, że to mecenas! Facet z taką twarzą i tego typu...nie myślałam... A teraz!

Znam się na tym! Już ja znam się na tym... Stara się wsadzić mnie do aupy... i chce aluzjami zmusić sąd, by 'uwierzył... że to ja zastrzeliłam Patamaa! Śmiać mi się chce! Śmiać... śmiać! Dlaczego miałabym zamordować Patamaa?! Przecież dobrze sobie żyłam! Nie zabija się dojnej krowy! A już szczyt wszystkiego, że ten kutwa nie zostawił mi w testamencie złamanego grosza!... Ta kobieta, ta kobieta...

Panna Rytkbnen pokazała palcem na panią Einolę. Ta odpowiedziała na spojrzenie rozwścieczonej kobiety lodowatym wzrokiem. Panna Rytkbnen skoczyła do przodu i palcem o długim paznokciu prawie dotknęła twarzy pani Einolę.

Złość na moment zatkała jej gardło, posiniała na twarzy. Przestraszyłem się. Mój zamiar powiódł się nadspodziewanie dobrze. Usłyszałem ostry głos przewodniczącego Petaja:

- Świadek! Zamilknąć, i to natychmiast! Wrócić na miejsce, i to zaraz!

Dopiero teraz cała sala sądowa zauważyła wreszcie, w jaką furję wpadła panna Rytkbnen. Słyszając rozkaz Petaja odwróciła się błyskawicznie i rzuciła przewodniczącemu gniewne spojrzenie. Zaskrzeczała: - A ty, staruchu, nie trzep ozorem!

Szczęka przewodniczącego Petaja opadła. Poruszył grdyką dwa razy. Dziennikarze, którzy niejedno widzieli, siedzieli ze skamieniałymi twarzami i spoglądali z niedowierzaniem.

Petaja poczerwieniał. Zapytał ze ściśniętym gardłem:

- Co świadek powiedziała? Czyżbym źle usłyszał? Umyj sobie uszy, jeśli nie słyszałeś, że kazałam ci przestać trzepać ozorem. A za stołem sędziowskim wcale nie siedzą jacyś nadzwyczajni ludzie, chociaż wszyscy tak myślą. Tutaj biedną dziewczynę wszyscy depczą. Wszyscy! Wszyscy...

Panna Rytkonen westchnęła. Powietrze świszcząco w jej gardle. Znowu zwróciła się do pani Einolę i zapiszczała: - A ty! Ty! Jesteś teraz zadowolona,

co?

Pani Einola odpowiedziała oziębło: - Nie jesteśmy na ty.

Panna Rytkonen podskoczyła: - Nie zgrywaj się na królową! Teraz jesteś w matni! Dostałaś w testamencie sto milionów! Ale nie myśl, że możesz się cieszyć tymi pieniędzmi...

W tym momencie drzwi sali otworzyły się i wpadł woźny sądowy. Omiótł salę nieprzytomnym wzrokiem, bowiem przewodniczący Petaja naciskał dzwonek tak długo i z taką wściekłością, że woźny wbiegł gwałtownie, niczym do pożaru.

Petaja wskazał w kierunku awanturującej się kobiety. Woźny widząc, jak panna Rytkonen z pianą na ustach szykuje się już do następnego ataku, nie czekając ani chwili, złapał ją mocno za ramiona.

Cała sala wstrzymując oddech obserwowała sytuację.

Drżący z gniewu głos Petaja przerwał ciszę:

- Dwadzieścia tysięcy kary za lekceważący stosunek do sądu. Świadka zamknąć w areszcie, żeby się uspokoił, i to natychmiast! Niech pan nie gapi się i zrobi swoje!

16

Zwyczajem sądu stołecznego w Helsinkach półgodzinna przerwa obiadowa trwała dwie godziny i dwadzieścia pięć minut. Przewodniczący ma prawo przedłużać czas, jak mu się podoba, i teraz Petaja postanowił pokazać, jaką ma tu władzę.

Nie wiem, czy poszedł w towarzystwie innych członków sądu posilić się, czy też w inny sposób uspokoił swoje nerwy, które wbrew jego dobrym obyczajom tym razem zawiodły. W każdym razie sprawę wznowiono późnym popołudniem, gdy słońce zniżyło się już prawie do horyzontu.

Komplet sędziowski orzekł, że nie można jeszcze kontynuować przesłuchania panny Rytkonen, obrzucała bowiem woźnego obraźliwymi wyzwiskami, jak tylko usłyszała zbliżające się do jej celi kroki.

Słyszając to, przewodniczący Petajii zagryzł wargi i zagadnął mnie:

- Pan mecenas miał chyba jeszcze trzeciego świadka. Może tymczasem weźmiemy tego.

- Doskonale, panie przewodniczący. Odpowiedź nie była cczą obowiązującą formułą

Sprawa naprawdę szła po mojej myśli. Poczulem lekkie swędzenie skóry. Moim zdaniem dopiero teraz zbliżaliśmy się do sedna rzeczy.

Sekretarka i pani Einola wiedziały, co teraz nastąpi. Raili miała minę skupioną, była też mocno przejęta. Jeszcze bardziej radował mnie wzrok pani Einola. Jej ramiona wyprostowały się pod brzydkim strojem więziennym i z całej osoby tchnęło na nowo rozbudzoną nadzieją.

- Poproszę na świadka dyrektora banku Jaakko Kanervamaki - ogłosiłem.

Przewodniczący Petaja skinął głową. Już wyciągnął rękę w kierunku dzwonka, gdy pośpiesznie dodałem:

- Jeszcze momencik, proszę Wysokiego Sądu. Zanim wezwą świadka, chciałbym wyjaśnić tło pewnej sprawy.

Wyciągnąłem z teczki kopertę. Wyjąłem z niej napisany na maszynie list. Widziałem, jak wzrok Petaję towarzyszył moim ruchom.

- Tutaj, Wysoki Sądzie, mam pewien list. Nadesłała go panu Patamaa jakaś nieznana osoba, a list nadszedł parę dni przed jego śmiercią. Sprawa w ogólnych zarysach wygląda tak...

W ciągu piętnastu minut wyczerpująco wyjaśniłam wszystkie szczegóły szantażu dotyczącego Patamaa. Spostrzegłem, jak Petaja uniósł gęste brwi, a jasnowłosa protokolantka wpatrywała się we mnie z takim uporem, jakby chciała wyssać słowa z moich ust.

Usłyszałem również szelest ołówków reporterskich, gdy po wyjaśnieniu przekazywałem list szantażysty panu Petaja. Przewodniczący założył okulary na nos i długo mi się przyglądał, po czym z kamienną twarzą przeczytał list. Tylko lekkie rumieńce na policzkach świadczyły o jego myślach.

Zachodzące słońce złośliwie złożyło kamienie na placu Senackim i schody Katedry. Widziałem dobrze płomień wieczornego zmierzchu, gdy zwilżając wargi wyjrzałem przez okno.

Usłyszałem chrząknięcie Petaja i jego pytanie:

- Dlaczego pan nie powiedział policji o tym liście? Odwróciłem się i rzuciłem zdecydowane spojrzenie Petaja. - Wysoki Sądzie! Nie chciałbym krytykować organów władzy, ale nie mogę pozbyć się wrażenia, że w tej sprawie zarówno policja, jak i prokurator zajmują stanowisko wielce uprzedzone...

- Wysoki Sądzie! - krzyknął oskarżyciel Karls-son. - To stwierdzenie jest bezpodstawne!

Petaja uciszył go ruchem ręki. Mówiłem dalej:

- Jestem absolutnie pewny, że moja klientka, pani Einola, jest niewinna. Ona stała się ofiarą albo nieszczęśliwego przypadku, albo z premedytacją zorganizowanego planu. Zastano ją bezpośrednio na miejscu przestępstwa, nawet z rękami dosłownie we krwi. Nie dziwi mnie, że policja widzi w tej sprawie tylko jedną możliwość. Właśnie dlatego, ponieważ policja zapatrzyła się w ten jedyny punkt, nie chciałem tego niezwykle ważnego dla oskarżonej dowodu, może nawet, jak sama mówi, ostatniego i jedyne atutu, oddać w ręce policji. Nie wątpię, że listu w toku śledztwa nie brano by pod uwagę, a wręcz potraktowano by jako nic nie znaczącą, drugorzędną okoliczność...

Petaja kiwając głową wtrącił: - Rozumiem. Pana postępowanie było... bardzo nieodpowiednie. W naszym kraju przestępstwa badają organa władzy, a nie bawiący się w detektywów adwokaci...

Chyba się zaczerwieniłem. Petaja zauważył to, ponieważ dodał życzliwiej: - Co się stało, to się stało, policja tak szybko nie zdążyła zadziałać w tej sprawie. Ale co chce pan udowodnić zeznaniami następnego świadka?

Skłoniłem się i powiedziałem tak uprzedzająco grzecznie, że to nie mogło nie wywołać dobrego wrażenia na przewodniczącym Petaja:

- Wysoki Sądzie. Proszę okazać życzliwość, na pytanie to otrzyma pan odpowiedź od świadka.

- Hm... - Petaja zastanawiał się przez chwilę, po czym nacisnął dzwonek i wchodzącemu woźnemu polecił: - Wezwać na salę świadka Kanervamaki.

Zaraz po wyjściu woźnego odezwałem się cicho do przewodniczącego: - Czy mogę poprosić, aby list szantażysty schować? Zaraz się wyjaśni, że jest to niezbędne posunięcie.

Petaja nic nie mówiąc włożył list do akt sprawy.

Drzwi otworzyły się. i wszedł Kanervamaki. Rozglądał się bojaźliwie i podejrzliwie.

- Poproszę bliżej - zachęcał Petaja spokojnie. Obejrzał dowód osobisty świadka, przyjął przysięgę od Kanervamaki i dodał oschle:

- Proszę zdjąć palce z Biblii i pamiętać o treści przysięgi. Mecenas Viima ma do pana pytania.

Kanervamaki odwrócił się. Zdawało mi się, że jego wielkie uszy poruszyły się. Dolna warga gorzko zarysowanych ust wysunęła „się trochę do przodu.

- Świadek Kanervamaki - zacząłem. - Spotkaliście się już wcześniej dwa razy, prawda?

- Tak, panie mecenasie.

- Pierwszy raz spotkaliście się w majątku pana Patamaa, jeszcze za jego życia, prawda?

- Tak, to prawda, panie mecenasie.

- Drugi raz spotkaliście się, gdy odwiedziłem pański bank tydzień temu, nieprawdaż?

- Tak, panie mecenasie.

Drażniła mnie jego bojaźliwa grzeczność. - Proszę odpowiadać tylko na pytania. Bez powtarzania „panie mecenasie”.

- Jak pan sobie życzy, panie mec... Jak pan sobie życzy.

Kanervamaki zmienił pozycję i obserwował mnie mrugając oczami. Kontynuowałem przesłuchanie: - Drugi raz spotkałem się z panem w cztery oczy w po - koju na tyłach banku. Stało się to mniej więcej tydzień temu, czy tak?

- Tak.

- Przejeżdżając wstąpiłem do pańskiego banku. Rozmawialiśmy o różnych sprawach, potem chciałem dokonać przelewu z pańskiego banku do Helsinek. W mojej obecności wypełnił pan na maszynie formularz, nieprawdaż?

- Tak, to prawda.

- Podpisał pan odcinek przeznaczony dla mnie, a potem to samo zrobiła kasjerka. Czy tak było?

- Tak.

Wyciągnąłem z teczki zielony odcinek przelewu i podałem go Kanervamaki. Wziął go niepewnie, patrząc pytająco na mnie.

- Pan będzie łaskaw sprawdzić, czy będący w pańskich rękach odcinek przelewu to ten sam, który otrzymałem od pana.

- Tak, tego...

- Proszę jeszcze nie odpowiadać - wtrąciłem z naciskiem. - Proszę najpierw dokładnie sprawdzić. Odpowie pan, gdy będzie pan zupełnie pewny.

Na sali sądowej zapanowała grobowa cisza. Kanervamaki z górnej kieszeni marynarki wyjął futerał z okularami i otworzył go. Założył okulary na nos i pochylił się, by zbadać kwit. Minęło dziesięć sekund, Kanervamaki podniósł głowę i odpowiedział zdecydowanie:

- Ten sam. Poznaję moje pismo i rozpoznaję czcionkę maszyny.

- To dobrze - powiedziałem. - Poproszę teraz, by Wysoki Sąd podał panu pewien list. Proszę dokładnie go przeczytać i odpowiedzieć, czy widział go pan wcześniej.

Przewodniczący Petaja rzucił mi pytające spojrzenie. Skłoniłem się i lekko skinąłem głową, starając się w ten sposób podkreślić powagę sprawy i

okazać należy sadowi szacunek. Petaja zastanawiał się przez chwilę, po czym wydobyl list szantażysty i wręczył go Kanervamaki.

Kanervamaki unosząc brwi zerknął na mnie. Zaczął czytać list. Milczenie na sali było złowrogie i każdy z obecnych instynktownie to wyczuwał. Kanervamaki szybko przebiegł oczami treść listu. Widziałem, jak poczerwieniał mu kark, ale twarz pozo* stała blada. W końcu westchnął, a powietrze zaświsz-: czało mu w gardle. Odezwał się:

- Nigdy wcześniej nie widziałem tego listu. Jego treść jest dla mnie zupełnie niezroziimiała. Czy to jest... czy to jest jakiś dowcip, czy co?

- To nie jest dowcip.

W moim głosie była groźba. Wyciągnąłem z teczki nowy dokument i jednocześnie błogosławiłem złe stosunki panujące pomiędzy policją kryminalną Helsinek i centralą policji kryminalnej. Otrzymałem z centrali policji kryminalnej ekspertyzę bez zawiadomienia o sprawie stołecznego wydziału.

- Mam tutaj oficjalną ekspertyzę rzeczoznawców - powiedziałem powoli.
- Jest długa i szczegółowa; pełna terminów fachowych. Ale na końcu jest podsumowanie wyników badań i do tego niepotrzeb-: ny jest tłumacz. Centrala policji kryminalnej potwierdza, że odcinek przelewu i list szantażysty są bezspornie napisane na tej samej maszynie do pisania.

Cisza może czasem stać się ciszą absolutną. Tak się stało teraz.

Widziałem, jak oczy Kanervamaki robią się okrągłe. Otworzył usta, ale głosu nie było słychać. Wyjąkał w końcu:

- Próbuje pan, panie mecenasie stwierdzić... że ja napisałem ten list?

- Twierdzę, że został napisany na pana maszynie do pisania.

Przewodniczący Petaja otworzył usta i zwrócił się ido mnie ostro:

- Proszę dać mi tu ekspertyzę centrali policji kryminalnej!

Postąpiłem według rozkazu. Petaja czytał, a my z Kanervamaki przypatrywaliśmy się sobie.

- Na to wygląda - orzekł Petaja. - Mecenas Viima ma rację. Centrala

policii kryminalnej potwierdza to. Proszę kontynuować przesłuchanie świadka.

- A więc pan zaprzecza temu, że to pan jest autorem tego listu?

Dyrektor banku otworzył usta i krzyknął w odpowiedzi: - Oczywiście!

- Proszę nie krzyczeć - powiedziałem spokojnie. - Należy teraz odpowiedzieć na następujące pytanie: kto inny, według pana, mógł mieć możliwość skorzystania z pańskiej maszyny?

Kanervamaki rozłożył ręce: - Hm... Mam tylko jednego pomocnika. Jest nim pani Strbrn, kasjerka. Pracuję w małym wiejskim kantorku...

- Wiem o tym - zgodziłem się.

- Pani Strdm nie wchodzi jednak nigdy do mojego pokoju. Chyba że po mój podpis. A maszyna do pisania jest w moim pokoju, jak pan mecenas pamięta. W pokoju dyrektora...

- Pamiętam.

- Pani Strdm jest mężatką i matką pięciorga dzieci. Jest nie do pomyślenia, aby mogła wypisywać takie bezczelne rzeczy. I na pewno nie ma ku temu najmniejszych powodów...

- Więc? Kto inny? - zapytałem znaczącym tonem.

- Hm... niech pomyślę. - Świadek Kanervamaki wyciągnął chustkę do nosa i wytarł pot z czoła. - **Nie** mogę tego zrozumieć. Może być jeszcze pewna osoba, sprzątaczką banku. Sprząta po godzinach urzędowania i ma klucze. Ale jest to prosta, prawie siedemdziesięcioletnia kobieta, która ledwie umie się podpisać... Nie ma pojęcia o pisaniu na maszynie... I nigdy nie mogłaby napisać takiego listu... w takim... stylu, człowieka niewykształconego...

- Więc? - zapytałem znowu. - Nie ma już więcej nikogo.

- Tak, nie ma.

- Proszę zaczekać... - Kanervamaki klepnął się dłonią w czoło. Ciągnął dalej niepewnie: - Dyrektor Patamaa był prezesem rady nadzorczej banku. Kiedy żył, od czasu do czasu przesiadywał w moim pokoju... Tak, pamiętam, nieraz pozostawał w moim pokoju, gdy ja wychodziłem do mleczarni po drugiej

stronie drogi. Bo, proszę wiedzieć, że obok kierowania bankiem, jestem też właścicielem mleczarni. Możliwe...

Mój wzrok przeszył go. - Co pan chce przez to powiedzieć?

- Nic. Mówię tylko, że Patamaa miał możliwość dostać się do maszyny.

Zapytałem powoli: - I śmie pan wysunąć taką śmiechu wartą hipotezę, że Patamaa napisał sam do siebie list z pogrózkami?

Ręce Kanervamaki wykonały głupi, a jednocześnie rozpaczliwy ruch. Popatrzyłem jeszcze raz na niego jak na człowieka, który jest niespełna rozumu. Potem powiedziałem z przekąsem: - Widzę, że ma pan dość tego wszystkiego...

Twarz Kanervamaki stała się purpurowa: - To nie jest...

- Tymczasem pomówmy o czym innym. - Widziałem, jak ołówek jasnowłosej protokolantki w szalonym tempie biegał po kartce. - Pomówmy o sprawach pańskiego banku. O ile mi wiadomo, niedawno była tam kontrola finansowa. Czy to prawda?

Kąciki ust Kanervamaki drgnęły. Patrzył na mnie ogłupiały.

- Proszę odpowiedzieć!

Osobiście zawiadomiłem kontrolerów ze Związku Banków Oszczędnościowych, czego nie zdążył zrobić Patamaa, gdyż śmierć zapieczętowała mu usta.

Kanervamaki zrozumiał nagle, że wszystko stracone. Odpowiedział jak człowiek, który zobaczył koniec gry, i którego nic już nie obchodzi.

- W moim banku była kontrola finansowa. Zaczynam się domyślać, dlaczego kontrolerzy tak nagle znaleźli się u nas. Mogę powiedzieć i to, że w banku brakowało dwóch milionów. Ale mnie nie zwolniono. Wyznaczono mi termin na zlikwidowanie niedoboru. Dla banku wiejskiego taka reklama jest niepożądana.

Kanervamaki cedził wolno słowa, był już porządnie zmęczony i miał dość wszystkiego. Dodał jeszcze: - Sprawa miała zostać w tajemnicy...

- Morderstwo nie ukryje się w tajemnicy - powiedziałem i dodałem

znacząco: - W liście szantażysty żądano, to dziwne, właśnie takiej samej sumy.

- Ja nie napisałem tego listu! - głos Kanerva-inaki podniósł się aż do krzyku. - Nic o tej sprawie nie wiem!

- Proszę się uspokoić - powiedział przewodniczący Petaja urzędowym tonem. Zmierzył Kanervama-ki wzrokiem od stóp do głów.

- Zmieńmy temat rozmowy - rzekłem. - Zbadajmy wypadki z nocy 13 kwietnia. Wiadomo mi, że był pan wtedy w Helsinkach?

Żyłka na skroni Kanervamaki zaczęła pulsować. - Tak, byłem.

- Gdzie spędził pan noc? Dokładniej mówiąc, gdzie pan był o godzinie 2.30?

Kanervamaki milczał przez chwilę. Cała twarz drżała mu ze zdenerwowania, po czym odpowiedział dziwnie cicho i z desperacją w głosie.

- Spędziłem noc w towarzystwie panny Rytkb'-: nen.

Gdyby świadek wyciągnął z kieszeni żmiję i rzucił mi w twarz, nie zaskoczyłby mnie bardziej. O mało nie spadłem z krzesła, gdy zobaczyłem szczególny wyraz oczu Kanervamaki. Instynkt mi podpowiedział, że wkrótce coś się wyjaśni. Oczywiście, jego stwierdzenie, chociaż tak mnie zaskoczyło, było prawdą.

W napiętej ciszy sali sądowej poczułem dziwny szum w uszach. Chyba nawet zacząłem się kiwać, choć wydawało mi się, że to sala tak się kręci wraz ze mną.

W końcu wykrztusiłem: - Pan ma na myśli pannę Iris Rytkonen? Tę, która właśnie niedawno była tu przesłuchiwana w charakterze świadka?

Kanervamaki odpowiedział bezkrwistymi wargami, zdecydowanie:

- Właśnie ją mam na myśli.

- Proszę bardziej szczegółowo. - Głos miałem obojętny, aż wydawał mi się obcy. Kanervamaki odpowiedział patrząc na mnie:

- Nie brałem udziału w zamordowaniu dyrektora Patamaa, jak to pan przypuszcza. Noc spędziłem w hotelu w towarzystwie panny Iris Rytkonen.

Hotel ma tylko jedno wejście, nie ma schodów przeciwpożarowych, czy czegoś tam podobnego. A portier nocny był na stanowisku. Jestem żonaty, więc chwały mi to nie przysparza. Ale mordercą nie jestem.

Poczułem szum w uszach. „Traciłem grunt pod nogami. Moja ciężka, kilkutygodniowa i praca rozpadła się w gruzy. Wyczytałem z twarzy,* Kanervamaki, że mówi prawdę.

Chciałem dokonać cudu. Miałem zabawić się w Perry Masona, czyli chciałem zasłużyć na nieśmier-

telność i uwolnić moją klientką od kary dożywocia. Chciałem udowodnić, że Kanervamaki zastrzelił Pa-tamaa z obawy przed ujawnieniem defraudacji.

No, i masz.

W głowie poczułem dziwną pustkę, świat nagle zatrzymał się, jakby chciał mnie pogrzebać, a potem obrócił się przeciwko mnie.

Szedłem jak ślepiec, błędząc właśnie wtedy, kiedy budowałem wielkie marzenia, wielkie teorie.

Oświadczenie Kanervamaki oczywiście trzeba sprawdzić, ale już teraz wyczytałem z całego jego sposobu zachowania, że nie skłamał. Z dwojga złego wybrał mniejsze, przyznał się zarówno do defraudacji, jak i niewierności małżeńskiej, ale jednocześnie wymknął się z sideł, które na niego z takim trudem zastawiłem.

Zapomniałem, gdzie jestem. Ktoś coś mówił, chyba przewodniczący Petaja, ale nie słyszałem. Przed oczami miałem mgłę, a w mózgu kotłowały się dręczące myśli.

Co to za wstrętna baba z tej Iris Rytkbnen. Nie siedziała na dwóch stołkach, ba na trzech... Pata-maa, Ahtonen, Kanervamaki. Prawdziwe stowarzyszenie panów... Patamaa zmarł, Kanervamaki za-brnął w ślepą uliczkę ze swoimi malwersacjami... a chyba i Ahtonen nie miał powodu do śmiechu. I to wszystko przez kobietę, którą uważałem za skrzeczącą srokę... albo boa

dusiciela, jak jej kiedyś po pijanemu powiedziałem.

I co oni widzieli, do diabła, w tej Iris Rytbnen? Jednak przyjdzie kryśka na Matyska. Przecież dopiero co popełniła oczywiste krzywoprzysięstwo. Przysięgała, zasłaniając się nie istniejącą reputacją, że spacerowała nocą po ulicy... śpiąc tymczasem w ciepłym hotelu obok Kanervamaki... A jednak dziewczyna popełniła błąd, i gdyby sprawą zbadano, trafiłaby do miejsca, gdzie nie nosi się fioletowych upstrzonych kwiatami róż sukien...

Do więzienia poszedłby również i Kanervamaki... Jego matactwa nie są już tajemnicą. No i może być rozwód za jednym zamachem...

Ale na co mi to wszystko i co to pomoże mojej klientce, pani Einola?

Dzwonek zadzwonił na ostatnie okrążenie. Nigdy nie byliśmy w gorszej sytuacji.

Mordercą nie był Kanervamaki.

Mordercą nie była Iris Rytbnen.

Sistonen też nie pasował jako morderca. Miał żelazne alibi.

Nawet ten Ahtonen z przetłuszczonymi włosami miał alibi, chociaż naciągnięte.

Wierzyłem, że mordercą nie była pani Einola.

Więc kto, kto, kto to wszystko zrobił?

Myśli, jak seria ponurych uderzeń dzwonu, tłukły się w zamkniętej głowie... beznadziejnie, nie znajdując wyjścia.

Po południu, pod koniec posiedzenia, przywieziono samochodem policyjnym do sądu portiera nocnego, który mógł potwierdzić alibi Kanervamaki i Iris Rytbnen. Zaraz to zrobił, a nie wyglądał na człowieka, który skłamałby pod przysięgą w sprawie morderstwa. I tak już odrzuciłem całą swoją uprzednią teorię i towarzyszyłem teraz z dziwną obojętnością i niemocą ostatniemu aktowi. Automatycznie jednak przestrzegałem obowiązujących mnie czynności i formy.

Pomocny okazał się ten błahy fakt, że adwokat strony poszkodowanej już na początku posiedzenia poprosił o przesunięcie terminu dla odszukania wszystkich krewnych Patamaa.

Rozprawę odroczone na dwa tygodnie.

Przez parę następnych dni byłem pogrążony w zupełnej depresji. Siedziałem w biurze, załatwiałem od niechcienia różne bieżące sprawy, a w przerwach gapiałem się na przeciwległą ścianę. Czuję, jak Raili delikatnie i troskliwie chodzi koło mnie i w pewnej chwili miałem ochotę przytulić głowę do jej wspaniałych piersi i rzucić to wszystko do diabła.

Na trzeci dzień parę razy ordynarnie zakląłem i odczułem dziwny przypływ energii. To był 'zupełnie inny ranek, nawet na dworze było pięknie i słonecznie. Na lipach rosnących na Esplanadi ujrzałem delikatną kwietniową zielen i wbiłem sobie do głowy, że muszę pójść do więzienia okręgowego, do pani Einola.

Nastrój poprawił mi się zdecydowanie, gdy wypisała mi duży czek za dotychczasowe starania. Nawet mnie pochwaliła i jakby to nie było paradoksalne, pocieszała mnie: - Dobrze pan pracuje, panie mecenasie, ale okoliczności są przeciwko nam.

Rozumiałem, że byłem jej nadzieją, a przede wszystkim zasłużyłem na otrzymany czek. Zacząłem więc jeszcze raz zadawać szczegółowe pytania, przekonany, że Syzyf, pchając kamienie na szczyt góry, wykonywał wówczas pracę pełniejszą nadziei.

Ale...

Pani Einola dorzuciła mi parę drobnych szczegółów. Były naprawdę tak nie znaczące i powszednie, że nie zdziwiłem się, dlaczego wcześniej nie wspominała o nich. Możliwe, że nawet i nie pamiętała. Jeżeli, dla przykładu, pieszy zatrzyma się przed oknem wystawowym w czasie przejścia od punktu A do punktu B, chyba o tym szczególe nie będzie opowiadał, gdyby go nawet

później przesłuchiwano. Takie zerkanie na wystawy jest częścią składową przechodzenia ulicą, tak samo naturalną jak kroki, i człowiek nie przywiązuje do tego żadnego znaczenia.

Rozmowa zaczęła się nieco rwać, kiedy raz jeszcze niezmordowanie wróciłem na stare ślady. I chociaż byłem w ponurym nastroju patrząc na poćwiartowany kratami kwadrat światła, który padał na podłogę celi, zacząłem z optymizmem w głosie:

- Już wielokrotnie opisała mi pani wszystkie zdarzenia owej nieszczęsnej nocy. Oczywiście wierzę, że odtworzyła pani bardzo dokładnie wszystkie najdrobniejsze szczegóły. A jednak zdaje mi się, że coś zostało nie dopowiedziane...

Pani Einola westchnęła zmęczona. - Nic takiego sobie nie przypominam.

- Może to, według pani, nie mieć znaczenia. Według pani. Ale ten nieważny drobiazg może się okazać tym załączkiem, załączkiem, z którego wyrasta drzewo... Jeszcze nieznanym dotąd przestępca obciąża panią, droga pani...

- Rozumiem, ale nie mogę sobie przypomnieć.

- Spróbujmy jednak raz jeszcze. Zaczniemy znowu od momentu, kiedy zadzwonił domofon.

Pani Einola wzruszyła ramionami. Jednocześnie jednak wyprostowała się, zamyśliła. Po chwilowym wahaniu zaczęła:

- Spałam, kiedy domofon mnie obudził... Słuchałem z dziesięć minut opowiadania pani

Einola, czasem zadając jej jakieś pytania. Nic nowego nie pojawiło się, a rozmowa wydawała się

bardziej jałowa od poprzednich. I sam już wpadłem w apatię, gdy pewne zdanie w opowiadaniu pani Einola zwróciło moją uwagę. Pani Einola powiedziała:

- Jadąc dalej, podjechaliśmy do stacji benzynowej...

- Chwileczkę - przerwałem nagle. - Gdzie to było?

- Przepraszam, co?

- Wspominała pani, że podjechaliście do stacji benzynowej.

- Tak, właśnie... Ale to była sprawa paru minut. Chyba nic ważnego.

I sam zgodziłem się z taką myślą. Jednak powiedziałem ostro: - Wcześniej o tym pani nie mówiła. Zawsze pani mówiła, że jechaliście prosto z Lastenlinnantie do parku Kaisaniemi.

- Tak... właśnie, prosto... Nie skręcaliśmy nigdzie. Stacja benzynowa, którą mam na myśli, znajduje się na rogu Linnankoskenkatu i Mannerhei mintie.

- Jednak tam zboczyliście. Rozumiem, że samochód zatrzymał się i...

- Tak.

Nagle przypomniałem sobie coś. Zapytałem Si-stonena, czy jechał bez zatrzymywania się do końca. Sistonen twierdził pod przysięgą, że tak było. Wydawało mi się, że przez chwilę się zawahał. Pamiętam również, jak zerknął na panią Einola. Niestety, moja podopieczna, sądząc po jej minie, zastanawiała się zupełnie nad czym innym i taki drobiazg bez echa przemknął jej mimo uszu.

Proszę opisać tę rzecz ze szczegółami - powiedziałem nagle. - Jak najdokładniej.

Oczy pani Einola wyrażały pytanie. Jakoś nie zareagowała na moją nagłą ciekawość, zaczęła tylko cicho, marszcząc lekko czoło:

- Mówiliśmy wtedy o sprawie tego testamentu. Najpierw na ulicy. Potem w samochodzie... Jechaliśmy w kierunku parku. W drodze Sistonen zauważył, że musi nabrać benzyny.

- I co dalej?

- Pamiętam, że Jussi coś burknął... Coś takiego, że można się wściec, że tak dużo zużywa się benzyny... Ale to było w jego stylu... Miał geil i był szczodry, jeżeli chodzi o pieniądze. A Jednocześnie stale próbował być dowcipny, narzekając na wydatki... To udawanie skąpca było formą zabawy.

- Ach tak. Pani będzie łaskawa dalej opowiadać.

- Sistonen zatrzymał samochód na stacji benzynowej. Wszedł z

samochodu. My z Jussim zostaliśmy w samochodzie i rozmawialiśmy.

- Przez cały czas państwo siedzieli w samochodzie?

- Tak. We dwoje. Cały czas.

- A Sistonen?

- Wszedł do stacji, potem wyszedł pracownik, nalał benzyny. Sistonen zapłacił i pojechaliśmy dalej.

- I nic więcej?

- Nie.

- Postrój trwał przypuszczalnie około dwóch, trzech minut?

- Coś koło tego.

- Hm...

Zastanawiałem się przez chwilę, ale w tym nie było nic ważnego. Jednak wyraz twarzy Sistonena, gdy składał zeznania, nie dawał mi spokoju. Czyżby była to tylko moja wyobraźnia, czy też zachowanie Sistonena świadczyło, że chciał czegoś naprawdę uniknąć i dlatego był ostrożny? Przysięgał, że nie zatrzymywał się nigdzie w czasie jazdy... Może zapomniał o tym drobnym epizodzie? A może uważał, jak i pani Einola, że jest to tak samo mało ważne.

Zanotowałem to w pamięci i postanowiłem rzecz sprawdzić.

- A później? - zachęcałem. - Proszę opowiadać dalej.

- Pojechaliśmy wzdłuż Mannerheimintie. Koło budynku Poczty Głównej skręciliśmy w dół; na Plac Dworcowy...

Opowiadanie pani Einola potoczyło się dalej i okazało się, że znam je już ze szczegółami. Po dziesięciu minutach znowu doszliśmy do momentu, który poprzedził tragiczny strzał.

Drzenie twarzy pani Einola wzbudziło moje współczucie, ale nie byłem jej w stanie pomóc. Może właśnie teraz trafię na coś niejasnego. Powiedziałem uspokajająco:

- Wiem, że pani ciężko... z bólem serca powracam do tych szczegółów. Ale proszę wziąć się w garść. Niech pani sobie wyobrazi, że to pani nie dotyczy

i opisz to wszystko możliwie rzeczowo i obiektywnie. Proszę przypomnieć sobie każdy głos, obraz, gest, szczegół...

Powieki pani Einola drgnęły. Powiedziała znużonym głosem: - Postaram się. Staliśmy z Jus-sim naprzeciwko siebie. Wyjaśniliśmy już, że testament będzie w dalszym ciągu ważny. Potem Jussi przeprosił mnie za bezpodstawne podejrzenia, których niestosowność i podłość dopiero teraz sobie uprzytomnił. Właśnie takich używał słów. Minę miał nieszczęśliwą i żalospną. Serce mi się krajało, gdy tak smutno i przepraszająco na mnie patrzył... Głos pani Einola załamał się. Patrzyłem w bok.

- Wyciągnęłam do niego ręce... - mówiła dalej bardzo cicho. - To był taki szczery i spontaniczny gest. Obie ręce. Chwycił je i wziął mnie w ramiona... I właśnie wtedy... to pan już wie...

- Padł strzał? - Głos wydawał mi się szorstki.' Pani Einola skinęła głową. Do oczu napłynęły łzy. Patrzyłem w jej szeroko otwarte oczy i zastanowiło mnie to. Niezwykła myśl wpadła mi do głowy i oczami pani Einola zapatrzyłem się w przeszłość. Z gąszczu wydarzeń wyłonił się całkiem nowy, podobny do sennej mary obraz.

Zapytałem cicho: - Twarze... głowy państwa były w tym momencie... blisko siebie?

Pani Einola przytaknęła.

Mój głos wydawał się bardzo surowy, gdy wolno powiedziałem: - Czy nie zaświtała pani nigdy pewna myśl? A może za krzakami stał zły i zdenerwowany strzelec i nie celował w Patamaa tylko... Może to panią chciał uśmiercić?

18

Pogoda była zupełnie nie kwietniowa.

Ale i moje myśli nie były wiosenne.

Z chmur płynęły takie strugi deszczu, że chyba nigdy czegoś podobnego nie widziałem. Chwilami zdawało się, że ktoś z góry chlusta wiadra wody na szybę samochodu. Widoczność mimo popołudniowej pory była fatalna. Ale nie

chciałem zmniejszać szybkości. Niespokojne myśli kłębiły się we mnie, absorbując całą uwagę.

Zauważyłem że Raili, która siedziała w samochodzie obok mnie na przednim siedzeniu, też jest zamyślona. Naprawdę mieliśmy się nad czym zastanawiać. Wracaliśmy ze stacji benzynowej, a tam pracownik opowiedział nam *coś* tak niewiarygodnego, że nie byliśmy już w stanie nic zrozumieć.

- Matti, drogi... Jak ty prowadzisz! Oprzytomniałem nagle. Dwie rzeczy zdarzyły się jednocześnie. Usłyszałem zaniepokojony głos Raili i zobaczyłem wyskakującą z bocznej ulicy ciężarówkę. Wynurzyła się jak strzała z ramion ulewy i zdawało się, że ma wysokość góry.

Noga znalazła się na hamulcu, zanim rozum zdążył wydać odpowiednie polecenie. Volkswagensem szarpnęło, ale nie zatrzymał się. Poczułem, że ślizgamy się po mokrych kamieniach jezdni i lekko przymknąłem oczy, czekając na trzask. Ciężarówka zdążyła w ułamku sekundy wyminąć nas. Przemknęła tak blisko, że tylko cud uratował rozbicie przednich świateł.

- Cholera!

Poczułem zimny pot na czole.

Okazało się, że Raili znowu ma mocniejsze nerwy niż ja. Poczułem, jak lekko dotyka mego ramienia i daje mi szybką radę:

- Jedź dalej... no, prędko! Ten policjant w pelerynie przygląda się nam zbyt natarczywie...

Zrobiłem automatycznie tak, jak mi kazała. Dodała jeszcze:

- O wszystkim pomyślimy dopiero w biurze... Skinąłem głową. Jechałem teraz ostrożnie wzdłuż

Mannerheimintie. Ciemna postać Marszałka wyłoniła się z lewej strony wśród gwałtownej ulewy. Za chwilę byliśmy już koło biura. Znalazłem miejsce postojowe naprzeciwko wejścia. Przypomniał mi się słoneczny ranek kwietniowy, nie tak dawno. Kiedy samochód dyrektora Patamaa stał w tym samym miejscu. Wtedy jego dumne, chromem i niklem błyszczące kształty wydawały mi się

symbolem pewności i trwałości... Potem widziałem wiele innych takich złudnych obrazów. Ostatni z nich rozpadał się niedawno, tak że w uszach wciąż jeszcze miałem ten rumor.

Teraz wiedziałem już coś ważnego, ale nie wszystko jeszcze mogłem pojąć.

Pogoda była okropna: zimno i ulewny deszcz. Zmokliśmy porządnie, przebiegając przez ulicę.

- Dziwny kwiecień - powiedziałem w windzie.

Znaczący ton głosu miał dać Raili do zrozumienia, że mam na myśli jeszcze coś innego, oprócz niełaskawej, prawie zimowej pogody.

- Rzeczywiście - powiedziała Raili krótko.

Wiszące nisko czarne, strzępiaste chmury przepuszczały niewiele światła. Do mojego biura już ono nie docierało, dlatego też było tam chłodno i nieprzyjemnie. Zaciągnąłem zasłony i zapaliłem światło. Atmosfera od razu się zmieniła. A może przyczyną tego była także Raili, która bez zaproszenia weszła do mojego gabinetu i usiadła naprzeciwko biurka. Siedząc w kręgu światła lampy, wydawała się dziwnie bezpieczna, spokojna i trzeźwo myśląca.

Zapaliłem papierosa. Spojrzeliśmy na siebie.

- Czyżby to była prawda? - zapytałem powoli. Raili skinęła głową. Na ogół uśmiechała się pogodnie, lecz teraz była niezwykle poważna.

- Chyba tak - odpowiedziała. - A nie wierzyłam własnym uszom! i - Ja też.

Nasze myśli krążyły wokół niedawnego zdarzenia. Z zamysłonej miny Raili i jej uniesionych brwi wywnioskowałem, że widzi to samo co ja: pracownika stacji benzynowej w stroju roboczym. Przypadkowo pusta stacja. Zdziwiło mnie, jak on zmienił się na twarzy, gdy usłyszał nasze pytanie. I to jego wyjaśnienie, które z kolei wywołało zdumienie na naszych twarzach.

- Jakim cudem nie poszedł wcześniej na policję, żeby powiedzieć o swoich spostrzeżeniach? - komentowała Raili półgłosem.

- Mówił przecież, że rano następnego dnia po wypadku wyjechał za granicę.

- Tak, to prawda - zgodziła się Raili. - Ale... ale jak to wszystko wytłumaczyć?

Widziałem, że gdy pytała, jej źrenice rozszerzyły się i dopiero wtedy o czymś sobie przypomniałem.

Właściwie chodziło mi to po głowie już wcześniej. Poprzedniego dnia byłem w celi pani Einola. Niewiele potem spałem. W głowie kotłowały mi się różne myśli. Mieliśmy sprawdzić stację benzynową w dzień, gdy potrzebny nam pracownik miał wolne. Właśnie teraz wydawało się, że tajemnica powoli zaczyna się odsłaniać.

Myśli, która zaświtała mi w głowie, pozwoliłem swobodnie się rozwinać. Stało się tak, jak dawniej, gdy męczyłem się w sądzie prowincjonalnym, siedząc za stołem sędziowskim. Obraz, który składał się z nieważnych szczegółów, zmienił się w sensowną całość.

Siedziałem cicho i ocknąłem się dopiero wtedy* kiedy Raili cicho zapytała:

- Nie śpisz?

Uśmiechnąłem się z zakłopotaniem. Otworzyłem oczy, nie pamiętam kiedy je zamknąłem, i patrzy-s łem na moją sekretarkę.

- Czy to mogło być właśnie tak...

- Jak? - Raili pochyliła się do przodu, a z jej oczu wyczierała ciekawość. Spostrzegłem, jak na skutek ruchu jej ramion pod wełnianą bluzką poruszyły się jej pełne piersi. Rozdrażniło mnie to.-Obraz, który powstał w mojej wyobraźni widziałem tak wyraźnie, że bałem się wszystkiego, co mogło go zatrzeć.

- Bądź tak dobra i siedź spokojnie - poprosiłem zdecydowanie. Udałem, że się gniewam. Nawiasem mówiąc, dopiero teraz zrozumiałem, jak strasznie musiał się zdenerwować Archimedes, gdy przybiegł żołnierz rzymski i zdeptał nakreślone na piasku figury.

Niestety, tak uporczywie patrzyłem na bluzkę Raili, że nie uszło to jej uwadze. Znieruchomiła na krześle i opuściła ręce na kolana. Zauważyłem, jak lekki rumieniec pokrył jej policzki.

- Myślę, że nie czas teraz na głupie kawały - powiedziała pośpiesznie.

- Masz rację. - Nie zabrzmiało to radośnie. Z pewnością plotłem przed chwilą tylko po to, by nie okazać podniecenia, które mnie opanowało. Ale naprawdę cieszyłem się. To było zadowolenie z powodzenia, a także okrutne zadowolenie, coś w ro-i dzaju złośliwej satysfakcji. Mattiego Viima uważano za bałwana, co było bardzo denerwujące. Ale to jeszcze nie wszystko. W pewnych kręgach wyśmiewano też samą instytucję prawną, by jednocześnie z zimną krwią skazać na dożywocie niewinnego człowieka. I to wszystko czyniono po to, by udowodnić istnienie pewnego planu, i w końcu, by ukryć poważny błąd, który popełniono w trakcie śledztwa.

Tego nie można było już cofnąć.

Ale w czasie następnego posiedzenia sądu ostatni będzie się śmiał Matti Viima, jeśli w ogóle ktoś go będzie śmiał.

Raili była trochę niezadowolona, jednak ciekawość zwyciężyła.

- Nie dokuczaj mi - prosiła opanowanym głosem. - Z twojej miny widać, że odkryłeś coś bardzo ważnego. Opowiedz mi, proszę.

- Mam pewien pomysł - powiedziałem powoli.

- Tak.

- Wspaniały pomysł.

- Tak? - powtórzyła Raili pytająco.

W tym momencie poczułem, jak radość ze zwycięstwa i zadowolenie zaczęły powoli przygasać. Chwilę później nie cieszyłem się już, tylko chłodno obmyślałem pewną rzecz.

- Bądź miła - zacząłem - i nie przerywaj mi przez najbliższe dziesięć minut. Być może, na początku będziesz uważała mnie za wariata... ale najpierw słuchaj. A gdy skończę, powiedz, czy istnieje inna możliwość. Uważam, że

wszystko tu gra.

- Nie będę ci przerywać - powiedziała Raili. Obietnicy dotrzymała, ale z wyrazu jej twarzy wyczytałem początkowo, że naprawdę myślała, iż pomieszało mi się w głowie. Lecz im dalej posuwałem się w swoich wywodach, tym bardziej Raili stawała się zamyślona. Gdy wreszcie zaczęła pojmować z moich wyjaśnień, z jaką zimną krwią i jak konsekwentnie został przygotowany plan przestępstwa, przestraszyła się.

W ciągu piętnastu minut naszkicowałem Raili całą sprawę. Wciągnąłem głęboko powietrze i zakończyłem.

- No i co ty na to?..

Raili przez chwilę milczała, patrząc na mnie. Raptem odezwała się unosząc brwi:

- Czy ktokolwiek mógłby być tak bezczelny... i tak dalekowzroczny?

- A czym innym można to wyjaśnić?

Brwi Raili uniosły się jeszcze wyżej. Jakby w roztargnieniu zauważyłem że nie były wyskubywane ani regulowane, unosiły się pięknymi łukami nad oczami.

Raili wzruszyła ramionami. Głos miała prawie zatroskany, kiedy powiedziała: - Jestem kobietą i trudno mi uwierzyć, że ktoś może być aż tak... bez serca. Ale im więcej się nad tym zastanawiam, tym bardziej jestem tego pewna. W teorii twojej jest jeszcze co prawda sporo zagadek i nie udowodnionych faktów...

- Udowodnię je - wtrąciłem. - I tak wykurzymy szczura z dziury.

- Chciałabym, żeby się tak stało. - Wyraz twarzy Raili zmienił się nagle. Jej oczy początkowo zamyślane, błysnęły ciepło, gdy ciągnęła dalej z przejęciem: - I pomyśleć, jaka wrzawa się podniesie, jeśli nam się uda... to znaczy, jak tobie się uda...

- Nam się uda - poprawiłem z naciskiem.

- Ależ... ja niewiele tutaj zrobiłam. Aha, jeszcze coś: znając dokładność

przewodniczącego Petają i jego entuzjizm dla skrupulatnego przestrzegania regulaminu...

- Jego trzeba przygotować wcześniej - wtrąciłem. - W czasie następnej rozprawy muszę mieć odpowiednią sytuację do wypowiedzenia się. Przyszło mi nawet do głowy, żeby pójść zaraz do niego na rozmowę.

‘ - A jeżeli cię nie przyjmie? Petaja nie znosi zakulisowych działań.

- Masz rację. Według niego wszystko musi mieć tylko odpowiednią formę. A to będzie miało...

- Tak, ale...

- Gdy działania zakulisowe odbywają się dla dobra sprawiedliwości po to, by dotrzeć wreszcie do celu... gdy dzięki nim zrewiduje się całość... Tak, jeśli tylko Petaja pozwoli mi wyjaśnić, myślę, że w sądzie stanie się niedługo coś dziwnego.

- Rozumiem. Trzymam kciuki za ciebie - powiedziała Raili.

- Jest jeszcze coś innego - zmarszczyłem czoło. - Dopiero teraz mi się to przypomniało. Zapomniałem powiedzieć temu pracownikowi stacji benzynowej, żeby do posiedzenia sądu trzymał tę wiadomość tylko dla siebie... Trzeba do niego zadzwonić. *

Raili szybko wstała:

- O takich sprawach nie mówi się przez telefon. Pozwól, że ja pójde ostrzec tego człowieka, a ty tymczasem idź do przewodniczącego Petaja. Mnie również uwierzy. Przecież przedstawiłeś mnie jako swoją sekretarkę.

Zerknąłem na zegarek.

- Dobrze... Pozdrów go i powiedz, że nie pożałuje, jeśli będzie milczał. A po drugie... może zginąć, jeżeli zbyt wcześnie otworzy usta.

Raili zerknęła na mnie ostro: - Chcesz powiedzieć...

Skinąłem głową. Odpowiedziałem twardo. - Ten yzna to świadek koronny. Prawdziwa gwiazda wśród świadków... dla nas. Tylko że istnieje ktoś, kto najchętniej widziałby tego człowieka w trumnie.

Raili westchnęła.

- Ten ktoś nie będzie się wahał - dodałem. - Przekonaliśmy się już o tym. Więc nie napędź strachu temu na stacji. Zdenerwowany nie zechce zeznawać w sądzie. Wystarczy," jeżeli powiesz, że milczenie jest absolutnie konieczne.

- Powiem mu to. Nie martw się, zrobię tak, że uwierzy i nie będzie bał się niczego.

- Dobrze. - Znowu zerknąłem na zegarek. - Czy zdążysz wrócić do piątej? Mamy jeszcze dużo do omówienia.

- Naturalnie.

Głos Raili był znowu taki jak poprzednio, spokojny. i rzeczowy. Kiwnąłem jej ręką i poszedłem załatwić swoją sprawę.

Było prawie kwadrans po piątej, gdy wróciłem. Raili już była na miejscu. Byłem pełen entuzjazmu i kiedy zobaczyłem ją w pokoju siedzącą przy biurku, zawołałem już z daleka:

- Sprawa załatwiona! Raili podniosła wzrok.

- Czyżby? - Głos miała dziwny.

- Petaja najpierw wygłosił kazanie o etyce procesu sądowego, a gdy udało mi się wyjaśnić o co chodzi, zaklął sobie zdrowo. A może nie chciał jak to zazwyczaj wszyscy flegmatycy, dać mi do zrozumienia, że mam strasznie bujną fantazję. W końcu jednak zaczął się zastanawiać.

- Czyżby?

- Zgodził się.

- Czyżby? - Głos Raili wyrażał nieufność.

- Nie będzie mi w sądzie przerywał. Mogę mówić swobodnie, przedstawić wszystkie dowody... i wtedy się zacznie.

- Czyżby?

Przyjrzałem się uważniej Raili. - Co cię gnębi? Nie umiesz nic innego mówić jak tylko „czyżby”? A jak tobie się udało? Co ci powiedział ten pracownik stacji benzynowej?

- Nie spotkałam go.
- To gdzie on jest?
- Jego zmiana skończyła się o szesnastej.
- Mogłaś go odszukać w mieszkaniu.

- I tam byłam. Mieszka na Tempelikatu 2A. To na wypadek, gdybyś chciał pójść tam sam. Nie było go w domu.

Zmarszczyłem czoło. Zacząłem już coś podejrzewać, ale odrzuciłem to. Żyjemy przecież w Helsinkach, a nie w jakimś tam Chicago. Znowu popatrzyłem na Raili. Mocno zarysowana szyja była prosto osadzona nad łagodnym wycięciem bluzki, tak prosto, że głowa przechylała się lekko do tyłu. Zawsze miękko zarysowane usta nie miały teraz przyjemnego wyrazu. Odniosłem wrażenie, że Raili przygryzła wargi. W ogóle miała minę skrzywioną.

- No co? - zapytałem. - Martwisz się, że nie załatwiłaś sprawy?
- Nie - ucięła krótko.

Zacząłem się denerwować. Myślałem, że przybiegłem jako zwycięzca do finiszu, z masą dobrych nowin w kieszeni. Usunąłem z drogi ostatnie przeszkody i triumf już mgliście rysował się w przyszłości. Raili powinna była uśmiechać się... właśnie. Nawet wyobrażałem sobie, że w przyływie entuzjazmu mogę objąć ją wokół cienkiej talii.

Teraz jej demonstracyjny chłód jest gotowy zepsuć wszystko. Już jej szybkie, wściekłe spojrzenia były jak kropla trucizny w dzbanie radości.

- Co tu się, do diabła, dzieje? - burknąłem. - Nie wiedziałem wcześniej, że panna jest taka zmienna. Dopiero co pełna czułości, a teraz jak posąg lodowy.

- Najlepiej będzie, jak sobie znajdziesz inną czułą pannę - odparła złośliwie.

- Co takiego?

- To idź i zobacz, co za paczka leży na biurku. Teraz dopiero zdziwiłem się. - O jakiej cholernej paczce mówisz?

RaiM westchnęła i otworzyła usta. Mówiła szybko i z wymówką w głosie:
- Mówię o paczce, którą przed chwilą przyniosła tutaj pewna kobieta. Rzecz oczywiście mnie nie dotyczy, ale mogą powiedzieć, że wiosna jej życia przypadła na początek tego stulecia... chyba z pięć piżmowców musiało użyć zapachu jej perfumom... wypacykowała sobie tę pomarszczoną twarz, z myślą, że jest piękna i pociągająca, i trajkotała bez przerwy, że ta paczka jest osobista... i w ogóle wyrażała się o tobie jak zakochana i bardzo dobra znajoma.

Stałem ogłupiały i patrzyłem na sekretarkę. Nie zrozumiałem o czym mówi, ale zdawało mi się, że coś ważnego.

- Czy jesteś zazdrosna? - zapytałem powoli. Nastrej momentalnie stał się dziwnie radosny, ale nie trwało to długo. Oczy Raili błysnęły. Jednym spojrzeniem zmierzyła mnie od stóp do głów i odezwała się lodowatym tonem:

- Bardzo zazdrosna. A dlaczego by nie, jeżeli moim szefem jest taki wysoki, mocny i muskularny osobnik. Słaba kobieta może tylko zawyć ze szczęścia.

Wpadam czasem we wściekłość. Słyszając słowa Raili, zirytowałem się. W ogóle nie lubiłem, aby mówiono o moim wyglądzie zewnętrznym. A przede wszystkim nie mogłem darować, że usłyszałem ironiczny ton w tej niepoehlebnej ocenie właśnie z ust Raili.

Czułem jak blednę z wściekłości i robię marsową minę. Przez chwilę byłem tak rozdrażniony, że nie potrafiłem nawet zebrać myśli. Wpadłem do swojego pokoju, ale tam przywitał mnie odurzający zapach piżmowca i całkiem straciłem panowanie nad sobą.

Raili mówiła prawdę.

Na moim biurku naprawdę leżała paczka. Sądząc po rozmiarach zawierała dużą książkę lub bombonierkę. Papier opakowania był niegustownie pstrokaty, a na nim ktoś nabazgrał prymitywnie, jak kura pazurem, moje nazwisko. Na papierze dużymi literami napisano słowa „ściśle osobiste”. Słowa były w dodatku podkreślone na czerwono.

Kląłem z irytacji, a jednocześnie nie wiedziałem, co mam o tym myśleć. Wiedziałem tylko tyle, że do kręgu moich znajomych nie należało takie wypacykowane straszdyło, jakie przed chwilą z takim znanstwem opisała Raili. Wiedziałem, że to jakiś diabelski wyglup, jakiś złośliwy dowcip. Jedno było pewne, mianowicie to, że jakaś perfidna osoba tym oryginalnym prezentem popsowała moje stosunki z Raili.

Natychmiast chciałem mieć pewność, w czym rzecz, i kto się za tym kryje.

Podszedłem do biurka i chwyciłem pakunek.

Pamiętam, jak urwałem sznurek i otworzyłem paczkę. A potem pamiętam tylko oślepiający błysk i ciemność, która spadła na mnie jak ciężki, gorący kaptur.

19

Mleczne światło zafalowało przede mną, jednocześnie zdawało mi się, że unoszę się w górę. Z początku pomyślałem, że światło dochodzi przez szpary pod powiekami. Usiłowałem otworzyć oczy, żeby lepiej widzieć. Ale oczy miałem otwarte. Światło rozjaśniało się, lecz nie było oślepiające. Zaczęły się wyłaniać kontury. Z początku fruwały i chwiały się, w chwilę potem stanęły z wolna w miejscu. Wkrótce drżenie ustało.

Zobaczyłem przed sobą twarz Raili.

Właściwie najpierw zobaczyłem jej oczy. Były szare i bezpieczne, ale nienaturalnie wielkie, ich wyraz był zatroskany i niespokojny.

Usiłowałem coś powiedzieć. Dopiero wtedy zauważyłem, że mam sucho w ustach. Jednocześnie w głowie zaczęło mi łupać, poczułem w środku męczącą falę wymiotów. Stsirałem się odwrócić głowę, ale nie udało mi się.

- Nie ruszaj się, kochany... leż spokojnie...

Głos Raili podziałał jak balsam. Zauważyłem, że w pokoju była jeszcze jedna osoba: mężczyzna w białym fartuchu, który przyglądał mi się nieruchomym wzrokiem. Nie był aż tak zaniepokojony jak Raili. W jego oczach

wyczytałem, że jest zainteresowany jako lekarz.

Oprzytomniałem i zacząłem sobie wszystko przypominać.

Paczka wybuchła mi prosto w oczy. Prawdopodobnie jestem w szpitalu. Powoli myśli rozjaśniły się. Zapytałem wyczerpany:

- Jaki dziś jest dzień? - głos zabrzmiał w uszach słabo i bezdźwięcznie.

Raili i lekarz zamienili długie spojrzenia. Lekarz powiedział uspokajająco: - Dzień nie ma tu nic do rzeczy. Musi pan najpierw trochę poleżeć... Jest pan tutaj bezpieczny... Niech pan unika rozmów. Konieczny jest spokój.

- Jaki dziś dzień? - nalegałem. - Czy ten sam?

Raili zrozumiała mnie. - Tak, ten sam dzień. Jest ósma wieczór.

Lekarz znowu włączył się do rozmowy: - Pan nie powinien mówić.

- Co mi jest? - zapytałem go.

- Tylko lekki wstrząs mózgu... Twarz też trochę poparzona. Brwi i rzęsy spaliły się, nic więcej.

Czy nic więcej, zastanawiałem się. Czułem na twarzy opatrunek. Poczulem też coś innego. Złe samopoczucie poprawiło się właśnie nieco i zacząłem raptem myśleć tak jasno, że zdziwiło mnie, czy wstrząs mózgu nie wyszedł mi na dobre. Głowa była jak zegar, którym potrząsnięto, ale jego części dzięki temu zaczęły chodzić szybciej niż zwykle. Potrafiłem myśleć jednocześnie o kilku sprawach.

Powiedziałem do lekarza: - Proszę mi pozwolić pomówić z moją sekretarką w cztery oczy.

Mężczyzna pokręcił niezdecydowanie głową.

- Tylko parę minut - powiedziałem prosząco.

- To zaraz i policja chciałaby pana przesłuchać - zauważył. - Na razie odrzuciłem ich prośbę.

- Nie mam nic do przekazania policji. Ale mam niezwykle ważną sprawę do mojej sekretarki. Tylko kilka minut, panie doktorze...

- Niech będzie. Wrócę zaraz i dam panu zastrzyk na uspokojenie. Pośpi pan dobrze i rano może pan dłużej porozmawiać.

Lekarz odwrócił się i zniknął z pola widzenia. Lekkie stuknięcie drzwi oznaczało, że wyszedł z pokoju. Jednocześnie Raili westchnęła:

- Ach, Matti. Jestem taka nieszczęśliwa, taka zła na siebie... Powinna być dbać o ciebie... być nieufna wobec tej paczki i jej doręczycielki... uprzedzić ciebie. Ale byłam taka... taka... taka...

- Zazdrosna? - podpowiedziałem. Usiłowałem się uśmiechnąć, ale kąciki ust mnie piekły.

Raili patrzyła na mnie dużymi, szarymi oczami, była tak blisko. Widziałem, jak lekkie rumieńce pokrywały jej twarz. Odpowiedziała zadziwiająco szczerze i bez wykrętów:

- Tak było właśnie.

Momentalnie przestała mnie boleć głowa.

- Jezu - powiedziałem. - Właśnie zacząłem odzyskiwać przytomność. Zanim ten doktor tutaj wróci, powiedz mi zaraz o paru rzeczach: czy mówiłaś o wszystkim policji?

- Opisałam tę kobietę, która przyniosła paczkę. Ale pomyślałam... że najpierw zapytam ciebie... zanim powiem więcej...

- Nic im nie powiem - powiedziałem ostro. - Niech, do cholery, szukają, od tego są detektywami. A jeżeli będą poruszać się tak gorliwie jak przy wsadzaniu do kryminału pani Einola, to czort z nimi...

- Nie klnij tak, Matti, kochany. Czy głowa cię nie boli?

Pytanie Raili było bardzo uzasadnione. Dziwna mgła zaczęła mi znowu gęstnieć przed oczami. Uczucie mdłości dawało się odczuć na dnie żołądka. Zacząłem szybko mówić, szeptem, póki nie straciłem przytomności:

- Powiesz policji, że nie mam pojęcia, kto miał powód, żeby mi przynieść tę paczkę do biura... Wiadomo, że była w niej jakaś piekielna maszyna, ale skończyło się na niewielkich stratach. My dwoje wiemy, kto za tym stoi... Swoją

drogą pospieszyli się... Skąd otrzymali „cynk” i dlaczego działali w zdenerwowaniu...? Może ten facet ze stacji benzynowej... Ale o tym później... Na razie w tym punkcie poszlaki są bardzo niepewne... Jeżeli policja się wtrąci, mogą nam wypłoszyć ptaszka... lecz jeśli im się poszczęści, cały rozgłos w wypadku powodzenia będzie ich...

Raili przytaknęła. - A czy wolno ci tak dużo mówić? ».

- Powiem tyle, ile zdążę. Sama rozumiesz, że schwywanie tej umalowanej wariatki nie wystarczy... W każdym razie ona jest tylko pośredniczką, może nawet jest niewinna.

Niezadowolenie pojawiło się na twarzy Raili. - Niewinna dziewczyna, rzeczywiście!

- Nie przerywaj. - Poczulem, jak zawrót głowy na nowo mnie ogarniał.

- Posłuchaj, trzymaj język za zębami przed policją. Wypuścimy królika z klatki dopiero w sądzie. I odszukaj tego pracownika stacji benzynowej, ale tak, aby policja o tym nie wiedziała. Wyjaśnij facetowi sytuację, że jedziemy na jednym wozie... zobacz...

Usłyszałem stuknięcie drzwi. Raili zerknęła w bok i mrugnęła do mnie porozumiewawczo. Zamknąłem usta.

- Możesz na mnie liczyć - powiedziała. - Zrozumiałam twoje polecenia.

Przede mną zaraz zjawił się lekarz. Miał strzykawkę w rękę. Odczułem lekkie ukłucie. Zapadłem w ciemność, ale tym razem było to lekkie i przyjemne zapadanie.

Następnego dnia rano byłem już całkiem przytomny. Zjadłem jakąś zupę, dostałem jakieś lekarstwa i niecierpliwie czekałem na Raili. Sprawiliśmy, że lekarz wyszedł z pokoju. Poprosiłem Raili o załatwienie mi poduszek pod plecy. Świat już się nie kręcił i zdołałem usiąść w pozycji półleżącej.

- Co z tym pracownikiem stacji benzynowej? - zacząłem z miejsca.

- Wyobraź sobie, że jest w Niemczech. Dlatego nie spotkałam go wczoraj wieczorem po zmianie. Poleciał samolotem o 18-tej.

Drgnąłem. - Kiedy wraca?

- W przyszłą sobotę.

Uspokoilem się. Spojrzeliśmy na siebie. - Posiedzenie sądu jest w poniedziałek - powiedziałem powoli. - Właściwie to dobrze się składa, bo jest teraz bezpieczny...

- Ja też o tym przed chwilą myślałam - powiedziała Raili z powagą. - I zdąży wrócić na czas - ciągnęła dalej. - Możesz być pewien, że tak czy inaczej dobrze się nim zaopiekuję w tę niedzielę, w dzień przed rozprawą.

- Czy on znowu kupuje samochód?

- Oczywiście - odpowiedziała Raili. Przypomniałem sobie, co nam mówił ten sprze* dawca benzyny. Było to zupełnie nieistotne w odniesieniu do sedna sprawy, które spoczywało we mnie niczym bomba, mogąca lada chwila wybuchnąć. Rankiem następnego dnia, po nocy kiedy to zamordowano dyrektora Patamaa, ten człowiek ze stacji w towarzystwie klienta pojechał do Niemiec Zachodnich, żeby w zakładach Daimler-Benz kupić mercedesa. Nie zdążył przeczytać gazet, a gdy po tygodniu wrócił do Finlandii, sprawa zniknęła z pierwszych szpalt. Ta jego podróż wypadła moim zdaniem w czasie nieodpowiednim, ale obecny wyjazd, przeciwnie, był wyjątkowo dobrym przypadkiem.

Morderca postanowił działać. Ja wiedziałem zbyt wiele, i już po paru godzinach miałem bombę na biurku. Jednak kluczem całej sprawy był właśnie ten pracownik stacji benzynowej. Znał prawdę, widział i słyszał...

Jego zeznania jeszcze zacisną sznur na szyi mordercy. Zakładając, że mój plan się powiedzie. I dlatego najlepsze dla świadka było to, że do czasu rozprawy przebywał za granicą. W przeciwnym razie mogło by na stacji benzynowej na rogu Lin-nankoskenkatu i Mannerheimintie dojść do wybuchu, podobnego do wczorajszego w moim biurze.

- Co robi policja? - zapytałem Raili.

- Na dole czeka paru facetów i bardzo chcą z tobą rozmawiać, naturalnie,

jeżeli lekarz pozwoli.

Uśmiechnąłem się szeroko. - Mały wywiadzik mi nie zaszkodzi. Ale to dwie różne rzeczy: kto udziela wiadomości, a kto je otrzymuje. Proszę cię, powiedz mi szybko, jak to się wszystko odbyło. Ja pamiętam tylko błysk i falę uderzenia.

Rzęsy Raili zatrzepotały. Coraz lepiej ją poznawałem i zacząłem się trochę bać, czy dusza amazonki nie okaże się zbyt tkliwa i czy Raili się nie rozplacze. Na szczęście pomyliłem się. Raili powiedziała tylko słabym głosem:

- Powtarzam jeszcze raz, że powinnam była się domyślić... Tak, domyślić się, że do kręgu twoich znajomych nie należy taka kobieta jak ta, która przyniosła paczkę... Powinnam była podejrzewać...

Chciałem przypomnieć jeszcze o zazdrości, ale przemilczałem to. Wczorajsza krótka chwila była jak senne widziadło i nie miałem już powodu do aluzji. W świetle poranka Raili wydawała się znowu rzeczowa, opanowana i... nieuchwytna. Dlatego też zapytałem spokojnie:

- Kiedy przyniesiono tę paczkę?

- Niedługo przed twoim powrotem do biura. Ja wróciłam wcześniej.

- A ta kobieta? Jak wyglądała?

- Hm... przecież wczoraj ci ją opisałam. Co prawda, byłam wtedy trochę podenerwowana...

- Proszę zrób to jeszcze raz, ale wolniej.

- Miała ponad pięćdziesiątkę. Postaram się* opisać ci ją tak samo, jak wczoraj policji. Ogólnie zrobiła na mnie śmieszne wrażenie. Była jedną z tych kobiet, które nie umieją starzeć się z godnością, i stosują tym więcej pudru, różu i innych specyfików, im więcej przybywa im zmarszczek, a ciało bardziej wiotczeje. Krótko mówiąc, była tak jaskrawo wypacykowana, że przypominała kłowna w cyrku.

- A jeżeli to miało na celu pewnego rodzaju maskowanie się?

Raili gwałtownie pokręciła głową. - Znam się na tego typu kobietach.

Ubranie miała w tym samym stylu, niegustowne, pseudomłodzieżowe. Kusy płaszczyk, raczej uczennicy, buty na wysokich obcasach, brązową torebkę i takie same rękawiczki...

.Wszystko to wyjątkowo groteskowo podkreślało jej Starczy wygląd i zmarszczki. Tak, o czym to ja jeszcze opowiadałam. Przyjrzałam się jej dokładnie, szczególnie, gdy zaczęła trajkotać o tym, jak dobrze cię zna...

Podrzuciwszy włosy, Raili opowiadała dalej: - Oczy brązowe, rozbiegane i błyszczące. Wzrost tak około 160 cm, chociaż miała mniej, biorąc pod uwagę wysokie obcasy. Nos raczej ostry, usta wąskie, trudno to nawet opisać. Chuda, pomarszczona, w ogóle okropna... nie ma w tym kobiecej zawiści czy wrogości, chociaż mówię o niej nie przebijając W słowach.

- Rozumiem - powiedziałem. - A co mówiła?

- Głos miała raczej wysoki, przenikliwy, i działający na nerwy szybki sposób mówienia. Drzwi biura były zamknięte przed jej wejściem. Zadzwoiła i gdy otworzyłam, już od progu popłynął potok słów... Chociaż najpierw obejrzała mnie od stóp do głów, odniosłam wrażenie, że z pewną wyższością i pogardą. Potem wyjaśniła, że zna cię bardzo dobrze i że jesteś niezmiernie interesującym mężczyzną, a wasze wzajemne stosunki są naprawdę bliskie. Nie pamiętam dokładnie, jakich używała słów, ale złość się we mnie zaczęła gotować. Kokietowała, gestykulowała, robiła' aluzje, jakby chciała jasno dać mi do zrozumienia, że byłeś jej kochankiem.

Chrząknąłem zakłopotany. - No, to już przesada.

- Właśnie. Krótko mówiąc, celowo mnie poniżała, podkreślając swoją wartość. Zaczynam się teraz zastanawiać, czy specjalnie nie chciała mnie zdenerwować i wyprowadzić z równowagi.

Uśmiechnąłem się: - I dopięła swego.

Raili przygryzła wargi. - No właśnie. Paczka, jak powiedziała, jest drobnym prezentem dla ciebie. Obchodziła się z nią bardzo ostrożnie, teraz oczywiście znam powód. Wtedy myślałam, że to dla podkreślenia wartości

prezentu. Nie oddała mi paczki, sama osobiście chciała ją zanieść na biurko w twoim gabinecie. Pamiętam, że w zdenerwowaniu pomyślałam nawet, że niesie w niej jakieś szczególnie delikatne orchidee. No, i poszła, a po dziesięciu minutach ty wróciłeś.

- A co się stało, kiedy nastąpił wybuch?

Raili odpowiedziała z powagą w oczach: - Bardzo się przestraszyłam, ale już w sekundę później oprzytomniałam. Dopiero teraz wszystko pojęłam. Strach i obawa raziły mnie jak grom i dzięki temu zrozumiałam swoją głupotę. Wodzone mnie za nos i usiłowano cię zabić. Natychmiast podbiegłam do ciebie. Drzwi wejściowe otworzyły się a pokój był pełen zapachu spalenizny po materiale wybuchowym. Leżałeś na brzuchu. Twarz miałeś osmaloną, a z nosa ciekła krew... Och, to było straszne...

Widziałem, jak oczy Raili zasnuły się łzami. Powiedziałem szybko:

- Nie denerwuj się, do licha. To już przeszłość. Oczywiście zaalarmowałaś policję i karetkę, i to wszystko...

- Tak. Gdy minęło oszołomienie, zaczęłam działać. Policjanci powiedzieli, że miałeś dużo szczęścia. Nie wiedzą jeszcze dokładnie, ale przypuszczają, że w paczce był zapłon elektryczny na baterię i ładunek wybuchowy. I cała ta piekielna machina była zapakowana w małą stalową ogniotrwałą kasetę... tak mówili, i ja też widziałam tę kasetę.

- Naprawdę? - zapytałem z zainteresowaniem.

Ciarki przeszły mi po plecach, gdy zrozumiałem, co mnie uratowało.

- Policja mówiła jeszcze, że za tym może się kryć...

- Żadnych nazwisk - przerwałem nagle. - Nie wiadomo, kto podsłuchuje za drzwiami.

- Nadawca paczki zrobił błąd w obliczeniach, kasetka nie rozleciała się i dlatego nie było skutków działania odłamków. Odskoczyła tylko pokrywa, a kasetka zniekształciła się, gdy wybuchł ładunek.

Roześmiałem się ironicznie: - To znaczy, że pomysł wzięto z wypadku

Kilo Trasmosa, który wydarzył się parę lat temu. Tylko że nie każdy jest specjalistą. No, tak. Zdążę jeszcze bardziej szczegółowo omówić to z policją. Czy biuro jest bardzo zniszczone?

Raili odpowiedziała z zatroskaną miną: - Oczywiście, panuje tam bałagan.

- Jeszcze mi za to zapłacą - powiedziałem poważnie. - Jedna rzecz mnie tu martwiła. Skąd morderca wiedział, że tak szybko należy działać?

Raili zmarszczyła brwi. - O tym samym pomyślałam. Może widział naszą wizytę na stacji benzynowej? Może ten pracownik stacji po naszych odwiedzinach nieświadomie mówił o tej sprawie? Niedobrze, że właśnie teraz jest w Niemczech, nie możemy go o to spytać.

- Jest cholernie dobrze, że on tam chwilowo przebywa - poprawiłem. - Zdążymy go jeszcze o to zapytać - po czym dodałem powoli i proroczo:

- Nadejdzie jeszcze dzień zapłaty... Tak przecież śpiewa się w jakiejś pieśni. Mówiąc szczerze, będzie to dziwny dzień.

20

W ciągu tygodnia wyzdrowiałem zupełnie. Widoczne spalone brwi i rzęsy dodawały mojej twarzy coś szczególnego, ponieważ na sali sądowej rzucano w moim kierunku ciekawe spojrzenia. Nawet dziennikarze lustrowali mnie dokładnie.

Próba zabójstwa mojej osoby wywarła spore wrażenie. I chociaż odmówiłem prasie wszelkich komentarzy na ten temat, wypadek jednak wyraźnie łączono z procesem sądowym, dotyczącym zamordowania Patamaa. Sytuacja raptem zmieniła się zasadniczo. Pani Einola, chroniona w celi więziennej, w żaden sposób nie mogła przekazać mi tych niebezpiecznych dla życia „pозdrowień”. Miała gwarancję niewinności, jeśli chodzi o próbę zabicia mnie. W związku z tym zaczęto powątpiewać, czy oskarżenie jej o zamordowanie Patamaa w ogóle miało podstawę.

Dziennikarze słusznie uznali mnie za obrońcę, którego ktoś z zewnątrz usiłował wyłączyć dlatego, że chyba wiedziałem za dużo. Sprawilo to, że byłem

w centrum zainteresowania.

Przewodniczący Petaja wzywał właśnie na rozprawę do sali sądowej ogłaszając, że nastąpią zmiany we wstępnych formalnościach, nie mające zresztą wielkiego znaczenia. Spojrzał na mnie.

Atmosfera na sali zgęstniała jeszcze bardziej.

Skłoniłem się przewodniczącemu sądu. Wyczytałem ze spojrzenia Petaja, że ma zamiar dotrzymać danego mi przyrzeczenia. Wobec tego mogłem wypowiedzieć się bez jego wtrąceń, nie przestrzegając pewnych formalności.

Odchrząknąłem i rzekłem:

- Poproszę, żeby jeszcze raz na świadka wezwano agrologa Olli Valteri Sistonena.

Pióra w ręku dziennikarzy zaskrzypiały. Petaja nacisnął dzwonek. Sistonen wszedł.

- Składał pan przysięgę już wcześniej w toku tego procesu - powiedział przyjaźnie przewodniczący Petaja. Ale przyjaźni jakoś nie było widać w jego oczach. Patrzył na Sistonena badawczo, lekko ściągając brwi, po czym dodał: - Nie trzeba składać nowej przysięgi, poprzednia jednak bezwzględnie zobowiązuje pana do mówienia prawdy. Obowiązują także wszystkie związane z przysięgą sankcje karne. Rozumie pan?

- Oczywiście, proszę Wysokiego Sądu. - Sistonen patrzył na Petaja, jakby zdziwony spokojnym, pouczającym tonem przewodniczącego.

Petaja zwrócił się do mnie: - Proszę bardzo, mecenasie Viima.

Sistonen odwrócił się w moją stronę. Promyk słońca, który zajrzał do sali sądowej, sprawił, że jego rdzawobrazowe, ciasno skręcone kędziory mieniły się czerwonym kolorem. Stał wyprostowany w schludnym ubraniu i patrzył na mnie bez lęku. Wyglądał jak wzór prawdomównego świadka. Nie biorąc pod uwagę włosów, które mnie drażniły, musiałem stwierdzić obiektywnie, że masywny, z szerokimi ramionami, zdecydowanymi rysami twarzy i dużymi błyszczącymi oczami był dość interesującym mężczyzną.

- Proszę, aby pan myślami powrócił - zacząłem - raz jeszcze do tego momentu, gdy na polecenie dyrektora Patamaa, w noc morderstwa jechał pan samochodem do mieszkania pani Einola, na Lastenlinnantie.

Sistonen skinął głową.

- Czy widział pan z samochodu, jak Patamaa rozmawiał z panią Einola przez domofon?

- Przypadkiem widziałem. To znaczy, nie śledziłem ich, ale samochód stał w pobliżu, a ja siedziałem za kierownicą.

- Dobrze. Więc pani Einola wyszła z domu?

- Tak.

- I wsiadła do samochodu?

- Tak.

- Usiadła na tylnym siedzeniu obok Patamaa?

- Tak.

- Na tylnym siedzeniu mówiono o ważnych sprawach. Pan jednak twierdzi, że nie słyszał rozmowy?

Sistonen poprawił: - Powiedziałem, że słyszałem tylko pojedyncze słowa, ale na ich podstawie nie mógłbym odtworzyć całej rozmowy.

- Ach tak. - Wpatrywałem się w Sistonena uważnie. - Czy udało się panu wśród tych pojedynczych słów usłyszeć słowo „testament”?

Sistonen przecząco pokręcił głową: - Nie.

- I nie słyszał pan, że Patamaa obiecał utrzymać w mocy testament sporządzony na korzyść pani Einola?

- Nie. Nie wiedziałem o tym.

Musiałem w tym momencie ostrożnie dotknąć panią Einola. Ponieważ prowadziłem przesłuchanie na stojąco, dotknąłem bokiem jej ramienia. Zamknęła nagle usta, która już otworzyła.

- Dobrze - ciągnąłem dalej. - Po tym pojechaliście na Kaisanniemi. Mówił pan przedtem, że pojechaliście tam bezpośrednio, bez przystawania. Czy tak?

- Oczywiście.
- Niech pan się jeszcze raz zastanowi..

Sistonen zwilżył językiem wargi.

- Pojechaliśmy prosto do Kaisanniemi.

Zainteresowanie sali osiągnęło szczyt. Instyktownie czułem na karku spojrzenia. Odwróciłem się w kierunku siedzącego w kącie oskarżyciela Karlssona i oznajmiłem:

- Żądam postawienia tego świadka w stan oskarżenia za składanie przed sądem nieprawdziwych zeznań, co jest niezgodne z przysięgą.

Karlsson drgnął. Jego gęste brwi uniosły się, wrzasnął zdenerwowany: -
Va sa...? Fbrlat... to znaczy, przepraszam, co pan powiedział?

- Żądam natychmiastowego ukarania tego świadka za krzywoprzysięstwo. A teraz poproszę, aby na chwilę usunąć go z sali. Jednocześnie proszę, żeby w poczekalni przypilnował go policjant. Nie może zniknąć z budynku sądu.

Moje stanowcze słowa padały w napiętą atmosferę sali sądowej. Widziałem, jak Sistonen skrzywił się i otworzył usta. Ale Petaja prędko zadziałał. Wydał krótkie dyspozycje. Woźny sądowy odprowadził Sistonena na korytarz. Widziałem przez otwarte drzwi, jak niebieski mundur policjanta błysnął obok niego.

Zabrałem głos:

- Powołuję na świadka nocnego pracownika stacji benzynowej, Edvarda Rikharda Lind.

- Świadek Lind - wezwał spokojnie Petaja, biorąc zarazem z moich rąk dowód osobisty nowego świadka.

Woźny znikł. Drzwi otworzyły się i do środka wszedł mężczyzna koło trzydziestki. Był ubrany w kombinezon z emblematem znanego koncernu naftowego nad górną kieszenią. Świadek Lind miał jasne włosy ostrzyżone na jeża i podłużną, opaloną twarz. Na sali zadudniło, gdy stawiał wielkie kroki.

Złożył przysięgę i odwrócił się do mnie. Na jego twarzy malował się kamienny spokój.

- Wszystko notować do protokołu - zarządził Petaja przyciszonym głosem. Jasnowłosa protokolantka trzymała ołówek w pogotowiu.

Zacząłem pytać:

- Czym pan się zajmuje?

- Jestem nocnym sprzedawcą benzyny na stacji obsługi samochodów znajdującej się na rogu Linnan-koskenkatu i Mannerheimintie.

- Czy miał pan zmianę w nocy 13 kwietnia?

- Tak. Od północy do szóstej rano.

- Proszę nam opowiedzieć, co się stało na stacji około godziny 2.10?

Świadek chrząknął. Zaczął mówić, z początku trochę sztywno i dobierając słowa, po jakimś czasie płynnej:

- Przed stację zajechał czarny buick super. Prowadził go rudawy mężczyzna z odkrytą głową. Mógł mieć koło czterdziestki. Na tylnym siedzeniu siedziały dwie osoby, mężczyzna i kobieta. Mężczyzna był w starszym wieku.

- I co było dalej? - zapytałem zachęcająco.

- Kierowca wyszedł z samochodu. Wszedł na stację przez dyżurną kabinę i poprosił o benzynę. Poprosił o pełny bak. Jednak ze zdziwieniem odkryłem, że w baku zmieści się tylko pięć litrów. Tam były już, biorąc pod uwagę wielkość samochodu i jego zbiorników, dziesiątki litrów.

- Proszę mówić dalej.

- Wydało mi się to dziwne. Zamierzałem zapytać kierowcę, czego on właściwie chce, ale nie znalazłem go koło samochodu. Zauważyłem, że pozostał w dyżurnej kabinie i rozmawiał przez telefon. Widziałem go dobrze, bo kabina jest ze szkła i oświetlona. Dookoła było ciemno.

- W porządku. Proszę dalej.

Brwi świadka Linda poruszyły się. - Mężczyzna nie zapytał mnie wcześniej, czy może skorzystać z telefonu. Zdenerwowało mnie to. Zacząłem

się bać o kasetę z pieniędzmi, która była w dyżurce. Cicho zakradłem się, dlatego cicho, że przyszło mi do głowy sprawdzić, co to za facet z tego kierowcy. Zatrzymałem się na progu za plecami mężczyzny i podsłuchiwałem, co mówi do telefonu.

- I co mówił?

- W całości sprawa jest dla mnie niejasna, ale zapamiętałem szczególnie dobrze niektóre zdania.

- Proszę je powtórzyć - powiedziałem. Foczu-łem, że atmosfera sali sądowej gęstnieje.

Świadek Lind spełnił moje żądanie:

- Słyszałem, jak mężczyzna wypowiedział następujące słowa: „Sprawa wróciła do punktu wyjścia. Usłyszałem to przed chwilą. Testament pozostaje w mocy. Stary nie żartuje, zapewnia o swojej wierności i miłości. Nawet diabeł nic tu nie pomoże...”

Świadek przestępował z nogi na nogę. W sali panowała śmiertelna cisza. Lind opowiadał dalej:

- Mężczyzna mówił dalej przez telefon. Był bardzo zdenerwowany, mówił cicho, ale to słyszałem na pewno: „Wykonamy pierwotny plan. To trzeba zrobić zaraz. Dziadzius może kipnąć lada dzień. W tej chwili jest świetna okazja, wspaniała, może to nasza jedyna szansa. Stary kazał jechać do parku Kaisanniemi. Tam jest cicho i pusto...”

Świadek wciągnął powietrze. Widziałem, jak przewodniczący Petaja patrzy uważnie spod przymrużonych powiek, słyszałem w ciszy sali uderzenia własnego serca.

Lind ukradkiem zerknął na dziennikarzy, po czym mówił dalej:

- Słyszałem jeszcze, jak mężczyzna mówił dalej do telefonu: „Ty, kochana, zdążysz do Kaisanniemi za pięć minut. Przygotuj wszystko i niech ci nie zadrży ręka. Ja nie mogę brać w tym udziału, bo muszę być na widoku, kiedy rozlegnie się strzał. Ten cholerny Viima to nie taki tępy facet. A kiedy

będzie już po wszystkim, zaraz zapytają, kto gdzie był... Do diabła, nie tłumacz się teraz i nie wahaj. Przecież to ty wszystko od początku zaplanowałaś, ty to organizujesz. Najważniejsze jest DZIAŁANIE. Po tym wszystko potoczy się tak, jak zaplanowaliśmy...”

Słowa świadka w ciszy sali brzmiały jak uderzenia. Poczulem, że wyszło mi w gardle, chociaż całą sprawę znałem już wcześniej. Rozglądając się widziałem wszędzie osłupiałe twarze.

- A potem? - zachęcałem cicho.

- Mężczyzna odłożył słuchawkę. Rozmowa wydawała mi się tak dziwna, że nie pokazałem się. Schowałem się w cieniu warsztatu. Tymczasem on odwrócił się i wyszedł z dyżurki. Przeszedł koło mnie w ciemnym warsztacie, ale mnie nie zauważył. Wyszedłem z drugiej strony, podszedłem do samochodu i wlałem pięć litrów benzyny. Mężczyzna zapłacił i dał mi niewielki napiwek. Nie za dużo, żeby nie zwracać uwagi, w stal raz. Potem samochód odjechał.

Na sali sądowej zaległa cisza. Słyszałem tylko świszczący oddech kogoś siedzącego blisko.

Przewodniczący Petaja zapytał skrzekliwym głosem:

- Proszę świadka, czy z tych słów nie wywnioskował pan, że planuje się ponure przestępstwo? Dlaczego natychmiast po ukazaniu się wiadomości o tym w prasie nie poszedł pan na policję, żeby wszystko opowiedzieć?

Lind skłonił się panu Peta ja i odpowiedział: - Proszę Wysokiego Sądu. Przede wszystkim nie dowiedziałem się o tym z prasy. Może to było następnego dnia w popołudniówkach, lecz ja rano tego samego dnia wyjechałem do Niemiec i przebywałem tam ponad dwa tygodnie. Po moim powrocie w gazetach nie pisano już o tym.

Kiedy Petaja zmarszczył brwi, Lind z przekonaniem w głosie mówił dalej:

- Proszę zwrócić uwagę, że telefonujący mężczyzna nie używał, na przykład, słowa mord. Tym bardziej nie wymienił słowa broń czy coś takiego.

Sprawa według mnie była niejasna. Skłonny by-” łem raczej przypuszczać, że to jakiś żart... czy może szyfr... taka sobie gadka. Pomyślałem o telefonie na policję, ale obawiałem się, że mnie wyśmieją. I, tak zaznaczyłem, wyjazd do Niemiec wszystko pokrzyżował...

- No, tak - mruknął Petaja. Patrzył na świadka tak, jakby jego wyjaśnienie było niezgodne z prawdą. Przynajmniej z jego opieszalych ruchów tak właśnie można było sądzić.

Szybko zabrałem głos:

- Panie Przewodniczący, czy mogę kontynuować przesłuchanie świadka?

- Proszę bardzo.

- Nie mówił pan policji o całej sprawie - zwróciłem się do Linda. - Ale opowiedział pan to mnie, gdy domyślając się czegoś przyszedłem do pana na rozmowę.

- Tak jest, panie mecenasie.

- Dobrze. Mam do pana pytanie. A nawet parę pytań. Czy pamięta pan numer rejestracyjny tego buicka?

- Tak, panie mecenasie. Nie pamiętam żadnych liter, oprócz tego, że miał znaki prowincji Uusimaa. Ale cyfry miał jeden-jeden-jeden. To znaczy trzy jedyńki... sto jedenaście.’

- Dlaczego pan zapamiętał tak dobrze ten numer?

- Dziwne zachowanie mężczyzny zaciekało mnie. I taki nieskomplikowany numer jest łatwy do zapamiętania.

- Dobrze. Następne pytanie. Czy rozpoznałby pan tego mężczyznę, gdyby go teraz tutaj wprowadzono?

- Na pewno. Właśnie widziałem go tutaj w poczekalni.

- Chwileczkę - powiedziałem ostro. - W porządku. Proszę poprosić znowu Sistonena na salę.

Przewodniczący Peta ja nacisnął dzwonek. Sisto-nen wszedł. Spojrzenia wszystkich dopadły go już W drzwiach. Zdawał się odczuwać zmianę w

atmosferze sali.

Powiedziałem do Sistonena.

- Proszę stanąć przed tym świadkiem.

Twarz Sistonena była napięta. Szczęki poruszały się, choć nic nie gryzł. Ujrzawszy przed sobą pracownika stacji, zamrugał i nagle otworzył usta. - Teraz coś sobie przypominam...

- Zbyt późno - powiedziałem oziębło. Zapytałem świadka Linda:

- Czy to jest ten sam mężczyzna?

Lind przyglądał się Sistonenowi tylko parę sekund, po czym odpowiedział stanowczo.

- Tak. Właśnie ten sam.

- Na pewno się pan nie myli?

- Na pewno - powiedział świadek dobitnie. Teraz Sistonen otworzył usta.

Nie mógł zapanować na swoim głosem. Krzyknął:

- Ależ tak, rzeczywiście, zapomniałem o tym drobnym szczególe!

Skręciliśmy na stację benzynową...

Wtrąciłem drwiąco:

- Skręciliście, żeby dolać - do pełnego baku nieszczęsne pięć litrów benzyny. Wiemy o tym bardzo dobrze. W dodatku znamy prawdziwy powód zbiegania z drogi. Musiał pan natychmiast zadzwonić do swojego pomocnika i zaalarmować go, żeby szybka z pistoletem w ręku znalazł się w parku Kaisanniemi.

Sistonen głośno wciągnął powietrze.

- Na Boga, nie rozumiem, o czym pan w ogóle plecie!

Byłem spokojny i pewny siebie. Podeszedłem wolnym krokiem do Sistonena i stanąłem przed nim. Zmierzyłem go od stóp do głów. Na sali panowała cisza. Sistonen odpowiedział na moje spojrzenie wyzywająco i zaczepnie. Nie należał do bojaźliwych. Tylko ciągłe drżenie policzków zdradzało, w jakim jest naprawdę stanie.

- Twierdzi pan - pytałem z uporem - że nie telefonował pan do nikogo ze stacji benzynowej?

Sistonen krzyknął:

- Właśnie tak twierdzą! To jest, do diabła, szczerą prawdą! Tak jak to, że niebo jest nad nami.

- Ostrożnie, żeby panu niebo na kark nie runęło - ostrzegłem cicho. - Nadszedł czas mówienia całej prawdy.

Sistonen otworzył zaciśnięte usta, a z jego gardła wydobył się wyraźnie udawany śmiech. W niezwykle napiętej atmosferze sali ten chichot zabrzmiał groteskowo i nieprzyzwoicie.

- Niech mnie pan posłucha, panie mecenasie - powiedział. Nie wrzeszczał, starał się mówić bardzo spokojnie. Nawet próbował nadać swojemu głosowi pogardliwy ton. - Jeżeli pan mecenas stara się tym razem zrobić ze mnie mordercę, to rozumiem pana zapal. Coś pan musi za to honorarium mówić. A gdy jeszcze weźmiemy pod uwagę, jak żałośnie skończyły się pana wcześniejsze usiłowania w czasie tego procesu...

- Te nie skończą się żałośnie - powiedziałem. Udawana ironia Sistonena nie uraziła mnie.

- Ach tak - odpowiedział Sistonen. Odzyskał opanowanie i przyglądał mi się lekko przekrzywiając głowę. - Pan mecenas chyba zapomniał o tym, że stałem, trzymając ręce w kieszeniach, bardzo daleko od miejsca przestępstwa? Potwierdziły to liczne osoby.

- Nie zapomniałem o tym. Twierdzą, że strzelał pana pomocnik, któremu wydał pan przez telefon odpowiedni rozkaz.

Sistonen uniósł brwi. Zaśmiał się znowu, teraz już bardziej naturalnie.

- Pomocnik? Mój pomocnik? W takim wypadku należałoby wymienić nazwisko i skończyć tę nie trzymającą się kupy pustą gadaninę.

- Dobrze, zrobię to - * powiedziałem. Zerknąłem na przewodniczącego Petaja. Kiwnął lekko głową na znak, że rozumie. Nie będzie mi przerywał,

gdybym nawet mówił długo. A zamierzałem mówić naprawdę długo. Chciałem przedstawić całą sprawę od samego początku. Bałem się jednak wysokiej stawki. Miałem w ręku jeszcze karty, które będą przegrane, jeśli Sistonen nie zrobi błędu, na który czekałem. W tym kraj'u nie skazuje się za jakieś niejasne słowa, wypowiedziane przez telefon.

Do tego, aby wszystko skończyło się po mojej myśli, brakowało jednego nazwiska, które było nazwiskiem sprawcy.

I tylko Sistonen wiedział, kto to był.

Oparłem się lekko o pulpit. Nawet na moment nie spuszczałem wzroku z Sistonena.

- Mamy tu do czynienia z dość zaskakującym planem perspektywicznym. Zadziwia jego okrucieństwo i brak wszelkich uczuć, a także swoista fantazja i zdolność przewidywania.

- Palę się z ciekawości - zauważył Sistonen. Wzruszył ostentacyjnie ramionami i uśmiechnął się. Uśmiech był udawany, ale jego cel zupełnie wyraźny. Zamierzał pokazać, że nie przywiązuje do mo-, jego wystąpienia żadnego znaczenia, że nic go ono nie obchodzi.

Peta ja powiedział ostro:

- Panie Sistonen. Biorąc pod uwagę rolę, jaką odegrał pan w przedstawionych wydarzeniach, zrobiłby pan mądrzej, nie przerywając mecenasowi Viima.

Sistonen odwrócił się w kierunku przewodniczącego sądu, przyglądając mu się.

- Czy Wysoki Sąd uważa, że mam nic nie mówiąc wytrzymać ten cyrk?

Brwi PetajS złączyły się u nasady nosa:

- W odpowiednim czasie będzie pan mógł zabrać głos. Może pan wtedy wiele wyjaśnić. u - Jak Wysoki Sąd sobie życzy - powiedział Sistonen.

Sistonen odwrócił się do mnie. Jego oczy świdrowały mnie. Ciągnąłem dalej spokojnie:

- Aby wyjaśnić tę sprawę całkowicie, muszę cofnąć się wstecz dość daleko. Chciałem przede wszystkim zbadać przeszłość pana Sistonena. Bardzo się namęczyłem, aby mieć we wszystkim jasność. Pan Sistonen wkroczył na drogę życiową dość dobrze zabezpieczony. Jego dom rodzinny nie był biedny, chociaż i niezbyt majątny...

Zerknąłem na sekretarkę. Pamiętałem, jak oczarowana objaśnieniami Sistonena, pomyliła się, popierając go i twierdząc, że bieda nie jest żadnym wstydem. W rzeczywistości dom rodziny Sistonena był średnio zamożnym gospodarstwem chłopskim.

Raili instynktownie wyczuła mój wzrok i zgadła, co miałem na myśli. Wzruszyła lekko ramionami, krągło i delikatnie zarysowanymi pod nylonową bluzką. Znacząco zmrużyła jedno oko, ale nie uśmiechnęła się.

Wszyscy siedzący na sali sądowej zachowywali powagę.

- Pan Sistonen został studentem wiosną 1940 roku - mówiłem. - Walczył w wojnie 1941 roku jako chorąży rezerwy, będąc dowódcą oddziału. Prawdopodobnie nie walczył źle, ale jest to jedyny plus dla pana Sistonena. Jestem gotów, chwalić go mocno, podkreślić, że już w młodości był nieustraszoną i logicznie myślącym człowiekiem, jak przystoi dobremu żołnierzowi.

Kark Sistonena drgnął. Rzucił mi nic nie mówiące spojrzenie.

Mówiłem dalej:

- Przestępstwo, którego sposób i przebieg zaraz wyjaśnię, wymagało również chłodnego umysłu i żelaznych nerwów. Sistonen nadawał się więc do takiej sprawy...

Teraz oskarżyciel Karlsson wtrącił z kąta: - Za pozwoleniem Wysokiego Sądu, pozwolę sobie za u ważyć, że Sistonena jak dotąd o nic nie oskarżano i nie sądzono. Dlatego zachęcam mecenas Viima do używania grzeczniejszych form językowych.

- Proszę oskarżyciela o spokój - mruknął Pętają. Przejrzał moją taktykę.

Zacząłem przypiekać Sistonena na wolnym ogniu. Decydujący punkt mojego wystąpienia opierał się właśnie na niczym i tylko od nerwów Sistonena zależało, czy uda mi się zbić go z tropu i czy wyjawí pomocnika.

Jeszcze raz uniosłem brwi i spojrzałem ze zdziwieniem na oskarżyciela, po czym ciągnąłem dalej łagodnym tonem.

- Wojna się skończyła i Sistonen powrócił do cywila jak wielu innych. Ale teraz okazało się, że wojna a życie cywilne nie dają równych warunków bytu. Te same zdolności okazują się nieprzydatne. Nie przeczę, że rezolutny i opanowany mężczyzna nie poradzi sobie w cywilu, jednak niepohamowana zuchwałość w zmienionych warunkach bytu daleko nie zaprowadzi. A już nigdy zbytne przecenianie własnych sił.

Wzruszyłem ramionami i ciągnąłem dalej:

- Sistonen rozpoczął studia na wydziale rolno-leśnym. Ale według zebranych przeze mnie informacji głównie pił, bawił się i szalał w towarzystwie kobiet. Dlatego też zaniedbał naukę...

Widziałem, jak Sistonen przygryzł wargi. W głębi duszy trochę się wstydzilem obrazliwego, otwartego sposobu przedstawienia sprawy, ale wybrałem go świadomie i musiałem kontynuować tę politykę dogryzania. Za chwilę moja przemowa miała stać się bardziej dokuczliwa, a Sistonen zwyczajem wszystkich ludzi, którym się nie powiodło, był drażliwy na punkcie opinii o sobie.

- Po trzech latach pieniądze studenta Sistonena skończyły się. Musiał wykonać „przymusowe lądowanie” i udać się do szkoły rolniczej, gdzie zdał egzamin technika-rolnika i otrzymał używany obecnie tytuł astrologa... przepraszam, agrologa.

Ten błąd nie był z mojej strony przejęzyczeniem. Lekki rumieniec na twarzy Sistonena dał do zrozumienia, że nie przepadał on za aluzjami o wróżeniu z gwiazd. Mówiłem dalej:

- Potem pan Sistonen pracował w wielu gospodarstwach rolnych. Nawet

tutaj przed sądem stwierdzał, że wykonywał „specjalne funkcje”. Jak Wysoki Sąd chyba wyczytał z gazet, zorganizowano na mnie zamach, kiedy dowiedziano się o pewnych sprawach.

Sistonen wciągnął powietrze. Oczy iskrzyły mu się niebezpiecznie.

- Czy pan mecenas oskarża mnie też o zorganizowanie tego zamachu? Co to są za cholerne aluzje?

- Wyjaśniam tylko tło sprawy - powiedziałem ugodowo. - Po wyjściu ze szpitala pozostało mi tyle czasu, że zdążyłem, między innymi, połączyć się telefonicznie z dawnymi pracodawcami pana Sistonena. Dowiedziałem się, że zmieniał ciągle miejsca pracy. Jako przyczynę wymieniało w jednych przypadkach pijaństwo, w innych skandale obyczajowe. A paru ziemian wręcz zwracało uwagę na to, że pan Sistonen nie bardzo odróżniał swoje od cudzego. Worki z mąką, jak słyszałem, znikają z wozów młynarskich bardzo zręcznie, ale pieniądze nie wpływały do właścicieli.

Sistonen znów spojrzał na mnie gwałtownie, ale zacisnął zęby. Z jego oczu wyczytałem, że wewnątrz cała kipi.

Bardzo powoli i z zimną krwią mówiłem dalej:

- Doszliśmy do czasu, kiedy Sistonen otrzymał pracę u dyrektora Patamaa. Pragnę zaznaczyć, że Sistonen nigdy nie był człowiekiem głupim, chociaż jego moralności można by wiele zarzucić. No, tak. Patamaa i Sistonena łączyła, wspomniana już na sali sądowej, wspólna przeszłość. Braterstwo broni. Przypuszczenia Patamaa, że miał dług wdzięczności wobec Sistonena, pozwoliło temu ostatniemu poprawić swoje położenie. Nie rozwodząc się nad tym twierdzę, że Sistonen umiał szybko wkraść się w łaski swojego pana.

Ramiona Sistonena zadrżały.

Ciągnąłem dalej bezlitośnie: - Sprzyjało temu i to, że Sistonen był dla Patamaa zaufanym przyjacielem, mieli także wspólne, utrzymywane w tajemnicy, podróże do miasta czy popijawy u Patamaa w gabinecie. Krótko mówiąc, Sistonen omotał starego człowieka. No, i zaczął rozglądać się,

kombinować, jak z tej sytuacji wyciągnąć najwyższą korzyść materialną. Już nie wchodziły w rachubę jakieś oszustwa z workami mąki...

Sistonen o mało nie wyskoczył ze skóry.

- Do diabła! Jeżeli te kłamstwa o workach z mąką się nie skończą, to...

- Cisza! - krzyknął przewodniczący Petaja.

- Ja nie kłamię - odparłem uśmiechając się skromnie. - Z kartoteki przestępców, penie Sistonen, wynika, że był pan kilkakrotnie karany za takie drobne sprawy. Grzywna za drobną kradzież orzeczona przez sąd okręgowy Kokemaki w 1954 roku i trzy miesiące z zawieszeniem w sądzie miejskim Uusikaarlepy w 1956.

Sistonen nie odpowiadał.

Mówiłem dalej, trochę mocniej opierając się o pulpit, wpatrzony w Sistonena:

- Sistonen wiedział, że Patamaa jest bardzo bogatym człowiekiem. Z pewnością słyszał też od swego pracodawcy narzekania na ciężki stan zdrowia. Świadczył o tym częściowo i sam wygląd dyrektora, który - uważając Sistonena za przyjaciela i powiernika - zwierzał mu się z tych kłopotów. Sistonen wiedział zatem również o leukemii, którą wykryto u Patamaa i w której śmiertelne niebezpieczeństwo dyrektor za bardzo przywiązany do życia nie chciał uwierzyć, że mianowicie choroba ta zaprowadzi go do grobu w ciągu sześciu miesięcy...

Zatrzymałem się, by głęboko odetchnąć. Na sali panowała cisza. Kontynuowałem:

- Sistonen rozejrzał się w sytuacji i wtedy przyszedł mu do głowy zaiste wspaniały pomysł, mianowicie taki, że w majątku Patamaa po śmierci gospodarza nowym właścicielem będzie Sistonen. Nawet biorąc pod uwagę moralność pana Sistonena chyba było to aż nadto podłe. Przecież był tam traktowany prawie jak syn, tyle że bez prawa dziedziczenia. Trzeba zatem tak wykombinować, pomyślał Sistonen, żeby nie posiadający krewnych Patamaa,

umierając, nie oddał gospodarstwa i majątku obcym ludziom. A taka groźba istniała w osobie...

Znacząco popatrzyłem na panią Einola.

- Dyrektor Patamaa poznał swego czasu kobietę, którą bardzo cenił i która wniosła wiele ciepła w jego dogasające życie. Tą kobietą była właśnie pani Einola. Z tych czy innych powodów Patamaa nigdy nie chciał się żenić. Może chorując... hm... czy powiedzmy, z powodu szczególnego trybu życia, nie chciał wiązać się formalnie. Dowodem jednak głębokiego przywiązania, jakie żywił wobec pani Einola, jest testament, w którym Patamaa przekazał jej cały swój majątek.

Spostrzegłem, że Petaja lekko skinął głową i ukradkiem spojrzał na Sistonena.

- Ten testament - ciągnąłem dalej - był dla pana Sistonena decydującą przeszkodą na drodze jego wspaniałego pomysłu. Zaczął się zastanawiać i doszedł do następującego wniosku: gdyby udało się doprowadzić do tego, żeby Patamaa stracił wiarę w panią Einola, gdyby gorzkie rozczarowanie przekonało go, iż kochał kobietę bezwartościową wtedy przestałby wierzyć nie tylko pani Einola ale całemu rodzajowi żeńskiemu, i wtedy...

Twarz Sistonena stawała się coraz bardziej na pięta. Rzucił mi spojrzenie spod łba i starał się uspokoić drżenie policzków. Mówiłem dalej:

- Dlatego trzeba było panią Einola oczernić, po stawić w oczach Patamaa w złym świetle. Pan Sistonen zaczął działać. Poruszając się swobodnie o gospodarstwie z pewnością wiedział, w jakim stylu Patamaa pisał listy miłosne. Będąc powiernikiem swego pana znał ulubione jego wiersze. Jest to moim zdaniem, że czytał ukradkiem pozostawione na stole w pokoju niedokończone listy. Znał styl Patamaa Na tej podstawie ułożył ten ohydny list z szantażem.

Złapałem oddech i ciągnąłem dalej:

- No i wtedy pan Sistonen napisał list z szantażem na maszynie do pisania, która stała w biurze dyrektora banku Kanervamaki. O ile Wysoki Są

pamięta, Kanervamaki wspomniał, że dyrektor Pa tamaa został kiedyś sam przy tej maszynie. To zeznanie świadka mogłoby wzbudzić podejrzenie, czy Patamaa z jakiegoś niezrozumiałego powodu sam ni napisał i nie wysłał do siebie tego listu, jakby pragnął coś zainscenizować z niezrozumiałych powodów. Takie wydarzenia nie miały jednak miejsca...

Nieruchomo przyglądałem się Sistenonowi.

- Powtarzam raz jeszcze, że mnie, obrońcę w tej sprawie, starano się w okrutny sposób uciszyć. Zbyt wielu rzeczy się domyślałem i ktoś bał się, że idąc dalej tą drogą, mógłbym uzyskać dodatkowe wiadomości i rozwikłać sprawę do końca. Jak widać, zamach nie powiódł się i piekielna machina poparzywszy mi twarz, unieszkodliwiła mnie tylko na krótki okres. Po wyjściu ze szpitala zdążyłem porozmawiać jeszcze z dyrektorem banku Kanervamaki. Dokładniej przypomniał sobie teraz o pewnym szczególe: kiedy Patamaa pozostał w jego pokoju, a on na chwilę poszedł do mleczarni po drugiej stronie drogi, razem z Patamaa został też jego zarządca, pan Sistonen...

Widziałem, jak Sistonen przełknął ślinę.

- Po jakimś czasie Patamaa poszedł za Kanervamaki do mleczarni. W gabinecie rozległ się stukot maszyny do pisania. Potwierdza to pani Strbm, która wtedy właśnie pracowała tam w pobliżu.

Zachowujący dotąd spokój Sistonen po raz pierwszy naprawdę zadrzał. Nie mógł już dłużej panować nad sobą. Rzucił ochryłym głosem:

- Kłamstwa! Kłamstwa! Wszystko przekłete kłamstwa, jedno za drugim!

- Czas pokaże, czy kłamię - powiedziałem spokojnie. - Wszczynając nową sprawę o morderstwo, wzywam na świadków dyrektora banku Kanerva-maki i kasjerkę, panią Strbm. Krótce powiem, o czym oni wiedzą. Pani Strbm potwierdzi, że tydzień przed zamordowaniem Patamaa, czyli właśnie wtedy, kiedy szantażysta mógł pisać list, Sistonen przez dziesięć minut pisał na maszynie dyrektora banku Kanervamaki w jego nie zamkniętym na klucz gabinecie. Panią Strbm trochę zdziwiło to stukanie, ale przypuszczała, że

Patamaa, jako prezes rady nadzorczej banku, kazał swemu zarządcy coś napisać.
A teraz...

Uśmiechnąłem się do Sistonena i zapytałem łagodnie:

- Czy mogę zapytać, co pan wtedy pisał? Twarz Sistonena stała się purpurowa. Wrzasnął:

- Ile razy mam powtarzać, że nie rozumiem, o czym pan mecenas mówi?! Nie pisałem na maszynie Kavernamaki! Jeżeli on i pani Strbm tak twierdzą, to chodzi o ohydny zмовę przeciwko mnie!

- Ach tak, ach tak... - skwitowałem, uśmiechając się w dalszym ciągu. - Cały świat sprzyścił się przeciwko niewinnemu. Nie pozostaje mi nic innego, jak kontynuować moją teorię. Sistonen napisał ten szantażujący list z zamiarem oczernienia pani Einola. Potem pojechał do Helsinek, żeby na poczcie nadać to swoje plugawe dzieło zaadresowane do dyrektora Patamaa.

Ktoś na sali westchnął. Było to westchnienie zabarwione niewiarą i wstrętem. Na Sistonena patrzono tak niechętnie, że musiał to instynktownie wyczuć. Czubek jego prawego buta zaczął rysować koła na podłodze.

- Sistonenowi o mało co się udało - powiedziałem. - Rozgniewany Patamaa zamierzał bowiem zmienić testament. Gdyby tak się istotnie stało, Sistonen był pewny, że chory i oszukany dyrektor układając wkrótce nowy testament, przeznaczy teraz cały swój majątek swemu jedyńemu na świecie przyjacielowi, właśnie jemu. Było ogólnie wiadomo, że Patamaa nie zamierzał przekazać swoich pieniędzy na cele publiczne. Podkreślałem jeszcze, że Sistonen był przekonany, iż jego zamiar powiedzie się. I tak by się stało, gdyby...

Szukałem przez chwilę słów.

- ...gdyby Sistonen nie pomylił się w decydującej kwestii. Nie docenił prawdziwej i szczerzej sympatii, jaką żywili do siebie pani Einola i pan Patamaa. A była ona tak głęboka, że Patamaa, znając uczciwość pani Einola, wykluczył ją z kręgu podejrzanych o szantaż, mimo że zagadka listu została nie wyjaśniona. Wyczuł instynktownie, że tak ohydny list nie mógł być napisany przez panią

Einola. Postanowił więc testament pozostawić w mocy. Ale popełnił błąd, mówiąc o tym pani Einola przy Sistonenie, w samochodzie, 13 kwietnia, w nocy o godzinie drugiej.

Ktoś z dziennikarzy z pośpiechu wypuścił z ręki pióro. Stuk zabrzmiał w ciszy sali ostro i donośnie. Widziałem, jak redaktor zarumienił się i z ogromną ostrożnością podniósł pióro.

- Teraz trzeba było zacząć działać - powiedziałem. - Czasu było niewiele. Patamaa miał przed sobą tylko parę miesięcy życia. Ale Sistonen i jego pomocnik nie zamierzali zabić dyrektora. Oni chcieli zabić panią Einola.

Przez salę sądową przeszedł szmer. Spokojnie kontynuowałem:

- Gdyby zginęła pani Einola, miejsce sukcesora po dyrektorze pozostałoby puste. W wypadku śmierci pani Einola, Patamaa oczywiście nie zapisałby pieniędzy jej dalekim krewnym, gdyż stosunki między panią Einola i panem Patamaa były wyłącznie natury osobistej. Sistonen osiągnąłby wtedy swój cel: Patamaa zapisałby jemu swój majątek. Gdyby wszystko potoczyło się zgodnie z planem, winą za morderstwo obarczono by Patamaa, jak teraz panią Einola obarczono winą za morderstwo popełnione na nim. Sistonen pozostałby jedynym przyjacielem, wierzącym w dobre imię tego, który „zamordował ukochaną kobietę”.

W gardle mi zaschło, nie od mówienia, lecz ze zdenerwowania. Nieustannie miałem na oku Sisto-nena. Patrzył na przeciwległą ścianę, ale widać było, że cały drży.

- Sistonen zadzwonił do swojego wspólnika i kazał mu przystąpić do działania. Wspólnik pospieszył do Kaisanniemi, schował się w krzakach i czekał. Ale w decydującym momencie spudłował. Zeznawano tutaj, że Sistonen zwracał się do swojego wspólnika per „moja kochana”. Wspólnikiem w takim razie jest kobieta. Rzadko się zdarza, że kobieta trafia z pistoletu do ściany domu naprzeciwko. Ta kobieta umiała jednak znacznie lepiej strzelać. Niestety, trafiła w Patamaa, gdy z ciemności krzaków mierzyła w panią Einola. Moja

klientka opowiedziała mi, chociaż zrobiła to z powodu niepotrzebnego poczucia wstydu i - zasłaniając się słabą pamięcią - zbyt późno, że strzał nastąpił w momencie, gdy ich głowy znajdowały się bardzo blisko siebie. W tej tragedii najsmutniejsze jest to, że Patamaa zginął właśnie wtedy, gdy doszedł z panią Einolą do porozumienia i chciał, wzruszony chwilą, objąć ją...

Musiałem w tym momencie spojrzeć na panią Einolę. Widziałem, jak bolesny, wywołany wspomnieniami cień prześliznął się po jej twarzy.

- W tej sekundzie cały plan mordercy spalił na panewce - ciągnąłem, nie spuszczać wzroku z Sistonena. - Ręka współnika, w której była broń, zadrżała, i to zepsuło wszystko. Zginął Patamaa, a testament został w mocy, czyli że wszystko potoczyło się niezgodnie z planem. Pani Einolę, co prawda, niewinnie została oskarżona o morderstwo, ale planom Sistonena już to w niczym nie pomogło. Pieniądze i majątek przepadły na zawsze. I chociaż panią Einolę sądzono by za morderstwo i tym samym straciłaby prawo do zapisanego jej majątku, to i Sistonen nie otrzymałby pieniędzy. Bowiem Patamaa nie zdążył sporządzić dla niego żadnego zapisu i tym samym pieniądze Patamaa otrzymaliby jego dalecy krewni.

Teraz nadszedł najważniejszy moment. Oddech Sistonena stał się krótki i dyszący, a twarz połyskiwała siną bielą. Teraz nastąpi moja wielka chwila. Dotąd mówiłem prawdę. Nadszedł wreszcie czas, by puścić dymną zasłonę i zdezorientować Sistonena. Powiedziałem łagodnie:

- Nie znamy jeszcze nazwiska współnika pana Sistonena. Zakładam, że obecni na sali sądowej nie i znają go także. Ale ja znam. Wspólniczką jest pewna nieszczęśliwa, z natury dobra, miła dziewczyna, pozostająca całkiem pod wpływem Sistonena. Przecież Sistonen to doświadczony i wspaniały mężczyzna. To jednak zarazem łajdak bez serca, zatwardziały morderca, mózg tej tu sprawy. Ta biedna kobieta, której nazwisko zaraz wyjawię, jest tylko otumanioną ofiarą i dlatego mam nadzieję, że dostanie niewielki wyrok...

Zaczerpnąłem powietrza. Spostrzegłem, że włosy stenografującej

sekretarki siedzącej obok pani Einola aż frunęły, gdy obróciwszy się raptem, zerknęła na mnie. Uśmiechnąłem się uspokajająco do Raili. Na pewno dziwiła się, do czego zmierzam. Przecież współniczką była oczywiście ta śmiesznie wypacykowana kobieta, lekkich obyczajów, która dostarczyła do biura tę piekielną maszynę. Raili najpewniej nie zrozumiała, dlaczego opisałem ją jako dobrą z natury, miłą dziewczynę, i dlaczego twierdziłem, że znam nawet jej nazwisko.

W rzeczywistości nie znałem jeszcze nazwiska współniczki. Nie miałem o niej nawet najmniejszego pojęcia. Ale Sistonen nie mógł wyczuć, co się dzieje w mojej głowie. Usłyszał tylko groźbę ujawnienia dalszych szczegółów. Widząc jak drży, zacząłem wierzyć, że mi się udało.

Teraz Sistonen sam powinien wyjąkać nazwisko!

Był w sytuacji bez wyjścia i zdawał się rozumieć, do jakiego ślepego zaułka go zagnałem. Przeszł z nogi na nogę i bez przerwy nerwowo zaciskał i rozprostowywał dłonie. Zrozumiał, że zamierzam zrobić z niego kozła ofiarnego, a ze współniczki niewinną dziewczynę, która zbłądziła. Nawet najbardziej zatwardziały przestępca nie ścierpi, gdy powiększa się jego winę o cudzą. A jeszcze gorsze katusze znosi, gdy współwinny zostaje oczyszczony z całej winy. Zawieść i strach niweczą nawet to fałszywe pojęcie honoru, według którego postępują przestępcy. Sistonen był u granicy wytrzymałości. To było widoczne. Wypaliłem jeszcze na ostatku, żeby go dobić:

- Dla współniczki, dziewczyny o niewątpliwie czystym sercu, proszę o łaskawy wyrok. Była ofiarą człowieka bez serca, działała wyłącznie na rozkaz tego okrutnego łotra. I dlatego poproszę sąd o ukaranie Sistonena z całą surowością prawa, bo na to tysiącrotnie zasłużył.

Zamierzałem powiedzieć jeszcze coś, ale słowa zamarły mi na ustach. Wydarzyło się bowiem coś absolutnie zaskakującego, coś zupełnie nieoczekiwanego. Przypuszczałem, że Sistonen w porywie furii wykrzyczy nazwisko tej starej, trajkocącej, wypacykowanej kobiety, że wydusi je wreszcie z siebie i ujawni swoją współniczkę, aby podzielić się winą. Ale nic takiego nie

nastąpiło. Sistonen zrobił krok naprzód. Po czym zrobił drugi i trzeci. W końcu wykonał jeden długi skok i zatrzymał się przed moją sekretarką.

- Ty przeklęta obłudnico!

Słowa Sistonena aż syczące od przerażającej, zapierającej dech nienawiści, zamroziły moje myśli. A jednak wszystko widziałem na własne oczy i słyszałem na własne uszy. Nie byłem zdolny poruszyć nawet palcem. Przygwożdżony w miejscu z otwartymi ustami patrzyłem na wykrzywioną z wściekłości twarz Sistonena i słyszałem jego krzyk, płynący jak rwący potok:

- Ty przeklęta suko!;Czy nie umawialiśmy się wczoraj, że trzymamy język za zębami?! Czyż nie uzgodniliśmy, że jeśli Viima zaatakuje, to znaczy, że on tylko zmyśla, a cała sprawa rozplynie się z braku dowodów... No, i co, czy to jest zmyślanie? Ty diablico, poczekaj! Ty źmijo, oszukałaś mnie i zwalasz teraz wszystko na mnie! Viima nie mógłby mówić, gdyby nie wiedział! Tyś mu powiedziała! Oczyszciałaś siebie. Chyba dlatego usłyszeliśmy z ust yiima przemiałą mowę obrończą, w której ciebie uniewinnia... Piękne przygotowanie gruntu, doprawdy. Niewinna, nieskazitelna dziewczyna, ofiara Sistonena, wyjdzie z tej sprawy z niewielkim wyrokiem, czy tak? Sistonen jest mózgiem sprawy... Boże, pomóż, kiedy nadejdzie czas sądu. Czy to ja wszystko zaplanowałem, co?!

Głos dzwonu znowu zaczął wypełniać mój mózg. Świat znów zakręcił się wokół i zaczął się na mnie walić. Widziałem otwarte usta przewodniczącego

Petaja, widziałem wstającego prokuratora i widziałem zmęczonych dziennikarzy, którym wypadały pióra z rąk. A przede wszystkim widziałem pobladłą ze złości twarz Sistonena i ślinę kapiącą mu z ust, kiedy niczym cios za ciosem, dochodziły mnie wykrzykiwane przez niego zdania:

- Dopiero co widziałem, jak pan Viima opiekuńczo spoglądał na swoją sekretarkę, gdy plótł o zbłąkanej dziewczynie, działającej na rozkaz nicponia. Ty przeklęta kobieto, siedziałaś na dwóch stołkach, a jak bieda przycisnęła, złapałaś kochanego mecenasa za szyję i opowiedziałaś mu wszystko!

Mimo że stałem osłupiały, zrozumiałem, że Sisto-nen mówił o spojrzeniu, jakie rzuciłem sekretarce w kulminacyjnym punkcie prowokowania świadka. Ale Sistonen zupełnie opacznie je odczytał. Na Boga, myśl, że Raili może być współpracowniczką, nigdy nie zaświtała w moim mózgu! Zerknąłem tylko ukradkiem na sekretarkę i wtedy zauważyłem niezwykle drzenie jej rąk i dziwaczne zakrętasy na kartce stenogramu.

Głos Sistonena rozległ się w ciszy. W dalszym ciągu patrzył pałającym wzrokiem na moją sekretarkę:

- Chcesz siebie ratować! Najpierw ten głupio zakochany Viima, który poszedłby za ciebie w ogień... A potem zdradziłaś naszą tajemnicę... Gdyby nas oboje postawiono tu w stan oskarżenia, ty kokietowałabyś swoim ponętym ciałem i patrzyłabyś zalotnie na sędziów tymi fałszywymi fiołkowymi oczami. Niech to wszystko diabli wezmą! Że też muszę, patrzeć na to! Skończyłoby się na tym, że ty dostałabyś lekkiego klapsa lub wyrok w zawieszeniu, a Sistonena jak najgorszego, ostatniego łajdaka skazano by na dożywocie.

Sekretarka podniosła się gwałtownie. Stała silna i groźna przed Sistonenem. Słyszałem, jak syknęła, choć miał to być szept:

- Cicho bądź, ty przeklęty wariacie.

Nie wszyscy z pewnością to słyszeli, ale ja słyszałem dobrze. Dziwny szum podobny do tego, jaki dochodzi od pędzącego daleko pociągu pospiesznego, przeszedł mi przez głowę. Jeszcze wciąż nie potrafiłem zareagować, stałem jak sparaliżowany.

Pozostali, znajdujący się na sali, razem z przewodniczącym Petaja, siedzieli jak kamienne posągi. Atmosfera na sali była jak struna, która rozciągnięta do granic wytrzymałości, ma za chwilę pęknąć z przenikliwym jękiem.

Wściekłość Sistonena zdawała się wzrastać. Myślałem, chciałem... pocieszałem się myślą, że zwariował. Ale w głębi duszy rosły wątpliwości.

- Opowiadaj! - krzyczał Sistonen do mojej sekretarki. - Opowiadaj, ty

lafiryndo, nie stój tutaj jak niemowa! Opowiadaj, kto zaplanował to wszystko! Opowiadaj, i to natychmiast! Opowiedz, kto wymyślił to w najdrobniejszych szczegółach! Kto pół roku temu przy naszym pierwszym poznaniu się powiedział, że naszą znajomość trzeba trzymać w tajemnicy. W tajemnicy, ponieważ twoja ambicja nie pozwoliłaby ci pokazać się w towarzystwie takiego człowieka jak ja.

Raili nie odpowiadała.

Sistonen podskoczył do niej i krzyknął: - Opowiedz, kto mnie podstępnie prowokował i mówił, że z moimi zdolnościami nie warto być zwykłym zarządcą! Kto uwodził mnie ciałem, a jednocześnie szeptał do ucha takie rzeczy, że czułem się już prawie milionerem! Kto kusił wspaniałą wycieczką jachtem po Morzu Śródziemnym w twoim towarzystwie. Odpowiadaj! I kto mi pochlebiał, jaki to dzielny i nieustraszony byłem na wojnie, i jak mi się wszystko udaje...

Szum rósł mi w uszach. Starłem się jednak ze wszystkich sił uwolnić z odrętwienia. W końcu, gdy Sistonen przerwał, aby wciągnąć powietrze, udało mi się powiedzieć spokojnie, kierując słowa do przewodniczącego Petaja:

- Zamknijcie mu usta, Wysoki Sądzie. On zwariował.

Petaja drgnął, jakby strząsając z siebie jakąś zmorę. Sekundę przyglądał mi się i powiedział drwiąco:

- Pan, panie mecenasie był już przy głosie. Teraz kolej na Sistonena.

- Dziękuję, Wysoki Sądzie.

Sistonen przestał nagle wrzeszczeć. Zaczął mówić cicho i chrapliwie, i ten jego głos zabrzmiał jeszcze bardziej upiornie. Mierząc Raili oczami rzekł:

- Ty na to wpadłaś, że Patamaa mógłby równie dobrze mnie zapisać w testamencie majątek. Pod warunkiem, że pani Einola w ten czy inny sposób zostanie usunięta. To również ty wymyśliłaś, że anonimowy list z szantażem postawi panią Einola w złym świetle w oczach Patamaa. I właśnie ty podkreśliłaś, że jeżeli Patamaa nie zmieni testamentu, trzeba będzie użyć drakońskiego środka. Po to wyprosiłaś ode mnie ten zdobyczny pistolet

wojskowy. I w tym celu poprosiłaś mnie o skonstruowanie tego pakietu wybuchowego, który zamierzaliśmy początkowo wykorzystać zamiast pistoletu Lugar. Wykonałem tę piekielną machinę. Dałem ci mój pistolet. I jaki był wynik? Gdy miałaś działać, strzeliłaś jak ofierma! Zabiłaś nie tego człowieka!

A Viimy też nie umiałaś lepiej załatwić, gdy dowiedział się zbyt wiele...

Już otworzyłem usta, ale Petaja zauważył to i rzucił mi groźne spojrzenie. Byłem więc cicho, pozwalając mu mówić dalej. Słuchałem szumu we własnych uszach, wzrok wbilem w podłogę. Nie mogłem patrzeć na Raili.

Słyszałem, jak Sistonen, teraz już spokojny, mówił wyraźniej niż poprzednio:

- Za twoją poradą przywiozłem Patamaa do biura mecenasa Viimy, kiedy zaczął się denerwować z powodu tego listu. Właśnie ty powiedziałaś, że Matti Viima to tępą facet, że jemu można bez obawy powierzyć prowadzenie tej sprawy. Viima nie rozgryzie nic, jeżeli tylko puścimy go na fałszywy trop... Tak powiedziałaś. I powiedziałaś, że to właśnie jest zgodne z planem, że Viima pokręci sprawę jak należy. Potem nastąpiła ta noc, gdy strzeliłaś i spudłowałaś. Chociaż obiecałaś zająć się brudną robotą, nie bronię siebie, bo to ja zaproponowałem ci przyjście na Kaisanniemi. Zdążyłaś tam szybko ze Snelmaninkatu. Ale gdy Viima dowiedział się zbyt wiele, nie chciałaś go wtedy zabić. Chciałaś najpierw wypróbować tę sztukę... przecież ta piekielna machina była już gotowa. Kiedy nam się nie poszczęściło, nie pozwoliłaś mi uciec, zażądałaś, żebym przyszedł tutaj. Powiedziałaś nawet, że Viima tylko zamąci sprawę... że niczego nie potrafi udowodnić, i że sprawa upadnie. I w końcu, chyba było to ostatniej nocy, wszystko mu zdradziłaś, zrobiłaś ze mnie kozła ofiarnego i na pewno myślałaś, że ja jako dżentelmen, głupi, zakochany dżentelmen, w żadnym wypadku ciebie nie wydam. Ty stoisz tam, a ja tu, ale jesteśmy tutaj razem! Diabeł nas razem porwie, kochana Raili... Jedziemy na jednym wozie. Na tym samym wozie.

Patrzyła przez sekundę na Sistonena, ale i to już było dla mnie zbyt długo.

W tym momencie przełamało się coś we mnie tak, że byłem zdolny znowu mówić.

- Panie Sistonen - powiedziałem ciężko. - Nie wiem, co z pana mowy jest prawdą, a co kłamstwem. Ale na pewno nie jest prawdą, że moja sekretarka cokolwiek mi wyznała.

Sistonen zasapał. Wpatrywał się we mnie.

Jednocześnie widziałem, jak Raili postąpiła krok naprzód. Wydawało mi się, że mimo wszystko wyglądała na kobietę odważną: wysoka, ciemnowłosa, wyprostowana, sprężysta. Widziałem jej wypukłe piersi pod nylonową bluzką, mój wzrok dotknął jej zaokrąglonych bioder. Stała pewnie na mocnych nogach o zgrabnych łydkach.

Słyszałem jej przerywany oddech. Przypominała teraz bardziej niż kiedykolwiek przedtem groźną, wściekłą amazonkę, kiedy krzyknęła w twarz Sisto-nenowi:

- Ty bałwanie ostatni! Sistonen otworzył usta.

- Ty, ty... mięczaku, bez charakteru i kręgosłupa! Gdzie są teraz te twoje sławne nerwy, ty, którego, jak mówiłeś, bała się cała armia... ha ha ha! Przecież mówiłam, że Viima zarzuci tylko sieć. Ale popłynąłeś w nią jak ślepa ryba! Ty, ty... ty!

Głos ugrzązł jej w gardle. Przypuszczalnie nie mogła znaleźć dość ubliżającego epitetu. Przez chwilę milczała, oddychając gwałtownie. Wszyscy siedzący na sali sądowej milczeli. Raptem odwróciła się w moją stronę i powiedziała:

- Tak, Matti. Ta paczka... Nie chciałam tego. Ale nie mogłam już zawrócić z drogi. I kiedy opisałam ci tą kobietą, tę, przynoszącą paczkę... Ona w ogóle nie istnieje. Opisywałam ci bezwiednie moje drugie ja, to gorsze.

Patrzyła na mnie dziwnie. Kolana, w których i tak czułem słabość, ugięły się pode mną. Wszystkie uczucia jakby nagle zamarły we mnie. Skamieniałem i

nawet nie umiałem się na nią pogniewać. Zamiast tego stężałe myśli zaczęły się kruszyć na kawałeczki, kawałeczki uwolniły się z uwięzi i ulatywały bezładnie jak stado ptaków.

Słyszałem, jak Raili powiedziała jeszcze:

- Popelniłam dwa głupie błędy. Uważałam Sistonena za mężczyznę, a jego można ubrać w spódnicę...

Sistonen wydał dziwny dźwięk. Taki odgłos wydaje tramwaj, gdy włącza hamulce. Raili patrzyła na mnie nieruchomo i zakończyła:

- Równie okropnie się pomyliłam, myśląc, że ty, Matti jesteś tępy. A ty wcale nie jesteś głupi i niezaradny. Ale co się stało, to się stało... I jeżeli żal przychodzi zbyt późno, jest nic niewart.

Odwróciła się do mnie plecami. Stała niedaleko. Jak przez mgłę widziałem, że miała na sobie sportową spódnicę z tweedu, a na jej szarym tle były małe czerwone nitki. Jedna z nich zaczęła rosnąć w moich oczach. Oddzieliła się od tła, zaczęła płasnąć, powiększyła się, zawirowała, mignęła i stała się w końcu cząstką systemu słonecznego.

Słyszałem słowa z przeszłości...

Słowa kłamliwe:

„Mój kochany... Byłam tak niespokojna i bałam się o ciebie. Czy zazdrosna? Właśnie tak...”

Słowa, które wprowadziły mnie w błąd:

„Patamaa może być zadowolony, że za parą milionów uwolni się od tej sprawy... W tej sprawie jest coś dziwnego”.

I w końcu usłyszałem również słowa prawdy; usłyszałem je z przeszłości i moje myśli powróciły w przeszłość tak dokładnie, że fizycznie poczułem się tam. Stałem znowu w wiosennej alejce brzozonej, czułem zapach pąków i widziałem przed sobą zagadkowe oczy Raili.

Usłyszałem swój głos, który mówi:

„Chyba i Sistonen ma w Helsinkach kobietę. Nie musi tak beczynnie wyczekiwać na Patamaa...”

Usłyszałem Raili, która odpowiedziała z dziwnym uśmiechem: „Na pewno tak. Przecież taki wspaniały i okazały mężczyzna w sile wieku może się podobać”.